

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/236

1967



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI : **REFLEKSJE GLOBALNE**

St. SWIANIEWICZ : **WITOLD STANIEWICZ**

A. NAKOV : **MIKOŁAJ CIURLIONIS**

PISARZ BIAŁORUSKI O WOLNOŚCI SZTUKI

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje globalne</i>	3
Stanisław Swianiewicz:	<i>Witold Staniewicz</i>	11
Andrzej Nakov:	<i>Mikołaj Ciurlionis</i>	26



Michał Lisiński:	<i>Uczta</i>	52
Andrzej Lubelski:	<i>Pies</i>	63

W I E R S Z E

Czesław Miłosz:	<i>Biel</i>	68
" "	<i>Wydzieńczony</i>	69
" "	<i>Kronika</i>	69

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	71
Zygmunt Nagórski, sr.:	<i>Argumenty logiczne w sprawach międzynarodowych</i>	79

DOKUMENTY

Wasilij Bykow:	<i>Pisarz białoruski o wolności sztuki</i>	84
----------------	---	----

K R A J

Andrzej Stypułkowski:	<i>Polska a Gatt</i>	90
-----------------------	----------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Edward Puacz:	<i>Polonia w wyborach amerykańskich</i> ..	96
Roman Królikowski:	<i>Polski misjonarz wśród Hotentotów</i> ..	111
Andrzej Cheiuk:	<i>Jewtuszenko i inne sprawy</i>	120

POLEMIKI

Tadeusz Nowakowski:	<i>Manneken-pis</i>	124
---------------------	---------------------------	-----

K S I A Ź K I

Wiktor Sukiennicki:	<i>Psychologia więźnia</i>	144
—	<i>Subskrypcja na tom wierszy Aleksandra Wata</i>	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	148



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
------------	----------------------------------	-----



L. Holzer, Cz. Miłosz, M. K. Pawlikowski, Redakcja (w sprawie listu mjr. E. J. Czerniawskiego):	<i>Listy do Redakcji</i>	158
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec — Juin

1967

INSTYTUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Michał LISIŃSKI, dziennikarz, urodzony w r. 1914 w Czarnym Dunajcu na Podhalu, gimnazjum w Nowym Targu, studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim 1932-37. Uczestniczył w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli rosyjskiej, z której zbiegł i przedostał się następnie do Armii Polskiej we Francji. Wzięty do niewoli przez Niemców nad granicą szwajcarską zbiegł w r. 1941 na Węgry. W drodze do Turcji aresztowany przez Gestapo w Jugosławii i wywieziony następnie do obozu koncentracyjnego dla Jugosłowian w północnej Norwegii zbiegł w r. 1944 do Szwecji. Wysłany następnie do polskiej grupy ruchu oporu w Danii przebywał tam do kapitulacji Niemiec. Od roku 1951 współpracownik Radia Wolna Europa w Sztokholmie. Przed wojną czynny w lewicowych organizacjach młodzieżowych, socjalista, członek PPS.



Andrzej STYPUŁKOWSKI, urodzony w 1929 r. w Warszawie. Żołnierz AK w oddziałach Szarych Szeregów, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie wyjechał na Zachód. Od 1947 r. zamieszkuje w W. Brytanii. Początkowe studia w zakresie nauk matematyczno-fizycznych. W r. 1964 uzyskał dyplom B.A. (Hons) na Uniwersytecie Londyńskim w zakresie studiów nad Europą Środkowo-Wschodnią. Członek Komisji dla Spraw Europy Środkowo-Wschodniej Ruchu Europejskiego. Artykuły i reportaże w prasie polskiej i zagranicznej oraz w radio. Od r. 1958 jest dyrektorem firmy wydawniczej Polonia Book Fund Ltd. w Londynie.

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Jerzy Agdan, Chicago, Ill. (USA)	F. 9,80
Jerzy Laskowski, Paryż, po raz dziesiąty	F.200,00
H. M. B., Boston, Mass. (USA)	F.245,00
Dr Jan Dobrucki, Davis, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 39,00
Wanda Trzos, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 42,85
F. B. Bahyrycz, Marius, Manitoba (Kanada), po raz drugi	F. 9,00
Maria F. Skuncke, Genewa (Szwajcaria)	F. 23,50
Trenton, N.J. (USA), po raz drugi	F. 88,00
Maria Turska, Ste Anne de Bellevue, Que. (Kanada), po raz szesnasty	F. 45,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada)	F. 54,00

DZIĘKUJEMY!

Refleksje globalne

Napisano dziesiątki — często znakomitych — książek na temat rządu światowego. Wydaje mi się, że dziś po dziesiątkach lat doświadczeń uznać należy za pewne, że OZN — ani żadna inna organizacja tego typu nie wyłoni rządu światowego. Rząd światowy, jeżeli kiedyś powstanie — będzie narzucony przez ugrupowanie mocarstw dysponujących całkowitą przewagą militarną, technologiczną i gospodarczą. Rząd światowy nie przyjmie nazwy „rządu” i będzie nie tyle instytucją ile faktem pragmatycznie zaakceptowanym i uznanym.

Podwójna hegemonia jest fazą przejściową i tymczasową. Trwałość i stabilizację zapewnić może „równowaga sił”. System dwu-biegunowy stanowi antytezę historycznie wypróbowanych konstrukcji *balance of power*. System „równowagi sił” musi opierać się co najmniej na trzech partnerach. Światowy *balance of power* wymagałby powstania ugrupowania mocarstw, których łączny potencjał odpowiadałby przynajmniej potędze Związku Sowieckiego.

Być może leżałoby w interesie tak Rosji jak i Stanów Zjednoczonych dopomóc do zorganizowania zdrowej „równowagi sił” w skali światowej. Byłoby to konstruktywne wyjście z impasu, którym z istoty rzeczy jest podwójna hegemonia. Lecz nie należy się łudzić. Z chwilą kiedy proces historyczny doprowadził ewolucję do stadium podwójnej hegemonii — nawrót do dawnych form jest bardziej niż nieprawdopodobny.

Instytucja podwójnej hegemonii ma swoją własną odrębną logikę i dynamikę rozwojową. Rosja i Ameryka mogą skakać sobie do gardła lecz solidarnie nie dopuszczą nikogo do „klubu dwóch”. Wszyscy są równi lecz najrówniejsze są Stany Zjednoczone i Rosja i tego typu „równości” Waszyngton i Moskwa bronić będą nieustępliwie.

Typowym przykładem jest dyskutowany układ o nierozpowszechnianiu broni atomowych, który atomową suwerenność gwa-

rantuje tylko Rosji i Stanom Zjednoczonym. Chiny i Francja nie biorą udziału w dyskusjach. Celem układu jest zalegalizowanie w sensie prawa międzynarodowego atomowego monopolu amerykańsko-sowieckiego. Stany Zjednoczone i Rosja byłyby pełnoprawnymi monopolistami atomowymi w świecie w którym posiadanie broni atomowych innym państwom byłoby wzbronione. Wielka Brytania, choć jest jednym z założycieli „klubu atomowego” — jest związana ze Stanami Zjednoczonymi i jej skromny potencjał atomowy należy traktować łącznie z amerykańskim.

Inicjatorzy układu reprezentują pogląd, że rozpowszechnienie się broni atomowych zwiększa prawdopodobieństwo wybuchu wojny nuklearnej. Choćby tak było — co bynajmniej nie jest pewne — wypada stwierdzić, że prawne usankcjonowanie monopolu atomowego amerykańsko-rosyjskiego nie gwarantuje pokoju. Natomiast realizacja *non poliferation treaty* zrewolucjonizowałaby dotychczasowy koncept prawa międzynarodowego.

Polska przedwrześniowa w obliczu prawa narodów była państwem identycznie suwerennym jak Rosja Sowiecka, Francja czy Stany Zjednoczone. Polski, nawet w pełni niepodległej — nigdy oczywiście nie będzie stać na bronie atomowe porównywalne z potencjami wielkich mocarstw. Lecz Polski nie będzie również nigdy stać na statki do przewożenia ropy naftowej o milionie ton wyporności — nie będzie jej stać na zorganizowanie lotu na księżyc i tp. i td. Nasz kraj jest państwem średniej wielkości bez wielkich bogactw naturalnych i w porównaniu z Ameryką tysiące rzeczy będą zawsze poza zasięgiem naszych możliwości. Lecz ubóstwo nikogo nie dyskwalifikuje prawnie, choć często dyskwalifikuje faktycznie. *Non poliferation treaty* dyskwalifikację faktyczną wywianowałby w sankcję prawną. Świat rozpadłby się na państwa o trzech kategoriach suwerenności: A — pełna atomowa suwerenność (Ameryka i Rosja), B — semi-atomowa suwerenność (Francja i Chiny), C — państwa w „sferach wpływów” bez żadnej suwerenności.

Niebezpieczeństwo jakie kryje się w powyższej koncepcji polega na tym, że Amerykanie i Rosjanie dążą do ustabilizowania sytuacji, której ustabilizować nie można. Równowaga podwójnej hegemonii jest z istoty rzeczy równowagą chwiejną i żadnym traktatem nie można tego zmienić. Wpływowe pismo „Washington Post” wystąpiło nawet z propozycją dobrowolnej redukcji amerykańskiego potencjału ofensywnego by umniejszyć nierówność istniejącą obecnie pomiędzy Ameryką a Rosją. Celem takiej operacji, zmierzającej do wyrównania potencjałów amerykańskiego i rosyjskiego byłoby odwieść Sowiety od podjęcia kosztownego wysiłku ABM (obronne pociski przeciw-pociskowe).

Premier Kosygin proponuje wszystkim sojusze. W czasie swej ostatniej wizyty w Londynie zapropomował, ku wyraźnemu załopotaniu Anglików — sojusz z Wielką Brytanią.

Jeżeli pada słowo „sojusz” — polityk musi zadać pytanie: przeciwko komu? Nie tylko Anglia lecz i Stany Zjednoczone były sojusznikiem Rosji Sowieckiej. Lecz wówczas istniały hitlerow-

skie wojujące Niemcy przeciwko którym ów sojusz był wymierzony.

W tym miejscu dotykamy najbardziej istotnego elementu struktury podwójnej hegemonii. Odsunawszy na chwilę względy ideologiczne — należy stwierdzić, że Rosjanie i Amerykanie mogliby wspólnie rządzić światem pod warunkiem, że byłiby sojusznikami. Lecz nie ma trzeciego partnera przeciwko któremu Amerykanom opłacałoby się zawrzeć sojusz ze Związkiem Sowieckim. Gdyby powstało — co jest całkowicie nieprawdopodobne — trzecie super-mocarstwo, które swym potencjałem przewyższałoby Związek Sowiecki — wówczas, lecz tylko wówczas, zarysowałaby się możliwość sojuszu amerykańsko-sowieckiego. Wtedy bowiem, owo trzecie super-mocarstwo a nie Związek Sowiecki — stanowiłoby główne potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Rosjanie mogą na różnych polach współpracować z Amerykanami — lecz sojusznikami Ameryki prawdopodobnie nigdy nie będą. Wydaje mi się również, że ideologia komunistyczna nie stanowi dzisiaj magicznego instrumentu polityki globalnej. Nie oznacza to, że kapitalizm amerykański zawiera magiczną formułę przyszłości. Należy również obiektywnie stwierdzić, że kraje, zwłaszcza uprzemysłowione — łatwiej akceptują zależność od Ameryki niż od Rosji. Na ogół kontrola amerykańska jest daleko bardziej skuteczna niż sowiecka. W obozie atlantyckim *casus* chiński jest wyłączony. Z Francji nikt nie wyrzuca inżynierów i technologów amerykańskich — przeciwnie, przybywa ich z każdym miesiącem. Nie sądzę również by Rosjanie potrafili kontrolować w pełni zjednoczone komunistyczne Niemcy. Myślę, że komunistyczne Niemcy doszłyby do broni atomowych daleko prędzej niż Niemcy atlantyckie. Komunistyczne Niemcy byłyby dla Moskwy niepomieranie bardziej kłopotliwym sojusznikiem niż Chiny.

Choć żadne z super-mocarstw nie ma koncepcji globalnej — ideologia komunistyczna jest w teorii programem uniwersalnym. Stany Zjednoczone nie mają nawet w teorii koncepcji o charakterze uniwersalnym.

Amerykański a-ideologiczny pragmatyzm polityczny w zastosowaniu do wysoko rozwiniętych państw zachodnio-europejskich daje doskonałe rezultaty. Lecz ten sam a-ideologiczny pragmatyzm, zastosowany do zacofanego, semi-feudalnego państewka azjatyckiego nabiera zgoła innego wydźwięku.

Przed kilku laty wywołał w Londynie sensację bogaty Szeik, który wynajął wspaniały apartament w jednym z luksusowych hoteli londyńskich. Okazało się, że wschodni bogacz przywiózł ze sobą nie tylko liczną służbę lecz i autentyczne niewolnice. Jednakże ów egzotyczny gentleman reprezentował w swym bogactwie w źródła naftowe kraju instytucję, którą Anglosasi określają mianem *stable government*. Ponieważ kontrakty, długoterminowe zobowiązania i *big business* wymagają ustabilizowanego rządu jako partnera — tradycyjna polityka anglosaska popiera

zawsze *stable government* bez względu na jego oblicze społeczne.

W perspektywie globalnej polityki amerykańskiej sprawę komplikuje konflikt ideologiczny. Uważa się za oczywiste, że *stable government* musi być anty-komunistyczny.

Celem polityki *containment* w Azji jest powstrzymywanie naporu chińskiego. Od rozpoznania istoty owego naporu zależy wybór strategii. Napór chiński nie ma w tej chwili charakteru ściśle militarnego. Ponieważ Chińczycy — w przeciwieństwie do Rosjan cierpieli długi czas ucisk i wyzysk ze strony mocarstw kolonialnych — model rewolucji chińskiej nosi charakter anty-kolonialny i wyzwolenczy co siłą faktu znajduje oddźwięk wśród narodów azjatyckich.

Gdyby dziś Chiny były zorganizowane ustrojowo na wzór Formozy i zagrażały militarnie Wietnamowi, Indiom i tp. — zdefiniowanie polityki *containment* byłoby rzeczą niezmiernie prostą. Siłę militarną należałoby wówczas zatrzymać siłą militarną.

Na marginesie zauważmy co następuje. Sowieciolodzy przeprowadzili niezmiernie wszechstronną i wyczerpującą krytykę ustrojów komunistycznych tak w Związku Sowieckim jak i w Chinach. Lecz fakt, że owe dwie recepty na rewolucję są błędne — nie stanowi żadnego dowodu, że potrzeba rewolucji nie jest autentyczna. Jeżeli lekarz przepisze fałszywe lekarstwo nie oznacza to, że pacjent nie potrzebuje lekarstwa. Pacjent z całą pewnością potrzebuje lekarstwa i wyciąga rękę po lekarstwo, które jest dostępne.

W świetle konfliktu ideologicznego teoria *stable government* wymaga całkowitej re-definicji. Trudno sobie wyobrazić bardziej ustabilizowany rząd jak „archaiczną” dyktaturę Gomułki i Cyrankiewicza. Niemal od 20 lat w Warszawie nic się nie zmieniło. W gruncie rzeczy jednak to nie jest ani „rząd ustabilizowany” ani rząd, który mógłby wydatnie oprzeć się Sowietom.

Weźmy inny przykład. Historia komunistycznego Wietnamu stanowi dokładną odwrotność komunistycznej Polski. Wietnamczycy są jedynym narodem na świecie, który pod przywództwem komunistycznym zrzucił jarzmo kolonialne. Natomiast polscy komuniści jarzmo kolonialne nałożyli nam na karki. I dlatego istnieje zasadnicza różnica pomiędzy Ho Chi Minh a Bierutem czy Gomułką. W północnym Wietnamie komuniści tworzyli najpoważniejszą zorganizowaną siłę, podczas gdy w Polsce komunistyczny ruch oporu odegrał rolę czysto marginesową.

Skłaniam się do poglądu wielu znawców przedmiotu, m.in. prof. R. Lowenthala („The Conflict in Vietnam”) — że można było inaczej rozegrać problem wietnamski. Dziś jednak Amerykanie — częściowo na skutek własnych błędów — znaleźli się w sytuacji w której polityka prez. Johnsona wydaje się jedynie właściwą. Przesadną jest opinia głosząca, że jeżeli Amerykanie dziś nie zechcieliby walczyć w Wietnamie jutro będą musieli walczyć na Hawajach. Niemniej, przegrana w Wietnamie pociągałaby za sobą katastrofalne konsekwencje dla polityki amerykańskiej w całej Azji. Kampania wietnamska oceniana w oderwaniu

od całości polityki globalnej — byłyby nie do usprawiedliwienia. Czasem jednak w czasie groźby pożaru trzeba zburzyć częścio-wo czyjś dom, by uratować dzielnicę miasta przed katastrofą. W takiej nieszczęsnej sytuacji jest Wietnam.

Polityka powstrzymywania musi być oparta na aktywnym współdziale „ustabilizowanych rządów”. Ponieważ polityka *containment* na terenach Azji dotyczy komunistycznych Chin — wnioskuje się, że „ustabilizowany rząd” musi być z definicji rządem antykomunistycznym. W praktyce, politycy amerykańscy skłonni są uważać każdy rząd antykomunistyczny za „ustabilizowany”.

Doświadczenie uczy, że często bywa wręcz odwrotnie. W roku 1945 Ho Chi Minh proklamował Demokratyczną Republikę Wietnamu ze stolicą w Hanoi. W roku 1946 rozpoczęła się wojna francusko-indochińska. W roku 1948 Francuzi ustanowili w Saigonie byłego cesarza Bao Dai jako głowę państwa Wietnamu. W roku 1954 po bohaterskich walkach upadło Dien-Bien-Phu i wojna zakończyła się konferencją w Genewie.

W sumie wystarczy stwierdzić, że Ho Chi Minh trwa i urzęduje w Hanoi od roku 1945 — natomiast w Saigonie rządy zmieniały się co kilka miesięcy a czasem co kilka tygodni. Rząd w Hanoi jest więc niewątpliwie „rządem ustabilizowanym” czego o żadnym rządzie saigonskim do tej pory powiedzieć nie można.

Komunizm w oczach Wietnamczyków jest ideologią antykolonialną i nacjonalistyczną. Ten sam komunizm w Europie wschodniej jest ideologią neo-kolonializmu.

Do czego zmierzają te uwagi? Zasada, że polityka *containment* winna dążyć do współpracy z „ustabilizowanymi rządami” jest słuszna, natomiast definicja terminu *stable government* wymaga korektury. Przez „ustabilizowany rząd” należy rozumieć rząd, który cieszy się bezwzględnym poparciem większości społeczeństwa. W warunkach azjatyckich, gdzie komunizm jest identyfikowany z antykolonializmem i nacjonalizmem — przywódca komunistyczny może mieć większą szansę niż ktokolwiek inny do utworzenia „ustabilizowanego rządu”.

Sądzę, że wielu światłych Amerykanów zgodziłoby się z powyższą tezą. Równocześnie jednak Amerykanie zauważyliby, że rząd komunistyczny, nawet ustabilizowany i cieszący się poparciem swego społeczeństwa, jest *de facto* bez wartości jako instrument amerykańskiej polityki *containment*.

Osobiście nie jestem tego pewien. Obiektywizm każe stwierdzić, że przywódcy komunistyczni, jeżeli mieli poparcie swego społeczeństwa — uprawiali politykę *containment* z daleko większym uporem i odwagą niż zachodni mężowie stanu. Pierwszym przywódcą europejskim, który przeciwstawił się Stalinowi był Tito. Imre Nagy był również komunistą a nie zachodnioeuropejskim liberałem. Należy oddać sprawiedliwość Władysławowi Gomułce i podkreślić, że w październiku 1956, będąc świadom poparcia całego narodu, przeciwstawił się Rosjanom. W ostatnich latach uniezależnili się Rumuni i — *last but not least* —

Chińczycy. W sumie, jeżeli przez *containment* rozumieć hamowanie imperializmu sowieckiego — ośmielam się twierdzić, że przywódcy komunistyczni zrobili w tej sprawie więcej niż politycy zachodni.

Mój wyimaginowany Czytelnik amerykański zauważyłby w tym miejscu, że dziś przez politykę *containment* rozumie się powstrzymywanie Chin a nie Rosji. Sowiety są „powstrzymane” i statyczne a Chiny natomiast to czynny wulkan rewolucji.

Reprezentuję pogląd, że rywalem Stanów Zjednoczonych w walce o przywództwo nad światem jest Rosja i tylko Rosja. I punkt drugi. Byłoby katastrofą gdyby w Azji Amerykanie powtórzyli te same błędy, które popełnili w Europie — to znaczy nie docenili potencjalnych możliwości *containment* narodowego komunizmu.

Skłaniam się do przypuszczenia, że wcześniej czy później Amerykanie będą musieli nauczyć się rozmawiać z azjatyckimi komunistami. Dziś, nawet najbardziej nieufnie w stosunku do Chin nastawiony komunista azjatycki, nie mógłby podjąć rozmów z Amerykanami zarówno z powodu Wietnamu jak i ze względu na barierę ideologiczną.

Antykomuniści — jak wszystko na świecie dzielą się na dobrych i złych. Antykomuniści w Azji w znacznym procencie rekrutują się ze sfer konserwatywnych, z obszarników i obrońców dawnego porządku, w przeważającej części całkowicie skorpumpowanych. Należy uznać za socjologiczny pewnik, że postępu nie można budować rękami reakcjonistów i wyzyskiwaczy. Polityka *containment* musi oznaczać powstrzymywanie Chin lecz nie powstrzymywanie postępu społecznego.

Amerykanie są ludźmi humanitarnymi i dobrej woli. Ponieważ jednak ich przeszłość historyczna jest niezmiernie różna zarówno od Europy jak i od Azji — przychodzi im z wielką trudnością wczuć się w problematykę społeczną innych narodów. W zacofanym kraju azjatyckim, który gości bazy amerykańskie — buduje się szpitale, szkoły, stacje doświadczalne i na te cele Amerykanie nie żałują ani wysiłku ani pieniędzy. Lecz równocześnie w tym samym kraju „ustabilizowany rząd” składa się najczęściej z reakcjonistów, obszarników i oportunistów, którzy pieniędzmi amerykańskimi podmuruwają własną pozycję i przywileje. Jednakże w oczach Amerykanów ów „ustabilizowany rząd” ma jedną kapitalną zaletę — jest antykomunistyczny.

Rewolucja socjalna w Azji jest nieuchronna i nie zastąpią jej ani szkoły, ani szpitale, ani najlepiej pomyślana pomoc gospodarcza. Dla każdego obserwatora musi być oczywiste, że morale Viet-Cong'u jest niezmiernie wysokie. Gdy generała Westmoreland w czasie jego niedawnej wizyty w Stanach Zjednoczonych zapytano czym należy wyłumaczyć ducha bojowego Viet-Congu — generał odpowiedział: „Viet-Cong położył główny nacisk na polityczną indoktrynację”. Powyższa odpowiedź stanowi klasyczny przykład „drętwej mowy”. Tego rodzaju kliszami nie można wyjaśnić faktu, że Viet-Cong opiera się nie bez sukcesu półmilio-

nowej armii amerykańskiej dowodzonej przez gen. Westmorelanda. Czyżby indoktrynacja polityczna liczyła się więcej od wspaniałego wyposażenia armii amerykańskiej?

Gdybym był Amerykaninem, obserwując walki Viet-Congu doszedłbym do wniosku, że w przyszłości ten typ bojowników w Azji Stany Zjednoczone winny mieć za sobą a nie przeciwko sobie. Nie ma żadnych obiektywnych powodów, by antykolonialna rewolucja azjatycka miała charakter anty-amerykański.

Politykę *containment* można realizować na terenach Azji tylko w oparciu o postępowe i reformatorskie rządy. Rządy reakcyjne z definicji nie są i nie mogą być „rządami ustabilizowanymi”.



Zacząłem ten artykuł od rozważań na temat podwójnej hegemonii. Wydaje mi się, że podwójna hegemonia nie może obejmować dwóch równorzędnych partnerów. Wielcy przemysłowcy amerykańscy, jeżeli mają dwoje czy troje dzieci — najstarszemu synowi zapisują zwykle 55% udziału w firmie by zapewnić mu głos decydujący. Amerykanie w firmie „Glob Ziemi” muszą mieć przynajmniej 60% udziałów by zapewnić sobie współpracę Rosji.

Dziś po obu stronach barykady istnieją tendencje likwidatorskie — innymi słowy oba super-mocarstwa nie tracą nadziei, że wyeliminują konkurenta w wyścigu o hegemonię nad światem.

Stabilizacja sytuacji nastąpi wówczas gdy jedno z super-mocarstw uzna się za „młodsze partnera”.

Amerykanie mają niepomniernie większe szanse niż Rosjanie stworzenia luźnego lecz sprawnie funkcjonującego systemu międzynarodowego tak w Europie jak i w Azji. Ów system swoim rozmiarem, potęgą gospodarczą i wojskową zredukowałby świat komunistyczny do roli młodsze partnera, który nie mógłby nawet marzyć o podjęciu rywalizacji. Jest moim głębokim przekonaniem, że pragmatyzm w końcu zawsze zwycięża. Współpracę Rosji można kupić tylko za cenę zlikwidowania jej hegemonicznych ambicji. Z kolei zlikwidować owe ambicje można tylko rozbudowując sferę wpływów amerykańskich do rozmiarów które Stanom Zjednoczonym dawałyby oczywiście, przyniatającą przewagę.

W perspektywie wschodnio-europejskiej jestem zwolennikiem „orientacji rosyjskiej”. W perspektywie globalnej jestem zwolennikiem „orientacji amerykańskiej”.

Polacy muszą nie tylko wyprostować stosunki z Rosją lecz czynnie wpływać na jej ewolucję i przebudowę. Lecz tak jak Polska nie może być „Chrystusem narodów” — tak Rosja nie może być „Marksem narodów”. Mesjanizm globalny w połączeniu z opóźnieniem rozwojowym na wszystkich niemal polach — jest patetycznym anachronizmem. Mesjanizm słowiański czy to w wydaniu polskim czy rosyjskim — prowadził do szowinizmu, którego nowoczesnym wyrazem jest totalizm.

U Amerykanów brak wszelkiego mesjanizmu jest zaletą posuniętą tak daleko, że graniczy z wadą. Mam na myśli postawę, którą nazwałbym indyferentyzmem socjalnym. Dobry jest Battista, dobry jest każdy reakcjonista pod warunkiem, że nie jest czerwony. W tej postawie dopatrzeć się można echa tradycyjnej anglosaskiej zasady, że handlować można nawet i z ludożercami. Handlować można i z ludożercami, lecz poprzez wyzyskiwaczy i rekinów nie można rządzić światem.

Amerykanie umieli połączyć potęgę i bogactwo z wolnością. Wolni są od tak dawna, że wolność uważają za przyrodzony stan człowieka. W ustroju, który wytworzyli — pieniądź jest głównym wyrazem i miernikiem wolności, ponieważ otwiera przed jednostką możliwości proporcjonalne do wysokości konta bankowego. Dla Amerykanina, który wolność pojmuje materialistycznie — nie zawsze jest zrozumiałe, że partyzant Viet-Congu, którego dobytek nie przenosi 50-ciu centów — gotów jest poświęcić życie dla wolności. Co jemu z wolności kiedy jest w nędzy? Dopóki jest w nędzy nie może zdobyć wolności od głodu i niedostatku. Amerykanie gotowi są dać owemu partyzantowi wolność od nędzy, niedostatku, chorób i ciemnoty. Dlaczego ci ludzie nie chcą brać tego co jest im ofiarowywane w dobrej wierze?

Amerykanie muszą pojąć, że są narody, często zacofane i biedne, które wolność w sensie narodowego samostanowienia i sprawiedliwości społecznej cenią wyżej od wolności „dolarowej”, od wolności od nędzy i głodu.

Komunizm jest fałszywą religią — niemniej obiecuje realizację tych właśnie głęboko odczutyh i szlachetnych postulatów. Ci, którzy mówią o „indoktrynacji politycznej” wylewają zazwyczaj dziecko wraz z kąpielą. Indoktrynacja dotyczy środków a nie celów. Partyzantów Viet-Congu żaden politruk nie musi przekonywać, że wolność od kolonializmu jest pożądana, że reforma rolna jest koniecznością, że wyzysk winien być zlikwidowany. To są pragnienia powszechne, autentyczne i fanatycznie wyznawane. Fałsz indoktrynacji polega tylko na tym, że komuniści obiecują zaspokojenie tych dążeń — choć nigdzie dotąd na świecie nie sprostali nadziejom w nich pokładanym.

Istotą tragedii wietnamskiej jest fakt, że partyzant Viet-Congu jest głęboko przekonany, że Amerykanie odrzucają nie tylko metody lecz i cele. W takiej sytuacji gdyby nawet bardziej światły partyzant miał wątpliwości czy komunizm jest właściwą drogą do osiągnięcia narodowych i społecznych postulatów — pozbawiony jest alternatywy. Dlatego odpowiedzią na komunizm może być tylko alternatywny model rewolucji społecznej, który realizowałby bez oszukaństwa powszechne dążenia do narodowego samostanowienia i reform społecznych.

Czytelnik zauważy, że jest to w skali globalnej niezmiernie wygórowane „zamówienie społeczne”. Niewątpliwie — lecz rządzenie światem jest z całą pewnością najtrudniejszą rzeczą na świecie.

Witold Staniewicz

W lipcu zeszłego roku zmarł w kraju w wyniku ataku sercowego profesor Witold Staniewicz, który od zakończenia wojny zajmował katedrę ekonomiki rolnej na uniwersytecie poznańskim. Był jedną z wybitnych postaci Polski z okresu dwudziestolecia niepodległości. Dwukrotny rektor uniwersytetu wileńskiego, Minister Reform Rolnych w 1926-30, który sprawę przebudowy ustroju agrarnego z dziedziny nieodpowiedzialnej frazeologii przesunął na tory sprężystej polityki wykonawczej, organizator wielu badań naukowych w zakresie różnych problemów polskiego rolnictwa, a równocześnie pod względem politycznym jeden z przywódców postępowej opinii wileńskiej. Jego osobiste dzieje nadają się wyjątkowo jako punkt wyjścia do rozważenia dwóch podstawowych okresów Polski po przewrocie majowym: 1) okresu dynamizmu i wielkich nadziei w 1926-1930 oraz 2) okresu pogłębienia się kryzysu ustrojowego w dziedzinie politycznej, oraz wzrostu tendencji do stagnacji w dziedzinie gospodarczej. Ten ostatni okres rozpoczął się w dziedzinie politycznej od sprawy brzeskiej, a w dziedzinie gospodarczej znalazł swój wyraz w polityce deflacyjnej. W obydwóch ostatnich sprawach, Staniewicz, chociaż zawsze osobiście lojalny wobec Marszałka Piłsudskiego, znalazł się w wyraźnej opozycji do polityki ówczesnych rządów.

W okresie Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich w latach 1919-20 trzydziestoletni wówczas dr Staniewicz był starostą Trockim. Gdy w lipcu 1920 r. wojska bolszewickie zbliżyły się do Wilna, Staniewicz, który nigdy przedtem nie był w wojsku, znalazł się w szeregach walczących, kilkakrotnie chlubnie się odznaczył, i w ciągu kilku miesięcy był już podporucznikiem i kawalerem *Virtuti Militari*. W niespełna cztery miesiące potem wrócił do Wilna jako jeden z adiutantów gen. Żeligowskiego. Szefem

adiutantury był brodaty kapitan Aleksander Prystor, dawny bojowiec PPS'u, a późniejszy premier Rzeczypospolitej. Adiutantura gen. Żeligowskiego była w owym czasie rodzajem sztabu politycznego, którego rola polegała nie tylko na rozpracowywaniu rozkazów bezpośredniego dowódcy, lecz przede wszystkim na przekazywaniu mu natchnień płynących z innych źródeł. Do sztabu Żeligowskiego należał wówczas również inny późniejszy premier, major Marian Zyndram-Kościałkowski.

Na początku 1922 r. Staniewicz został wybrany do Sejmu Wileńskiego a stamtąd przeszedł do Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej, gdzie przyłączył się do klubu Stronnictwa Ludowego „Piast”. Po zakończeniu kadencji Sejmu postanowił poświęcić się pracy naukowej. Był przez kilka lat starszym asystentem na uniwersytecie Stefana Batorego, zajmując się przeważnie problemami z zakresu historii rolnictwa w Wielkim Księstwie Litewskim. Habilitował się w zakresie ekonomiki rolnej i polityki agrarnej u Władysława Grabskiego w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i został powołany na katedrę ekonomiki rolnej na Politechnice Lwowskiej, a wkrótce potem na świeżo ustanowioną katedrę tych przedmiotów na wydziale rolnym Uniwersytetu Stefana Batorego. W kilka tygodni po przewrocie majowym w 1926 r., 37-letni profesor Staniewicz został powołany na Ministra Reform Rolnych. W ciągu czterech lat urzędowania, jego dynamiczna natura i talenty organizacyjne zaważyły ogromnie na tym kierunku przemian strukturalnych, które cechowały rolnictwo polskie między wojnami.

Reforma Rolna

Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej jedną z największych przeszkód do rozwoju gospodarczego Polski była niezdrowa struktura agrarna. Dotyczyło to szczególnie wschodnich i centralnych dzielnic państwa. Z całości około 20 milionów ha. ziemi uprawnej około 13,5 milj. ha., tzn. około 2/3, było w rękach włościan, a reszta w rękach wielkich właścicieli ziemskich, państwa oraz Kościoła. Lecz większość gospodarstw włościańskich nie była zdolna do normalnego rozwoju z powodu wadliwej struktury własności rolnej. W Polsce było około 3,3 milionów gospodarstw rolnych, z tych jednak ponad 2 miliony, czyli około 2/3, to były gospodarstwa karłowate, poniżej 5 ha., w tym około miliona poniżej 2 ha. Na ogół uważano że, aby rodzina włościańska mogła utrzymać się z gospodarstwa, było potrzeba co najmniej 5 ha.

Nad Polską ciążył problem przeludnienia agrarnego, który,

według niektórych obliczeń oceniano na 8 milionów osób, co po odliczeniu niepracujących członków rodzin musiało stanowić około 3 milionów częściowo bezrobotnych. Oznaczało to marnowanie na ogromną skalę potencjału wytwórczego narodu, a jednocześnie ogromne zwięźenie rynku wewnętrznego, bo ci co nie pracowali nie mogli być odbiorcami produktów przemysłowych.

Takie było podłoże kwestii reformy rolnej, która w ciągu pierwszej dekady po otrzymaniu niepodległości stanowiła jeden z centralnych problemów polskiego życia wewnętrznego. Na ogół wszyscy się zgadzali, że parcelacja wielkiej własności była nieunikniona, lecz kwestiami spornymi były: zakres tej reformy, oraz odszkodowanie dla właścicieli. Niejasna była również kwestia kto będzie miał pierwszeństwo przy podziale ograniczonego zapasu ziemi: właściciele karłowatych gospodarstw czy też bezrolni robotnicy wiejscy. Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” domagało się możliwie radykalnego przeprowadzenia parcelacji. „Piast”, najliczniejsze stronnictwo sejmowe, na czele którego stał Wincenty Witos, zajmowało postawę nieco bardziej umiarkowaną. Sfery ziemiańskie poprzez bardzo liczne kanały wpływów usiłowały przeprowadzenie tej reformy zatamować, wysuwając różnego rodzaju argumenty natury ekonomicznej, wojskowej, a nawet socjalnej (np. zaopatrzenie robotników przemysłowych w produkty rolne). Wśród niezależnych przedstawicieli nauk ekonomicznych i rolniczych toczyły się spory co do rodzaju ustroju rolnego, najbardziej wskazanego z punktu widzenia ogólnopaństwowych interesów gospodarczych. Na ogół przeważał pogląd że silna gospodarka włościańska dawała największe możliwości podniesienia dochodu narodowego, chociaż system wielkiej własności ziemskiej dawałby prawdopodobnie wyższą sumę czystych zysków, co ułatwiłoby zbudowanie racjonalnego systemu opodatkowania.

Była również szkoła myślenia, która częściowo rozwiązania problemów agrarnych Polski szukała w kolonizacji Ziemi Wschodnich: Wileńszczyzny, Nowogródzkiej, Polesia i Wołynia. Projekty te były wysuwane przez bardzo ruchliwą i stosunkowo społecznie radykalną grupę działaczy „Straży Kresowej”, za którymi stała, rzekomo, konspiracja „Zet”. Pomijając aspekt polityczny tych projektów były one utopią pod względem gospodarczym, bo Ziemi Wschodnie były tak samo rolniczo przeludnione jak i centralna Polska. Projekty te pociągały jednak niektóre wybitne umysły, jak np. Władysława Studnickiego, jednego z najwybitniejszych pisarzy politycznych jakich Polska miała na początku tego stulecia. Wincenty Witos zdawał się również żywić różne iluzje związane z tymi projektami.

Ustawa ustalająca zasady reformy rolnej była ostatecznie uchwalona w 1925 r. Wynikało z niej, że ustrój agrarny Polski

miał się oprzeć na średnich i drobnych gospodarstwach rolnych. Jako zasadnicze maksimum ustalono 180 ha. dla centralnych i zachodnich dzielnic; 300 dla wschodnich dzielnic oraz 60 ha. dla okolic podmiejskich, z pewnymi odchyleniami w wypadku gospodarstw wzorowych lub służących celom badań naukowych. Parcelacja miała być przeprowadzona planowo, i w miarę możliwości oparta na dobrowolnych transakcjach finansowanych przez Państwowy Bank Rolny.

W 1926 przyszły wypadki majowe, które zmieniły strukturę życia politycznego w Polsce. Jakakolwiek może być ocena późniejszych politycznych skutków tych wypadków, ich bezpośrednim dodatnim rezultatem było, że dały one możliwość konsekwentnego realizowania programu tym ministrom, którzy taki program mieli. Potężny cień Marszałka Piłsudskiego chronił pozytywne poczynania przed oparami intryg i rozgrywek personalnych wiążącymi z kuluarów sejmowych. System polityczny III Republiki, na którym była wzorowana konstytucja 1921, rodził wiele ujemnych zjawisk w życiu Francji po Pierwszej Wojnie Światowej. Przeniesiony na grunt Polski stał się on źródłem chaosu i demoralizacji. Jednym z celów przewrotu majowego było właśnie naprawienie wad strukturalnych tego systemu. Powołany bezpośrednio po przewrocie rząd Kazimierza Bartla (byłego ślusarza w warsztatach kolejowych, który własnym wysiłkiem potrafił dojść do katedry geometrii wykresłej na politechnice Lwowskiej i odznaczył się jako organizator naszego kolejnictwa podczas kampanii 1920 r.) był chyba najbardziej sprężystym rządem jaki Polska posiadała w okresie niepodległości. Celem tego rządu było uzdrowienie, lecz w żadnym wypadku nie obalenie, demokracji w świeżo odbudowanym państwie. Prof. Bartel, tak samo zresztą jak i Marszałek Piłsudski, który zachował sobie tekę Ministerstwa Wojny, stanowczo odrzucał wszelkie koncepcje recepcji wzorów faszystowskich, które wówczas były modne w różnych kołach młodzieży zbliżonej do Narodowej Demokracji. W owym okresie słowo „sanacja” nie miało tego odcienia ironii, jakiego nabrało potem.

W tym właśnie rządzie Staniewicz stał się odpowiedzialny za poczynania w zakresie przebudowy naszego ustroju rolnego. W kilka tygodni po otrzymaniu nominacji przyjechał do Wilna gdzie na konferencji prasowej, zwołanej do gmachu województwa, ogłosił swój program przebudowy agrarnej, który stał się linią przewodnią nie tylko jego własnej polityki, lecz również polityki wszystkich jego następców w kierownictwie reformą rolną.

Podstawowym założeniem tego programu było, że ustrój agrarny Polski musi się oprzeć na zdrowych, tzn. zdolnych do rozwoju i ciągłego podnoszenia wydajności w gospodarstwach włościańskich.

Pierwszym warunkiem postępu w rolnictwie polskim było — zdaniem Staniewicza — przełamanie ram gospodarki naturalnej. W owym czasie było częstym zjawiskiem, szczególnie na wschodzie kraju, że włościanin sprzedawał tylko tyle, ile mu było potrzeba aby zapłacić podatki oraz kupić nieco soli. Postępowe gospodarstwo włościańskie musiało, jego zdaniem, produkować przede wszystkim na rynek i samo przyczyniać się do tworzenia wewnętrznego rynku dla przemysłu. To zaś było bardzo trudne tak długo dopóki ogromną część gospodarstw włościańskich stanowiły jednostki poniżej 10 ha., składające się ponadto z kilkunastu sznurów ziemi na różnych częściach wioskowych gruntów.

Centralnym więc problemem była nie tyle parcelacja, aby zaspokoić głód ziemi (którego zaspokojenie w warunkach dużego przyrostu naturalnego na wsi było niemożliwe), lecz przede wszystkim uzdrowienie ogromnej ilości karłowatych gospodarstw, nie dających podstawy ani do utrzymania rodziny właściciela ani też do inwestycji i rozwoju. Na pierwszy plan został więc wysunięty program użycia określonego przez ustawę o reformie rolnej zapasu ziemi dla upełnorolnienia gospodarstw karłowatych. Dalszym punktem wysuniętym przez Staniewicza była komasacja, tzn. usunięcie szachownicy, która stanowiła jedną z głównych przeszkód do użycia bardziej postępowych metod produkcji w drobnych gospodarstwach rolnych. Program Staniewicza wyrażał się zatem przede wszystkim w trzech słowach: upełnorolnienie, komasacja i likwidacja serwitutów, a dopiero na czwartym miejscu szła akcja tworzenia, przy pomocy kredytów Banku Rolnego, zupełnie nowych gospodarstw z parcelowanych majątków (choć w ciągu pięciolecia ministrowania Staniewicza, 1926-30, rozparcelowano więcej ziemi niż w jakimkolwiek innym pięcioleciu w okresie dwudziestolecia niepodległości). Na piątym miejscu stały studia i prace przygotowawcze do ustawy o niepodzielności drobnych gospodarstw rolnych. Przeprowadzenie tej reformy, która wymagała rewizji prawa spadkowego było ważnym elementem programu Staniewicza na dalszą metę. Sprawa osadnictwa na Ziemiach Wschodnich została odsunięta na dalszy plan. Jego cichym marzeniem było również założenie na Wołyniu kilku kolektywów rolnych, aby zebrać materiał doświadczalny jak tego rodzaju kooperacja może się odbić na produktywności rolnictwa polskiego.

Staniewicz ustąpił w 1930, po czterech latach urzędowania, w momencie gdy rozpoczął się proces degeneracji systemu pomajowego. Jakikolwiek były przyczyny tej degeneracji i jakiegokolwiek jej objawy na poszczególnych odcinkach życia państwowego dotknęła ona stosunkowo nieznacznie resort Ministerstwa Reform Rolnych. Wszyscy następcy Staniewicza w kierowaniu tym resortem zachowali zasadniczy kościec jego polityki realizując ją

z mniejszym lub większym powodzeniem. Po ustąpieniu Staniewicza tempo parcelacji oraz likwidacji serwitutów spadło bardzo poważnie, lecz polityka komasacyjna kontynuowana była z nie słabnącą energią. W rezultacie, w okresie dwudziestolecia niepodległości, zostało dokonane bardzo poważne przekształcenie struktury agrarnej Polski. Ponad 3 miliony hektarów przeszło z rąk wielkiej własności ziemskiej do rąk włościan, pozostawiając w rękach większej i średniej własności, państwa, Kościoła oraz innych związków prawa publicznego jedynie około 1/5 całości użytków rolnych. Prace komasacyjne zaś objęły około 6 milionów ha.

Gdy w 1944 r., po trzech latach doświadczeń wojennych i więziennych, przyjechałem ze Środkowego Wschodu do Londynu, aby objąć Dział Wschodni w Ministerstwie Spraw Kongresowych, znalazłem tam szereg opracowań, które, jako jeden z głównych argumentów przeciwko wrogiej nam propagandzie, rozpowszechniającej opinie o nieudolności Polaków w sprawach gospodarczych, wysuwały wyniki w zakresie przebudowy ustroju agrarnego. Z tej właśnie perspektywy rola, jaką Staniewicz odegrał w końcu pierwszego dziesięciolecia po odzyskaniu niepodległości zarysowała się szczególnie jaskrawo.

Antydeflacionista

Jakiegokolwiek bądź były przyczyny postawy krytycznej Staniewicza po 1930 r., jeden element w nich był jasny: nie mógł on pogodzić się z naszą polityką gospodarczą w okresie kryzysu światowego. Staniewicz studiował ekonomię w Niemczech gdzie przeważała doktryna szkoły historycznej. Nie miał więc specjalnego przywiązania do logicznych konstrukcji ekonomii klasycznej, której zwulgaryzowana interpretacja znalazła swój wyraz w koncepcji polityki deflacyjnej.

Teoria deflacyjna głosiła, że parytet złota musi być za wszelką cenę utrzymany, zaś ceny przemysłowe należało obniżyć do poziomu, do jakiego spadły w okresie kryzysu ceny rolnicze. Nie była to w istocie rzeczy doktryna liberalna, chociaż wynikała z wiary w dziewiętnastowieczny liberalizm ekonomiczny. Głosiła ona, że w drodze nacisku administracyjnego należy osiągnąć te skutki depresji gospodarczej, które, według klasyków ekonomicznych, musiały przyjść żywiołowo. Deflacyoniści, chociaż chcieli zastosowania nacisku administracyjnego na niektórych odcinkach (przede wszystkim na odcinku cen ustalonych przez przemysły skartelizowane), głosili zasady bierności wobec kryzysowego marazmu w życiu gospodarczym. Gdy Rosja, a nieco potem Niemcy, prowadziły politykę zaciskania pasa aby zdobyć środki na wielkie inwestycje,

tycje, deflacyoniści polscy proponowali zaciśnięcie pasa aby zmusić społeczeństwo do zdyscyplinowanego wyczekiwania na zmianę pogody gospodarczej. Wierzyli, że w ten sposób automatycznie siły rynku najprędzej mogą przynieść poprawę.

Polscy deflacyoniści nie byli wyjątkiem na świecie. Na początku wielkiej depresji lat trzydziestych próby zastosowania polityki deflacyjnej były robione prawie we wszystkich krajach kapitalistycznych. Był to wpływ doktryny, w której większość europejskich mężów stanu była wychowana. Nigdzie jednak, z wyjątkiem Francji i Polski, nie dało się tej polityki prowadzić przez dłuższy okres czasu. Pragmatyczni Brytyjczycy szybko zorientowali się w konieczności zastosowania pewnych nadzwyczajnych środków i, ku zdumieniu całego świata, w r. 1931 sztucznie obniżyli parytet funta angielskiego. Za nimi wkrótce poszedł Roosevelt ze swoją polityką *New Deal*'u. W Niemczech początkowe próby deflacyjne ze strony rządu Brüninga ostateczne swoje rozwiązanie znalazły w oddaniu przez naród niemiecki przywództwa w ręce Hitlera i nazistów. We Francji, gdzie deflacja trwała dłużej, bo miała podstawy w wielkich zapasach złota, rządy Bluma oraz Frontu Ludowego przyniosły jej zakończenie.

Staniewicz był przeciwnikiem polityki deflacyjnej. Jego czynna postawa wobec życia nie mogła pogodzić się z myślą, że rząd ma zająć postawę biernego wyczekiwania aż choroba gospodarcza, której źródła były na wielkich giełdach świata, daleko poza granicami Polski, ulegnie automatycznemu przesileniu. Poza tym polityka deflacyjna rozbijała całą jego koncepcję przebudowy wsi w Polsce centralnej i południowej, oraz na tych ziemiach dawnego W. Ks. Litewskiego oraz Ukrainy, które weszły w skład odrodzonej Rzeczypospolitej.

Staniewicz uważał, że warunkiem podstawowym dla rozwoju gospodarstwa włościańskiego musiał być duży rynek wewnętrzny, co oznaczało rozwój miast i przemysłu. Z drugiej strony bogata wieś stwarzała warunki i podniecię dla rozwoju przemysłu. Staniewicz widział rozwój gospodarczy jako proces kumulacyjny. Odpowiedzialność rządu polegała na tym aby wyselekcjonować te odcinki, na których musiała być dana szczególna podnieta do tych procesów rozwojowych. Staniewicz widział taki odcinek przede wszystkim w przetwarzaniu (poprzez proces parcelacji, komasacji i likwidacji serwitutów) karłowatego gospodarstwa chłopskiego w silną jednostkę gospodarczą nabywającą produkty przemysłowe oraz zdolną do akumulacji i inwestycji. Czechowicz i Kwiatkowski źródło przyszłej dynamiki gospodarczej Polski widzieli przede wszystkim w inwestycjach przemysłowych i transportowych. Te koncepcje wzajemnie uzupełniały się i łączyły w harmonijny program rozbudowy gospodarczej Polski.

Staniewicz szczególnie wysoko cenił współpracę z Ministrem Skarbu Czechowiczem, zaszczytną potem przez przywódców sejmowych z powodu drobnej w istocie nieformalności przekazania Ministerstwu Spraw Wewnętrznych 8 milionów złotych, na polecenie Premiera, lecz bez odpowiedniego upoważnienia w ustawie budżetowej. Czechowicz w biurach Ministerstwa Skarbu przygotowywał wielki plan uprzemysłowienia Polski. Staniewicz uważał go za właściwego inicjatora koncepcji COP'u. W owych pierwszych latach po przewrocie majowym polska polityka gospodarcza wracała do tradycji Lubeckiego.

Gdy przyszedł jednak kryzys światowy, i ceny rolnicze, a również wpływy budżetowe, zaczęły spadać, realizowanie tych koncepcji zostało znacznie utrudnione. Aktywna polityka inwestycyjna mogłaby stworzyć niebezpieczeństwo dla waluty, świeżo ustabilizowanej w 1927 r. Wśród wahań i dyskusji zarysowały się dwie postawy. Z jednej strony wysuwano różne projekty „nakręcania koniunktury”, które miały polegać przeważnie na różnego rodzaju inwestycjach publicznych, połączonych z wprowadzeniem kontroli dewizowej, z drugiej strony byli właśnie deflacyjni.

Było szereg przyczyn, które spowodowały że koncepcja deflacyjna kształtowała polską politykę gospodarczą prawie przez sześć lat. Po pierwsze intelektualna sugestywność tej doktryny. Główny chorąży polityki deflacyjnej, pułk. Ignacy Matuszewski, był niewątpliwie człowiekiem bardzo inteligentnym oraz doskonałym publicystą, lecz nowicjuszem w sprawach polityki gospodarczej. Abstrakcyjne konstrukcje ekonomiki klasycznej musiały mieć dla niego specjalną fascynację dzięki ich walorom intelektualnym. Profesor Władysław Zawadzki, który po nim objął tekę Ministra Skarbu, był jedynym Polakiem, który, przedtem nim zaświeciły gwiazdy Oskara Langego i Michała Kaleckiego, miał międzynarodową pozycję jako teoretyk ekonomii. Nie miał on jednak dostatecznie dużo intuicji, aby ocenić we właściwym momencie, że niebezpieczeństwa deflacji mogą być równie wielkie jak niebezpieczeństwa inflacji.

Po wtóre, pewną rolę w odrzuceniu projektów nakręcania koniunktury musiało odegrać ogólne przesunięcie się polityki rządów pomajowych w kierunku konserwatywnym, co prawdopodobnie jakoś wiązało się z usposobieniem Marszałka Piłsudskiego w okresie gdy coraz częściej zaczął zapadać na zdrowiu.

Po trzecie wydaje się, że w Polsce polityka deflacyjna mogła trwać dłużej niż gdzie indziej, bo odpowiadała bieżącym interesom warstwy urzędniczej i oficerskiej, które wkrótce po przewrocie majowym wykrystalizowały się jako warstwy rządzące w kraju. Podczas deflacji tracił dramatycznie rolnik oraz drobny i średni przemysłowiec, natomiast wartość realna poborów urzęd-

niczych i oficerskich rosła. „Jesteśmy narodem urzędniczym” pisał w owych dniach Stanisław Mackiewicz.

Po ustąpieniu z rządu Staniewicz wrócił do Uniwersytetu Stefana Batorego na stanowisko profesora ekonomii rolniczej i polityki agrarnej, oraz bardzo szybko potem został obrany Rektorem tego uniwersytetu. Zajęcie się wykładami oraz sprawowanie administracji uniwersytetu odsunęło Staniewicza od bezpośredniego zaangażowania się w bieżącą politykę gospodarczą. Pozostał jednak baczny obserwator tej polityki, doskonale orientującym się we wszystkich zakulisowych sprężynach maszyny rządowej. Okres ten dał mu również możliwość przemyślenia i bardziej zdecydowanego sprecyzowania własnego stanowiska w tych sprawach. *Arbeitsbeschaffung* w Niemczech, mistrzowsko sfinansowane przez Schachta w początkach rządów Hitlera, ułatwiało sprecyzowanie programu przełamania depresji. Staniewicz miał ogromną intuicję realnych sił w życiu gospodarczym. W owych latach był, prawdopodobnie, najlepszym kandydatem, jakiego można było w Polsce wymyślić, na cywilnego ministra wojny, który by nie tylko potrafił podnieść, w granicach naszych finansowych możliwości, stan zaopatrzenia armii, lecz również uczynić z tego impuls do ożywienia gospodarczego.

Po wojnie Staniewicz przeszedł na stanowisko profesora ekonomiki rolnej w Uniwersytecie Poznańskim. W kilka lat później, gdy zaczął się ciemny okres represji stalinowskich, został aresztowany oraz pozbawiony prawa wykładania, chociaż formalnie nadal pozostawał profesorem Uniwersytetu Poznańskiego. Normalną pracę uniwersytecką mógł rozpocząć dopiero po przemianach październikowych w 1956 r. Ten właśnie okres przymusowej bezczynności poświęcił on na studia nad polityką gospodarczą Polski w okresie kryzysu, a specjalnie nad tym co nazywano deflacją. Był do tego przygotowany lepiej niż ktokolwiek inny. Wygłosił na ten temat kilka odczytów w Poznańskim Towarzystwie Ekonomicznym. Część jego opracowań w tym zakresie została po październiku 1956 opublikowana w wydawnictwach tego Towarzystwa. Są to jednak rzeczy trudne do znalezienia na Zachodzie; nie ma ich w każdym razie w miejscu gdzie ten artykuł piszę. Należy przypuszczać, że wśród materiałów, które Staniewicz po sobie zostawił, musi być wiele rzeczy cennych dla przyszłego historyka gospodarki Polski w okresie dwudziestolecia niepodległości.

Profesor

Jako uczony Staniewicz miał dość różnorodne zainteresowania. Jego naukowy temperament był raczej temperamentem historyka

niż teoretyka ekonomii. Lubił grzebać się w archiwach. Był czynny w Wileńskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, pomagając w wielu sprawach niezapomnianej pamięci Stanisławowi Kościłkowskiemu. Habilitował się na monografiach gospodarczo-historycznych kilku wsi powiatu Lidzkiego. Jego ostatnią książką była monografia o Michale Oczapowskim, profesorze agronomii na Uniwersytecie Wileńskim za czasów Czartoryjskiego, wydana przez Akademię Nauk w Warszawie w 1963¹.

Jako profesor ekonomiki rolnej przywiązywał szczególne znaczenie do problemów związanych z towarowością drobnych gospodarstw rolnych, to znaczy do orientacji na rynek a nie na własną konsumpcję gospodarstwa. Dążył więc do ustalenia i rozpowszechnienia uproszczonych metod rachunkowości, które by umożliwiły drobnemu rolnikowi stałą kontrolę opłacalności i racjonalny wybór kierunków produkcji. Był on w tym zakresie zwolennikiem metod proponowanych przez szwajcarskiego uczonego i działacza rolnego prof. E. Laura. W okresie pełnienia obowiązków Ministra Reform Rolnych znalazł czas na przetłumaczenie i wydanie podręcznika Laura do użytku polskich studentów², organizował również specjalne kursy dla agronomów, aby spopularyzować użycie metod rachunkowości Laura.

Staniewicz był w Polsce jednym z pionierów tego co w Anglii nazywane jest *market research*. Często jako temat pracy dyplomowej dawał studentom studium rynku lokalnego. W ten sposób zebrano dużą ilość materiałów, co było ważnym warunkiem dla sformułowania programu rejonizacji produkcji rolnej w Polsce.

W r. 1930 Staniewicz objął po F. Bujaku kierownictwo Zakładem Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich w Puławach, łącząc te obowiązki z profesurą w Wilnie i kierownictwem własnego zakładu na Uniwersytecie Stefana Batorego. Pozostał w związku z Instytutem Puławskim również po wojnie. Dużo materiałów bibliograficznych, dotyczących zarówno własnych prac Staniewicza jak i prac jego niektórych uczniów, podaje Zbigniew Zakrzewski w artykule pt. „Zagadnienie rynku rolniczego w pracach Witolda Staniewicza” zamieszczonym w specjalnym 77 tomie „Roczników Nauk Rolniczych”³, wydanym przez PAN w

1. W. Staniewicz, *Michał Oczapowski — Życie, Twórczość Naukowa i Działalność Pedagogiczna*, Zakład Historii, Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk, Seria B, Zesz. 7, 165 str.

2. E. Laur, *Ekonomika rolnicza ze szczególnym uwzględnieniem organizacji i zarządu gospodarstw włościańskich*, przekład z niemieckiego według VII wydania W. Staniewicza, Łwów, 1928.

3. Zbigniew Zakrzewski, *Zagadnienie Rynku Rolniczego w Pracach Profesora Witolda Staniewicza*, Wyższa Szkoła Ekonomiczna w Poznaniu, Roczniki Nauk Rolniczych, Tom 77-G-3, 1964.

1964 roku w związku z 75-leciem urodzin Staniewicza i 40-leciem jego pracy naukowej, które przypadły na 1962 rok.

Mimo woli powstaje pytanie, jaki był wpływ tych wszystkich prac na losy rolnictwa polskiego? Trudno to ocenić z całkowitą obiektywnością. Przypuszczam, że był on większy, niż to na pierwszy rzut oka może się wydawać. Był to przede wszystkim wpływ na myślenie w sprawach gospodarczych. Dziś sowietolodzy na Zachodzie (np. Andrzej Korboński⁴), zastanawiają się nad pytaniem co było przyczyną tego, że Polska, jedyna z tzw. demokracji ludowych, była zdolna oprzeć się naciskom w sprawie kolektywizacji rolnictwa. Należy przypuszczać, że, obok różnych okoliczności sprzyjających, które tutaj trudno omawiać, było to, że Polska w okresie niepodległości wykształciła poważną kadrę ekonomistów rolniczych i agronomów myślących w kategoriach opłacalności finansowej gospodarstwa rolnego.

Sowiecki system organizacji rolnictwa był dla tych agronomów nie do przyjęcia przede wszystkim dlatego, że uniemożliwiał jakąkolwiek racjonalną kalkulację wobec braku, do ostatnich czasów, w Sowietach jednolitych cen na produkty rolne. Kołchoz został wprowadzony w Sowietach nie w celu racjonalizacji gospodarki rolnej, lecz w celu ułatwienia eksploatacji gospodarczej chłopu oraz w celu kontroli politycznej nad nim. Chaos cen na produkty rolne był nawet dla władz sowieckich wygodny, bo ułatwiał zamazanie faktu tej eksploatacji. Argumenty tych wykształconych ekonomicznie agronomów musiały oddziaływać na doły partyjne i przyczynić się do usztywnienia oporu przeciwko niszczeniu rolnictwa polskiego, a przede wszystkim naszej gospodarki hodowlanej, poprzez narzucanie wzorów sowieckich, które zresztą dzisiaj krytykowane są również w Związku Sowieckim.

To, że warstwa ekonomicznie myślących agronomów została w Polsce wykształcona, było zasługą przedwojennych centrów nauki rolniczej w Polsce oraz ekonomistów, którzy tam wykładali. Staniewicz nie był oczywiście jedyny na tym polu. Byli również inni: F. Bujak, S. Surzycki, Władysław Grabski, S. Moszczeński, W. Schramm, że wymienię tutaj tylko kilka najbardziej znanych nazwisk. Józef Poniatowski, chociaż nie miał katedry uniwersyteckiej, oddziaływał poważnie na kształtowanie się myślenia w sprawach ekonomiczno-rolniczych przez swoją działalność piśmienniczą. Staniewicz był jednak pomiędzy tymi ekonomistami postacią szczególnie jaskrawą przez swój dynamiczny stosunek do życia i otoczenia.

Nie sędzę jednak żeby Staniewicza można było uważać za

4. Andrzej Korboński, *Politics of Socialist Agriculture in Poland 1945-1960*, Columbia University Press, 1965.

przeciwnika kolektywizacji rolnictwa wszędzie i w każdych warunkach. Stosunek do tej koncepcji dla uniwersyteckiego ekonomisty nie jest, zresztą, rzeczą tak prostą jakby to z jednolitej obecnie postawy społeczeństwa polskiego w kraju i na emigracji mogło wynikać. Kołchoz w zasadzie jest jedną z wyższych form kooperacji w rolnictwie, a przecież każdy profesor ekonomiki rolnej uczy swoich słuchaczy o zaletach kooperacji wytwórczej w systemie drobnych gospodarstw rolnych. Zamieszanie pojęciowe wynikłe w rezultacie kolektywizacji sowieckiej pochodzi stąd, że Rosja stalinowska użyła tej, w zasadzie racjonalnej, formy organizacji rolniczej jako maski dla stworzenia aparatu przymusowej dystrybucji produktów rolnych oraz aparatu kontroli politycznej nad życiem wsi. Kołchoz sowiecki był w istocie nawrotem do tradycji administracji tatarskiej, która w XIII i XIV wieku wprowadziła różne formy odpowiedzialności zbiorowej przy ściąganiu danin w podbitej części ziem ruskich.

Gdy w 1929 r. zaczęła się w Rosji masowa kolektywizacja, śledziłem ją z Wilna z wielkim zainteresowaniem i nawet z pewnym napięciem. Owa „tatarska” treść tej reformy nie była dla nas na początku jasna. Nie mogliśmy zrozumieć tego gwałtownego tempa, w jakim Stalin usiłował te zaiste rewolucyjne przekształcenie ustroju rolnego narzucić. Nie było także dla nas jasne dlaczego ta reforma połączona była z likwidacją najwybitniejszych rosyjskich specjalistów od rolnictwa i aprowizacji: Kondratiewa i Gromana. Staniewicz szczególnie interesował się koncepcją maszyno-traktorowych stacji (MTS'ów) i z pewnym odcieniem dumy zaznaczał, prawie przy każdej dyskusji na ten temat, że autor tej koncepcji, sowiecki agronom Mackiewicz, rzekomo pochodził z Wileńszczyzny.

Niestety nie dane mi było spotkać się ze Staniewiczem w czasach powojennych. Nie mogę więc stwierdzić jakiej ewolucji uległo jego stanowisko w tych sprawach w ostatnim okresie. Z jego artykułów ogłoszonych w wydawnictwach Poznańskiego T-wa Ekonomicznego⁵ wynika że sprawy, które swego czasu wysunął jako Minister Reform Rolnych, uważał nadal za pierwszoplanowy problem również w obecnych warunkach: upelnorolnienie karłowatych gospodarstw oraz powstrzymanie procesu dalszego rozdrobienia poprzez działy rodzinne. Niepokoił go ogromnie fakt, że w ciągu lat pięćdziesiątych struktura agrarna Polski nie polepszyła się lecz pogorszyła, a ilość karłowatych gospodarstw wzrosła. Ten niepokój o perspektywy rozwojowe rolnictwa polskiego był prawdopodobnie jedną z ostatnich trosk jego życia.

5. *Zagadnienie Struktury Rolnictwa Polskiego*, Poznań 1960 (nadbitka z *Rocznika* 1958/59).

Federalista Wileński

Pod względem politycznym Staniewicz należał do grupy inteligenckiej wyrosłej z tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz znanej pod nazwą „demokratów wileńskich” lub też „federalistów wileńskich”. Obok Staniewicza wśród wybitnych członków tej grupy, którzy w okresie pomiędzy dwoma wojnami odegrali pewną rolę w budowaniu państwowości polskiej, wymienić należy Witolda Abramowicza, Bronisława Krzyżanowskiego, Jana Piłsudskiego (brata Marszałka), Mariana Świechowskiego, Kazimierza Okulicza, Zygmunta Jundziłła, Aleksandra Prystora oraz Mariana Zyndram-Kościałkowskiego.

Dwie cechy charakteryzowały postawę ideologiczną tej grupy: 1) przywiązanie do tradycji Rzeczypospolitej Obojga Narodów, co stanowiło emocjonalną podstawę ich programu połączenia więzami federacyjnymi Polski, Ukrainy, Białorusi i Litwy; 2) wiara że ta tradycja, przechowana przeważnie wśród spolonizowanej szlachty litewskiej, da się pogodzić z różnymi formami społecznymi, politycznymi i gospodarczymi.

Ta ostatnia postawa różniła ich od konserwatywnych „krajowców”, reprezentowanych przez Stanisława Mackiewicza i jego „Słowo”. Mackiewicz gotów był również popierać projekt Rzeczypospolitej jako wielonarodowościowej federacji, lecz jego ideałem była przodownicza rola warstwy ziemiańskiej, zarówno w Polsce jak na Litwie i Ukrainie. Członkowie grupy demokratów wileńskich wierzyli, że w nowej epoce przedstawiciele polskich ugrupowań chłopskich i robotniczych potrafią znaleźć wspólny język z przedstawicielami szerokich mas litewskich i białoruskich, jak niegdyś panowie krakowscy potrafili znaleźć wspólny język z bojarami litewskimi. Ci demokraci litewscy, którzy dostali się do Sejmu Warszawskiego przed przewrotem majowym, zasiadali przeważnie w klubach ludowcowych: „Wyzwoleniu” i „Piaście”.

Federaliści Wileńscy byli przeciwnikami wcielenia Wilna do państwa polskiego. Ich program polegał na utrzymaniu historycznej roli Wilna jako stolicy Litwy, a jednocześnie na powiązaniu państwa litewskiego więzami federacji z Polską. Spodziewali się, że z czasem do takiej federacji mogą dołączyć nie tylko Ukraina i Białoruś, lecz również państwa bałtyckie. Ich marzeniem było stworzenie pomiędzy Rosją i Niemcami czegoś w rodzaju nowej Szwajcarii, gdzie również Żydzi uważani byliby za oddzielną narodowość, posiadającą autonomię kulturalną w ramach poszczególnych członów federacji. W Litwie Środkowej, gdzie w początkowym okresie federaliści mieli duże wpływy, język żydowski (*jidish*) był uznany za jeden z języków krajowych obok polskiego, litewskiego i białoruskiego.

Józef Piłsudski, należał w gruncie rzeczy do tej samej kategorii mężów stanu, wyrosłych z tradycji wileńskiej. Jego postawa „Jagiellońska” była nicią wiążącą tak zdawałoby się odrębne sprawy jak przekazanie Łotwie Inflant polskich, sojusz z Petlurą oraz stworzenie Litwy Środkowej, a potem, w 1922 r., konflikt z Sejmem, gdy Naczelnik Państwa wzbraniał się przed podpisaniem aktu wcielenia Wilna do Polski.

Potem gdy program federacyjny stracił swoją aktualność, a administracja Polski pomajowej coraz bardziej zaczęła ulegać prądom skrajnie nacjonalistycznym, członkowie grupy federalistów wileńskich starali się robić co można, aby w odrodzonym państwie polskim zapobiec zaostrzaniu się antagonizmów narodowościowych i utrzymać warunki dla możliwego wysunięcia ich programu w przyszłości. Bliski przyjaciel Staniewicza, Marian Świechowski, który został dyrektorem Instytutu Spraw Narodowościowych w Warszawie, chory na gruźlicę, goniąc ostatkami sił, chodził, przedkładał, interweniował, starał się przekonać tych, co mieli władzę, na czym polegał dalekosiężny interes polityczny Polski. Można było z łatwością przekonać wielu ministrów, lecz ministrowie nie panowali nad aparatem. Żywiłowe siły niosły Polskę do katastrofy.

Staniewicz był jednak optymistą, uważał że należy starać się przede wszystkim utrzymać te ośrodki oddziaływania na opinię publiczną, które federaliści mieli w swoich rękach (np. *Kurier Wileński*) aż otworzą się bardziej sprzyjające okoliczności do wysunięcia programu nowej organizacji historycznego terenu Rzeczpospolitej.

Byłoby niesłuszne uważać Staniewicza oraz „demokratów wileńskich” za epigonów rzeczy, które odeszły w bezpowrotną przeszłość. Pod wielu względami wyprzedzali oni swój czas i swoje środowisko. Epigonem, niewątpliwie, był Stanisław Mackiewicz z powodu wiązania swego programu organizacji politycznej wschodniej Europy z przodownictwem warstwy ziemiańskiej, skazanej przez obiektywne warunki na zejście z areny dziejowej. Koncepcja, którą „demokraci wileńscy” określali jako tradycję Jagiellońską, może stać się równie aktualna w ustroju znacjonalizowanego przemysłu oraz skolektywizowanego rolnictwa, jak była nią w czasach gdy inicjatywa polityczna należała do panów krakowskich oraz bojarów litewskich.

Okres traktatu Wersalskiego, w którym „demokraci wileńscy” próbowali realizować swoje koncepcje, był okresem przerostów nacjonalistycznych oraz rozdrabniania się Europy. Dziś przeważają tendencje integracyjne. Władcy dawnej Litwy rozpoczęli swoją politykę integracji Europy Wschodniej od połączenia imperium Litewskiego z Koroną Polską, lecz ich ambicje sięgały również

na Zachód, do Węgier i Czech. Możliwe, że nowy proces niezależnego organizowania się naszego regionu geograficznego zacznie się właśnie na Zachodzie od federacji Polski i Czech, lub nawet od tej koncepcji integracji Polski, Czech oraz Niemiec Wschodnich, której obecnie na łamach prasy emigracyjnej broni p. Wiktor Poznański; a dopiero kiedyś, potem, przyciągnięte zostaną Ukraina, Białoruś, Litwa i narody bałtyckie. Nie wiemy co przyszłość niesie Polsce, Europie i światu. Lecz nie jest wcale wykluczone że dawne idee „federalistów wileńskich” zaczną kiełkować znowu w nowych warunkach i wśród nowych ludzi, do których należy przyszłość.



Staniewicz jako człowiek był produktem tej atmosfery dworów i dworków litewskich, która tak bardzo zaważyła na dziejach kultury polskiej. Był więc romantykiem, chociaż bardzo realistycznym w metodach działania. Był pełen życzliwości do świata i ludzi. Dla błędów, niedociągnięć i wad bliźnich starał się zawsze wynaleźć jakieś wytłumaczenie. Była to jego postawa nawet w stosunku do tych, o których wiedział, że go nie lubili. Był w istocie rzeczy człowiekiem głęboko religijnym, chociaż w Wilnie przez dłuższy czas miał opinię „masona”.

W Poznaniu jego pogrzeb przerodził się w manifestację religijną i narodową. Kondukt żałobny prowadził jeden z sufragánów poznańskich przy asyście liczego kleru. Arcybiskup Baraniak, nieobecny tego dnia w Poznaniu z powodu uroczystości millenijnych gdzie indziej, nadesłał list, który odczytano nad otwartym grobem. Świecka część uroczystości odbyła się na dziedzińcu Wyższej Szkoły Rolniczej w obecności całego senatu uczelni w uroczystych strojach. Wygłoszono szereg przemówień, w których podkreślano nie tylko zasługi naukowe, lecz również stałość przekonań Zmarłego oraz jawność w ich wyznawaniu. Niektóre przemówienia były podobno bardzo śmiałe. Podkreślano również, że w życiu prywatnym ten wybitny uczony, polityk i administrator odznaczał się religijnością, którą cechowała prostota niemal dziecięca.

Stanisław SWIANIEWICZ

Notre Dame, Indiana, Stany Zj.
Kwiecień 1967.

Mikołaj Ciurlionis

„Of the great individualist of the new epoch, Ciurlionis, must be given a foremost place. He must be understood and appreciated not only for the mystic and seer that he was, but also for his unique aesthetic and pictorial ideas”.

Bernhard Berenson

Z listu do Aleksisa Rannita

Na przestrzeni ostatnich pięciu lat da się zauważyć wzmożone zainteresowanie twórczością Mikołaja-Konstantego Ciurlionisa (1875-1911), litewskiego malarza i kompozytora w jednej osobie. W związku z jego pięćdziesiątą rocznicą śmierci i dziewięćdziesiątą rocznicą urodzin na łamach czasopism artystycznych *Cimaise*, *XX Siècle*, *Lituanus*, *Współczesność*, *Komunist*, pojawiły się liczne artykuły, wskrzeszające pamięć o tej zagadkowej i jednocześnie fascynującej osobistości twórczej. Wychodząc często z pozycji metodologicznych zupełnie odmiennych (żeby nie powiedzieć wrogich sobie), autorzy dochodzą do wniosków równie sprzecznych. Takim sposobem jeszcze w latach pięćdziesiątych ukształtowały się dwie tezy:

1 — niektórzy autorzy zachodnioeuropejscy i amerykańscy nie żalowali słów aby okrzyknąć Ciurlionisa „pierwszym abstrakcjonistą” (przed Kandinskim oczywiście);

2 — historiografowie sowieccy, wychodząc z pozycji socrealizmu, przewrażliwieni na punkcie abstrakcji i przez nich stworzonego „dekadentyzmu”, wydali zupełnie negatywną opinię o jego malarstwie. Naiwność określenia W. Wansłowa¹, że to „chao-

1. W. Wansłow — „Otrażenie dejstwitelnosti w muzyke”, Muzgiz 1953. Ciurlionis”, Vilnius 1961.

tyczny beład pomieszanych linii' nie zasługiwałyby na większą uwagę, gdyby nie fakt, że sądy o podobnej jałowości intelektualnej zaciążyły swoją doktrynalnością ideologiczną na kierunku prac późniejszych badaczy litewskich, którzy starają się udowodnić, że Ciurlionis był jak najbardziej „narodowym” artystą². Podejrzenie o abstrakcję spowodowało że przez dłuższy czas nałożono „tabu” na jego osobę, tak samo jak do dzisiaj obrazy Malewicza i Tatlina znajdują się w niedostępnych dla laików (i nawet dla specjalistów zagranicznych) magazynach „Ermitażu”.

Wzmózone badania nad początkami abstrakcji, w które obfituje historiografia o sztuce z lat 1946-1956, grzeszą zbytnim optymizmem. Autorzy zachodnioeuropejscy i amerykańscy w poszukiwaniu pierwszych abstrakcjonistów słusznie zwrócili się ku źródłom rosyjskim, niestety często zdarzało się że, z powodu braku możliwości dotarcia do dokumentów źródłowych, strzeżonych skwapliwie w ZSSR przez rzeczników socrealizmu, lub nawet z powodu nieznamośności języka rosyjskiego, niezliczone publikacje, którymi zarzucono rynek księgarski, nie dostrzegają całej prawdy lub w najlepszym wypadku podają informacje ogólnikowe, których prawdopodobieństwa nie można było sprawdzić 10 lat temu. Umożliwiały one wszelkie hipotezy — w płomieniu tego nienasycenia materiałem rzeczowym, intuicja autorów skonstruowała mit o M. K. Ciurlionisie „pierwszym abstrakcjonście”³. Ówczesne możliwości dokumentacyjne tłumaczą po części autorów z lat 1946-1956: nie znając dzieł malarskich artysty ani jego wypowiedzi o sztuce, trudno było poruszać się w wielobarwnym i tak skomplikowanym labiryncie sztuki rosyjskiej z lat 1895-1915. Z drugiej strony konsekwencje osiągnięć tej szkoły i choćby sama twórczość Kandinskiego nakazywały doszukiwać się prekursorów abstrakcji wśród symbolistów Petersburga i „łuczystów” moskiewskich, a nie tylko w środowiskach paryskich kubistów lub niemieckich ekspresjonistów, zgrupowanych wokół „Der blaue Reiter” i „Die Brücke”. Zaciekawienie nowoczesną sztuką rosyjską i wzmożone kontakty Wschód-Zachód umożliwiły w ostatnim dziesięcioleciu zachodnim specjalistom stworzenie realnej bazy dokumentacyjnej. Kilku amerykańskim archiwom i badaniom na miejscu, zawdzięczamy pierwszą prawdziwą historię sztuki rosyjskiej z okresu poprzedzającego bezpośrednio Rewolucję Październikową. Jest nią wspaniała praca angielskiej badaczki Camilli Gray pod tytułem: „Russian art: The great experiment”⁴. Mnożą się również monografie o czołowych postaciach tego „he-

2. Przedmowa Antanas Venclova do albumu z 32 ilustracjami „M. K.

3. A. Rannit „Lituanus”, vol. VII, nr. 2, 1961, New York, str. 38. Tam też Haftman Werner, Charmion von Wiegand, Hans Vollmer i inni.

4. Wyd. Thames and Houdson, London 1962.

roicznego” okresu: Łarionowie, Gonczarowej, Malewiczu. W tym nowym świetle, przyszedł czas na zanalizowanie mitu o Ciurlionisie, na znalezienie dla jego fascynującej twórczości odpowiedniego miejsca w wielkim gmachu historii sztuki naszego stulecia.

Dotychczasowe publikacje ograniczały się do zdawkowej analizy historycznej jego miejsca w dziejach sztuki europejskiej. Najciekawsze opinie wypowiedzieli jego współcześni⁵ — są to jednak tylko analizy estetyczne. W pracach tego typu starano się podkreślić raczej jego odrębność, która wtedy frapowała, aniżeli cechy które łączyły go z dążeniami współczesnych. Przy dzisiejszym stanie badań nad sztuką nie możemy się zgodzić na istnienie twórców niezależnych od bezpośredniego wpływu otoczenia, jego idej estetycznych, i mówiąc ogólniej, epoki, zadawalając się tylko emfatycznymi twierdzeniami o genialności Mikołaja Ciurlionisa, o wyjątkowej oryginalności jego koncepcji plastycznych. W celu ułatwienia sobie „uszufladkowania” twórczości naszego artysty, stworzono jeszcze w latach trzydziestych dziwny termin „muzykalizm” (który z kolejnych „izmów”?). Pomijając fakt niezrozumiałości semantycznej i powierzchowności treściowej tego określenia, jest to klasyfikacja o tyle arbitralna, że odnosi się zaledwie do pewnej części twórczości artysty — i to tylko jednego artysty — co podaje w wątpliwość jej wartość.

Nawet tak dziwne w swojej formie przykłady stylistyczne jak dzieła El Greco, Gerôme Boscha, Arcimbolda lub Monsu Desiderio znalazły swoje miejsce w szeregach historii sztuki, które z samej definicji istnieją nie po to aby zwalczać pojęcie indywidualności artystycznej, ale aby wytłumaczyć specyficzne warunki które, w danym momencie historycznym, mogą umożliwić powstanie tak na wskroś niezwykłych dzieł jak pejzaże Toleda lub „metamorfozy” mediolańskiego manierysty Arcimbolda.

Istnienie tak zwanej „perspektywy historycznej” pozwala nam dzisiaj, dzięki oddaleniu w czasie, na osiągnięcie relatywnego obiektywizmu, do którego dąży każda teoria historyczna. Takim sposobem „zrehabilitowano” w ostatnich latach secesję wiedeńską, twórczość Beardsley’a i malarstwo symboliczne, poprzedzające kubizm i abstrakcje z lat 1905-1915. Ilość posiadanego przez nas dzisiaj materiału faktograficznego nie jest jeszcze zupełnie wystarczająca na skonstruowanie skomplikowanej tabeli niezliczonych prądów artystycznych, które z niesłychaną szybkością następowały po sobie w Moskwie i Petersburgu w latach 1895-1915, niemniej Camilla Gray dała główny schemat ewolucji tej niesłychanie bogatej epoki. Gdyby porównać przemiany, jakie

5. W. Iwanow — „Apollon” nr 3, 1914, tłumaczenie angielskie „Lituanus”, op. cit. 3.

zaszły w sztuce rosyjskiej od końca akcji „peredwizników” do wybuchu Rewolucji Październikowej (okres zaledwie dwóch pokoleń!), moglibyśmy ze zdumieniem stwierdzić, że przeszła ona przez wszystkie fazy sztuki zachodnioeuropejskiej, z okresu który moglibyśmy arbitralnie ograniczyć na lata 1860-1920. Za pomocą tego porównania możemy sobie wyobrazić bogactwo idei i różnorodność materiału formotwórczego, zawartego w dziełach każdego malarza rosyjskiego. Niesłychana chłonność tych artystów na nowe tendencje formalne utrudnia wszelkie sztywne klasyfikacje i, możliwe że z podobnych przyczyn, dopiero w obecnych latach możemy dokonać choć częściowej syntezy tego prawdziwego wulkanu artystycznego, do kształtowania się którego Ciurlionis przyczynił się w dużej mierze.



„Il y a plus de différence entre un homme et un autre homme, qu'entre deux animaux d'espèce différente”.

Michel de Montaigne

Nota biograficzna

Mikołaj-Konstanty Ciurlionis urodził się 12. IX. 1875 w małej miejscowości Varene na Litwie. Po ojcu, miejscowym organiście, odziedziczył nieprzeciętne zdolności muzyczne: cudowne dziecko, improwizujące na fortepianie w wieku lat 9-ciu, zwróciło swoim talentem uwagę księcia Ogińskiego. Ten wielki amator muzyki i hojny mecenas, do swojej śmierci będzie się opiekował Ciurlionisem. Z początku uczy się młody muzyk w szkole „orkiestrowej” księcia Ogińskiego w Płudze, a od roku 1893 studiuje w Warszawskim Konserwatorium fortepian, teorii i kompozycji u Noskowskiego. W tym czasie powstają jego pierwsze utwory kamealne: pieśni, preludia fortepianowe, sonaty i kwartety smyczkowe. Po ukończeniu tej uczelni w roku 1900, młody i obiecujący kompozytor udaje się do Lipska, aby udoskonalić swoje rzemiosło kompozytorskie pod kierownictwem słynnych profesorów C. Reinecke i I. Jadasona. „Czuąc się ciągle samotnym wśród Niemców”, jak pisał w listach do brata, oddaje się z zapałem twórczości kompozytorskiej. Z tego okresu pozostały utwory orkiestrowe — fuga (nagroda konkursowa „Gewandhaus'u” i wykonanie publiczne), uwertura „Keistas” i kwartet smyczkowy. Młody kompozytor nie ogranicza się tylko do muzyki. Jeszcze w Warszawie interesował się naukami przyrodniczymi, astronomią, geofizyką i modnymi z początkiem wieku naukami okultystycznymi. W Lipsku do tego różnobarwnego wachlarza zainteresowań dochodzą malarstwo i filozofia. Jego ulubionymi autorami są Nietz-

sche, Schopenhauer, Kant. Powszechne upodobania do dalekowschodniej egzotyki transponuje nasz artysta, z wrodzoną sobie powagą, w dziedzinę teorii filozoficznych — studiuje bardzo uważnie dzieła filozofów hinduskich: Rabindranata Tagore i Ramajana. Po powrocie do Warszawy w roku 1903 wzbogaci jeszcze Ciurlionis swój horyzont intelektualny popularną wtedy literaturą metafizyczną, z utworami Maeterlincka na czele. Co się tyczy jego gustów literackich, to był on raczej eklektykiem (jeżeli można poważnie opierać się na urywkowych wiadomościach, przekazanych przez jego brata). Muzyczne upodobania Ciurlionisa są typowe dla jego pokolenia. Od początkowego naśladownictwa Chopina, do którego przyczyniły się w dużej mierze studia w Warszawskim Konserwatorium (świadczą o tym choćby „mazurki” powstałe w tym okresie), uwolnił go kontakt ze środowiskiem niemieckim. W Lipsku poznaje młody muzyk twórczość Richarda Straussa, Berlioza, Maxa Regera. Uwielbia Bacha. Stara się nowymi środkami technicznymi wzbogacić i tak już skomplikowaną chromatykę harmonii postromantycznej. Śmierć Ogińskiego pozbawia go stypendium i zmuszony jest wrócić szybko do Warszawy, gdzie oddaje się pracy kompozytorskiej, zarabiając na życie prywatnymi lekcjami muzyki.

W tym czasie na Litwie odradza się poczucie narodowe. W Wilnie, Kownie i Warszawie tworzą się koła patriotyczne. Ciurlionis uczy się języka litewskiego i organizuje towarzystwo muzyczne w Warszawie, przy którym prowadzi chór litewski. W następnych latach (1904-1907) usilnie interesuje się folklorem: próbuje wprowadzić pierwiastek litewski do swojej twórczości muzycznej, zapisuje melodie ludowe. Z niezliczonych wędrowek po wsiach powstaną później opracowania na głos i fortepian, i harmonizacje na chór mieszany. Ogarnięty patriotycznym zapałem organizuje amatorskie chóry w Wilnie i Druskiennikach, tworzy w roku 1907 bazę przyszłego konserwatorium i jest „duszą” nowopowstałego litewskiego towarzystwa zachęty sztuk pięknych. W tym okresie nabierają ostatecznych kształtów jego ostatnie duże kompozycje — poematy symfoniczne „Morze” (zaczęty w roku 1901) i „Las” (1904-1907). Zeszyt programowych preludiów fortepianowych zamyka jego twórczość muzyczną, która już od roku 1904 wyraźnie słabnie i kończy się zdecydowanie w roku 1907. Od tej pory koncentruje się Ciurlionis wyłącznie na twórczości malarskiej.

Nie licząc rysunków z okresu dzieciństwa, poważne zainteresowanie malarstwem datuje się od czasów pobytu w Lipsku. Młody kompozytor zachwyca się wtedy niemiecką szkołą symboliczną z Böcklinem na czele. Uwielbia prerafaelitów angielskich i spędza sporo czasu w muzeach. W roku 1904 zaczyna malować jako

samouk i na jesieni zapisuje się do nowootwartej w Warszawie szkoły Sztuk Pięknych. Uczęszcza do tej uczelni zaledwie rok i to w sposób bardzo nieregularny. Jego niespokojna natura potrzebuje ciągłych zmian; bardzo lubi podróżować; korzystając z zaproszeń zaprzyjaźnionych rodzin wyjeżdża do Krakowa, Zakopanego i do Pragi, a w roku 1905 spędza letnie wakacje na Kaukazie. W następnych latach większość czasu spędza na Litwie, nie zrywając jednak kontaktów ze środowiskiem muzycznym Warszawy, do której często przyjeżdża. Niemniej rozwój jego twórczości malarskiej, na którą środowisko warszawskie było zupełnie obojętne, kieruje jego zainteresowania w stronę Petersburga, gdzie poczynając od roku 1908, wystawia regularnie swoje płótna. Wyjechawszy do Petersburga od razu po ślubie z Zofią Kymantaitė (1. I. 1909) spędza tam prawie rok malując w gorączkowym zapale niezliczone obrazy z serii „Stań się!” (Stworzenie świata); Rex i „sonaty”. Nieustanne trudności materialne, przemęczenie i pogorszony stan zdrowia przyspieszają jego powrót do Wilna. Lekceważone dotychczas przez artystę zaburzenia psychiczne przybierają na sile, czająca się choroba wybucha z całą grozą. Ciurlionis zostaje oddany do sanatorium dla umysłowo chorych „Pustelnik” pod Warszawą⁶. W tym zakładzie spędza ostatni rok życia (umarł 10. IV. 1911). Trudno jest wyobrazić sobie tragedię tej niesłychanie żywotnej natury, skazanej na bezczynność i walkę z nieuleczalną wtedy chorobą.

Gdyby uważnie przyjrzeć się historii sztuki z końca XIX wieku i początku XX, można łatwo zauważyć, że choroba umysłowa naszego artysty nie jest wypadkiem odosobnionym. Wystarczy przypomnieć sobie los czołowego symbolisty rosyjskiego Mikołaja Aleksandrowicza Wrubla (1856-1910), który już od roku 1905 przestał malować i był umieszczony w zakładzie dla umysłowo chorych, gdzie umarł. Podobny jest los Witolda Wojtkiewicza (1872-1911), Aleksandra Skriabina (1872-1915). Do tej grupy można dołączyć Toulouse-Lautrec’a (1864-1901), Maxa Regera (1873-1916), Beardsley’a (1872-1898) i nawet Stanisława Wyspiańskiego (1867-1907).

Twórczość muzyczna

Na podstawie analizy twórczości muzycznej Ciurlionisa, można zaliczyć go do postromantycznej szkoły rosyjskiej, pozostającej w tej epoce pod wyraźnym wpływem niemieckich romantyków z końca XIX wieku i w szczególności uczniów Liszta. Poszukiwania nowych współbrzmień harmonicznym tego zaledwie 30-let-

6. Zakład ten nie istniał już po I. Wojnie Światowej.

niego kompozytora, pozwalają porównywać go ze Skriabinem, pod wpływem twórczości którego napisał on swoje ostatnie utwory fortepianowe. Ewolucja języka dźwiękowego Ciurlionisa w tych ostatnich utworach z lat 1906-1907 jest szczególnie ciekawa.

Pewne pomysły muzyczne pozwalają nam porównywać je z wczesnymi utworami Karola Szymanowskiego (ur. 1882) i snuć przypuszczenia że gdyby artysta żył i tworzył dłużej mógłby ewoluować w stronę rodzącej się szkoły ekspresjonistycznej... Eklektyzm formalny zbliża go do Maxa Regera — zamiłowanie do Bacha, fugi i formy wariacyjnej. Poematy symfoniczne i uvertura „Keistas” są typowym przykładem muzyki programowej tego okresu. Zamiłowanie do folkloru litewskiego wyraża się dużą ilością opracowań melodii ludowych na głos z towarzyszeniem fortepianu lub chór mieszany. Niestety nie udało się Ciurlionisowi usłyszeć za życia dużej części swoich kompozycji. Niektóre z nich zostały wykonane na pośmiertnym koncercie w Wilnie (w roku 1912), poemat „Las” dopiero w latach trzydziestych. Niemniej jego znaczenie dla muzyki litewskiej jest ogromne. Był on pierwszym litewskim kompozytorem na skalę europejską, posiadającym solidne rzemiosło kompozytorskie i duży talent. Swoim przykładem osobistym i twórczością, stworzył bazę dla całej późniejszej plejady kompozytorów tego kraju. Zorganizował prawie sam całe życie muzyczne Litwy: zakładał amatorskie chóry, towarzystwa muzyczne i Konserwatorium w Wilnie. Przystawiwszy się w zupełności na twórczość malarską w latach 1906-1907, zajmował się ciągle pracą muzyczną w charakterze organizatora, choć większą uwagę poświęcał nowopowstałemu towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych, organizując coroczne wystawy plastyczne. W porównaniu z jego twórczością muzyczną, dla historii sztuki XX wieku, o wiele ciekawsze jest jego DZIEŁO MALARSKIE.



Ciurlionis malował zaledwie przez sześć ostatnich lat życia. Powstała w tym okresie zdumiewająca ilość dzieł, jeżeli weźmie się pod uwagę ożywioną działalność społeczno-organizatorską i nieustające troski materialne, z którymi borykał się przez całe życie. Na przestrzeni tego krótkiego okresu stworzył on około 300 obrazów (malowanych przeważnie temperą), dużą ilość rysunków (ołówek, tusz), projektów do dekoracji scenicznych, winietek dekoracyjnych. Niestety duża część jego dzieła zginęła w Petersburgu w okresie Rewolucji Październikowej (między innymi obraz z cyklu „Piramid”, który był własnością Igora Strawińskiego). Ten sam los spotkał kilka innych obrazów, które jego brat wy-

wiół do USA w latach trzydziestych. Dla historiografów początków sztuki abstrakcyjnej jest to strata wyjątkowo bolesna, gdyż w tej liczbie znajdował się słynny obraz z cyklu „Stworzenie Świata” (*Stań się!*), o który toczyły się potem wszystkie spory o abstrakcję. Obecnie większość pozostałych po Ciurlionisie dzieł i dokumentów zgrupowana jest w Kownie, w muzeum jego imienia. Dwa obrazy znajdują się w posiadaniu Muzeum Narodowego w Warszawie. Są to: pastel „Potop” (72 × 63 cm.) i etiuda pejzażowa (8,5 × 21 cm.). Ten ostatni jest szczególnie ciekawy, bo został namalowany tak rzadko przez artystę używaną techniką olejną. Jak dotychczas nie udało się sporządzić dokładnego katalogu twórczości malarskiej Ciurlionisa. Jediną poważną publikacją jest praca zbiorowa pod redakcją P. Galauné⁷. W roku 1960 zostały opublikowane listy artysty i jego myśli o sztuce⁸. Niestety ta książka niewiele może pomóc badaczom twórczości Ciurlionisa gdyż, oprócz obiektywnych trudności (sporo listów zginęło podczas II Wojny Światowej), została sporządzona w sposób co najmniej niedokładny, a wydawałoby się nawet, że tendencyjny: około 50 listów zostało opublikowanych tylko częściowo, inne są jeszcze zupełnie nieznane, będąc pod „zakazem rodzinnym”, a najważniejszą przeszkodą w dotarciu do samej prawdy jest fakt, że większość listów — których oryginalna wersja jest polska — przetłumaczono niezupełnie ściśle i nie podano tekstu oryginalnego.

Nie licząc wystaw warszawskich (we własnej pracowni i na corocznych pokazach Szkoły Sztuk Pięknych), Ciurlionis wystawiał swoje obrazy w Wilnie i od roku 1908 regularnie w Petersburgu, na wystawach organizowanych przez grupę „Mir Iskustwa” i później „Nowowo obszczestwa”. Tam zwrócili uwagę na jego dzieła symboliści rosyjscy. Niestety dopiero po jego śmierci na łamach literacko-artystycznego miesięcznika *Apollon* pojawiają się pochlebne artykuły Sergiusza Makowskiego (naczelnny redaktor), Czudowskiego i duży esej słynnego poety i estety Wiaczesława Iwanowa⁹. Dzięki jego staraniom zorganizowano artyście wielką pośmiertną wystawę w Petersburgu (1912). Taka sama wystawa miała miejsce kilka miesięcy wcześniej w Wilnie. Pierwsza ilustrowana monografia poświęcona Ciurlionisowi-malarzowi również wychodzi nakładem wydawnictwa *Apollon*¹⁰. Już z tej krótkiej

7. „M. K. Ciurlionis”, Kaunas 1938. Praca zbiorowa z obszerną bibliografią i ilustr.

8. „M. K. Ciurlionis, Apie muzika ir dalje”, Vilnius 1960 w języku litewskim.

9. Op. cit. nr 5, nr 3.

10. W języku rosyjskim: „Czurljanis”, tekst B. A. Lemana, ilustracje. Petersburg 1912.

bibliografii widać, że artysta został doceniony dopiero po śmierci. Lata 1912-1914 są momentem maksymalnego zainteresowania twórczością Ciurlionisa w środowisku petersburskim.

Rozpatrując twórczość plastyczną Ciurlionisa od strony formalnej należy przypomnieć, że używał on bardzo złych materiałów malarskich — były to przeważnie tanie barwniki (pastele, tempera), które z upływem czasu straciły w dużym stopniu pierwotne natężenie kolorystyczne. Odbiło się to fatalnie na stanie jego dzieł, które w kilkanaście zaledwie lat po śmierci artysty straciły słynną poezję barw, którą zachwycali się wszyscy ówcześni krytycy. Dzisiaj jedynie zestawienie tych dwóch obrazów, przechowywanych w magazynach Muzeum Narodowego w Warszawie, malowanych odmienną techniką (pastel i olej), może nam dać pojęcie o straszliwej degradacji kolorów, które na pewno w dalszym ciągu tracą natężenie. Używania tych barwników nie można tłumaczyć jedynie faktem że artysta przez całe życie walczył z trudnościami materialnymi. Był to na pewno bardzo ważny element w ich wyborze, ale chyba nie decydujący. Ciurlionis był samoukiem, któremu technika olejna sprawiała na pewno znaczne trudności, niemniej znając jego zdolności i rzadko spotykany upór — nie była to przeszkoda zasadnicza, niepokonalna. Ciurlionis używał techniki tempery i pastela, gdyż odpowiadały one jego temperamentowi artystycznemu. Nie miał czasu MALOWAĆ, chciał najszybciej tworzyć plastyczne obrazy swoich muzycznych, literackich i metafizycznych koncepcji. Przerost wyobraźni i napór niezliczonej ilości nowych idei, na pewno nie pozwalał mu tracić czasu na zdobywanie rzemiosła malarskiego. Należy również pamiętać, że w tym okresie panowała moda na podobną technikę „pastelową”. Powszechnie określa się styl tych lat mianem „dekoracyjności pastelowej”. Wystarczy przyjrzeć się artystom z grupy wiedeńskiej secesji, Toulouse-Lautrec’owi lub nawet Wyspiańskiemu, dla którego pastel był ulubioną techniką. Ta gama pastelowa odpowiadała wspaniale literackiej zawartości dzieł artystów, zgrupowanych wokół paryskiej „La Revue Blanche”, świetnie znanych w Petersburgu w pierwszych latach XX wieku¹¹. Dwupłaszczyznowa estetyka dekoracyjna secesji, wyeliminowała na pewien krótki okres wszelkie mocne kolory. W tym świetle technika pasteli i tempery była dla Ciurlionisa zupełnie naturalną decyzją, podyktowaną przede wszystkim względami estetycznymi.

◆

Ciurlionis zajął się poważnie malarstwem dopiero w wieku

11. W czasopiśmie „Mir Iskustwa” przedrukowywano ilustracje Valottona do „La Revue Blanche”.

lat 29. Z typowymi dla swego charakteru pasją i poświęceniem oddał wszystkie siły nowej sztuce. Czując swoje braki techniczne, udał się na jesieni 1904 roku do nowootwartej szkoły Sztuk Pięknych. Mieściła się on początkowo przy ulicy Wierzbowej pod numerem 8, a później na Hożej 33. Uczelnia ta była młoda nie tylko wiekiem, ale i entuzjastycznym młodym duchem, który wprowadzili niewiele od Ciurlionisa starsi profesorowie. Byli nimi Tichy, Ruszczyk, Dunikowski i dwaj wychowankowie petersburskiej akademii: Krzyżanowski i Stabrowski. Z tym ostatnim Ciurlionis szczególnie się przyjaźnił i to nie tylko z racji jego pochodzenia litewskiego, ale przede wszystkim z powodu uznania i zachęty, których doznawały jego pierwsze obrazy w oczach 30-letniego Stabrowskiego.

Były to lata „heroiczne”, kiedy to odradzał się w Warszawie, po wieloletnim śnie, duch artystyczny — niemniej pozostawała ona ciągle zapadłą prowincją w porównaniu z Monachium, Petersburgiem lub nawet Krakowem, z których to ośrodków nadchodziły nowinki artystyczne. Szczególnie ożywione były kontakty z Krakowem. Na dużych wystawach „Zachęty” oprócz dzieł Matejki i Chełmońskiego, można było zobaczyć obrazy Wyspiańskiego, Styki, Wyczółkowskiego. Znano malarstwo niemieckie z końca XIX wieku i wiedeńską secesję. Współczesne malarstwo francuskie było tym młodym entuzjastom zupełnie nieznane. Ich „galerią obrazów” były reprodukcje dzieł Gustave’a Moreau, Böcklina, Klingera, Redona. Rewelacją była wystawa włoskiego postimpresjonisty Segantiniego.

Mimo formalnej przynależności do warszawskiej szkoły Sztuk Pięknych (klasa Stabrowskiego — pejzażyści!) Ciurlionis pozostał praktycznie samoukiem. Według jego własnych słów „nie uczono tam tego, czego on chciał się nauczyć”. Na zajęcia pracowni nie uczęszczał, ani nie studiował nigdy „modela”. Przychodził tylko by pokazać profesorom (rzadziej kolegom) swoje nowe obrazy. Powszechnie uważano go za słabego amatora, kompozytora, dla którego malarstwo jest *violon d’Ingres*¹². Zapewne wskutek tego niezrozumienia jego sztuki oddalał się stopniowo od środowiska ówczesnej cyganerii artystycznej, do którego należał w latach 1904-1905. Brał jedynie udział w letnich plenerach. Były to kilkutygodniowe wakacje artystyczne¹³, podczas których mało kto malował (ale Ciurlionis — tak). Według wspomnień malarza Henryka Haydna (żyjącego obecnie w Paryżu): „był on bardzo samotny i mało z kim komunikował się. Brak mu było

12. H. Berlewi: „XX wiek”, 1964. Taka była też w tym czasie i opinia Henryka Haydna, któremu zawdzięczamy większość informacji o okresie warszawskim.

13. Słynny plener „nawrocyński” i plener w Istebnie na Śląsku (1908).

dystynkcji i klasy. Robił wrażenie chłopą”. Był jednak „bardzo poważny i to co mówił robiło wrażenie; słowa były wymierzone i dokładnie obmyślane. Nie interesował się malarstwem innych”. Jest to prawie że idealny portret niezrozumianego geniusza, żyjącego w środowisku ludzi przyjaznych, ale zupełnie obcych jego sztuce. Głównym ośrodkiem ówczesnej cyganerii była pracownia Tadeusza Pruszkowskiego przy ulicy Brackiej. Zbierali się tam uczniowie Stabrowskiego i Krzyżanowskiego: Henryk Hayden, Paweł Rutkowski („Rutek”), Miller, Szymanowski, Karmański, Boruciński. Stałym gościem był muzyk Eugeniusz Morawski¹⁴, z którym przyjaźnił się Ciurlionis. Często grywali na 4 ręce kompozycje Ciurlionisa na pianinie, które się w tej pracowni jakimś cudem znalazło.

Okres dwuletniej twórczości warszawskiej wydaje się być etapem wstępnym, momentem kielkowania, poprzedzającym wybuch plastycznej metafizyki w latach 1907-1909. Mając świadomość własnej odrębności i czując siłę swojego talentu, w praktyce polegał Ciurlionis wyłącznie na własnym instynkcie twórczym. Jak większość symbolistów z tego okresu, doksztalał się w muzeach. Z Pragi pisze do brata, że zachwyca się Tycjanem i siedemnastowieczną szkołą holenderską. Dla niego Stuk „to wspaniały kolorysta”, a w liście do pani Wolman oświadcza że „koniec XIX wieku dał nam Böcklina”. Poznaje też Puvis de Chavannes’a, którego onyryczna poezja robi na nim duże wrażenie¹⁵. Jak większość symbolistów z końca XIX i początku XX wieku, Ciurlionis był bardzo czuły na nostalgię pejzaży „klasycznych” Puvis de Chavannes’a (1828-1898), przepojonych odradzającym się liryzmem religijnym i dekoracyjnym sentymentalizmem. W następnych latach Ciurlionis orientuje się wyraźnie na środowisko petersburskie, które jedyne było zdolne zrozumieć jego sztukę. Przykład Wrubla (oddziaływanie twórczości którego wyraźnie wzrosło po roku 1905) i krąg artystów, zgrupowanych wokół miesięcznika literacko-artystycznego *Zołotoje Runo* są jego naturalnym, wydawałoby się, środowiskiem. Jedynie za pomocą wnikliwej analizy działalności tego środowiska możemy zrozumieć tak unikalną, na pierwszy rzut oka, twórczość plastyczną Ciurlionisa.

Secesja wiedeńska i francuski symbolizm

Dekoracyjny styl, znany pod nazwą „secesja wiedeńska” („Art Nouveau” we Francji, „Liberti” we Włoszech) miał duże

14. Żył on później w Paryżu. Był nauczycielem słynnego Enesco.

15. Ten sam list do pani Wolman — Istebna 1908.

powodzenie w krakowskim środowisku „Młodej Polski”, którego najbardziej typowym przedstawicielem pozostał Stanisław Wyspiański. Ten prąd dekoracyjny, który jest w pewnym stopniu reakcją sztuki z końca XIX wieku na realistyczne malarstwo, wzorujące się na przestarzałych kanonach klasycznych, był bardzo dobrze znany artyście i to nie tylko z warszawskich wystaw „Zachęty”, ale również z częstych pobytów w Pradze i Krakowie (zatrzymywał się tam często jadąc do zaprzyjaźnionej rodziny Wolmanów, która większą część roku spędzała w Zakopanem). Reakcja Ciurlionisa na ten styl, którego formalnym charakterystykom w dużej mierze ulegał, jest typowym przykładem oddziaływania wiedeńskiej secesji na ówczesne szkoły „peryferyjne”. Wystarczy przypomnieć pochwalne hymny petersburskich „stylistów” (jak się oni sami nazywali) z artystami kręgu „Mir Iskustwa” na czele z: A. Benois, L. Bakstem, Kuzniecowerem, Miljutim. Panuje wtedy powszechna moda na dwupłaszczyznową dekoracyjność Maurice’a Denis, który jest znany nie tylko jako czołowy przedstawiciel francuskiej szkoły symbolistycznej, ale również dzięki swoim tekstom teoretycznym. Tego czołowego malarza francuskiego zaprasza się wtedy do Rosji na odczyty. Bogaci kupcy, których postępowy gust przyczynił się w dużym stopniu do rozwoju nowoczesnego malarstwa rosyjskiego (kolekcjonowali oni najbardziej awangardowe malarstwo zachodnie), zamawiają u M. Denisa dekoracje dla swoich moskiewskich rezydencji. Równie decydujący jest wpływ stylu rysunkowego angielskiego grafika Beardsley’a, na którym wzoruje się całe pokolenie grafików, współczesnych Ciurlionisowi jak na przykład jego najbliższy petersburski przyjaciel, Mścisław Dobużyński (ur. w roku 1875), którego twórczość jest oprócz tego pod wyraźnym wpływem norweskiego ekspresjonisty Muncha. Podczas długich wieczorów, spędzanych w domu Dobużyńskiego, musieli obaj przyjaciele dyskutować na tematy artystyczne i na pewno często padały nazwiska Muncha i Beardsley’a¹⁶. W tym kontekście wpływ stylu secesyjnego na twórczość Ciurlionisa jest rezultatem zupełnie naturalnym. Ogranicza się on przeważnie do strony czysto formalnej, rzadziej do całokształtu kompozycji. W niektórych obrazach z cyklu „Znaki Zodiaka” widoczne są wyraźne wpływy M. Denisa, w innych na myśl przychodzą porównania z Gustavem Klimtem. Często do transpozycji swoich wizji literackich Ciurlionis poszukiwał tej samej „przeźroczystości” wydłużonych figur¹⁷ i lekkości „eterycznej” perspektywy powietrznej tego artysty. Do poszuki-

16. Pozostał z tych wieczorów piękny rysunek Dobużyńskiego, przedstawiający Ciurlionisa improwizującego przy fortepianie (il. op. cit. 10).

17. Porównaj M. Denisa „Jongleuse devant la mer” — 1894 z „La Vierge” Ciurlionisa z roku 1907 (il. Galauné, nr 70).

wania podobnych efektów prowadzi go i jego zachwyt nad twórczością Puvis de Chavannes'a. Na tej drodze spotykają się obrazy naszego artysty z dziełami innego entuzjasty Puvis de Chavannes'a — rosyjskiego malarza Borisowa-Musatowa, którego obrazy musiał Ciurlionis znać, gdyż wystawiali razem w Petersburgu.

Paroksyzm falistej linii, która osiągnęła dekoracyjność secesji, da się zauważyć w dużej ilości dzieł artysty. Jego niespokojnemu temperamentowi odpowiadał ten ciągły ruch, który często asymiluje zresztą z dosłowną transkrypcją rytmu muzycznego. Element ten staje się podstawowym składnikiem jego kompozycji dynamicznych, opartych na zasadzie muzycznej. Czasami soczysta kreska artysty da się porównać z rysunkiem Wyspiańskiego. Ciurlionis często dąży do spokojnej płynności linii dekoracyjnej podwawelskiego mistrza. Możliwe że w tym wypadku źródło jest wspólne i o wiele dalsze, należałoby poszukiwać go w reprodukcjach angielskich prerafaelitów z Burnes-Jonsem na czele, które były świetnie znane w pracowni na Brackiej. Do grupy dzieł powstałych pod wyraźnym wpływem secesji należy zaliczyć kompozycje dekoracyjne i winietki do nut i poezji, rysowane najczęściej tuszem. Stanowią one najciekawszy dział twórczości graficznej Ciurlionisa. Przedziwne są komplikacje płynnych linii hiperbolicznych, które czasami tworzą obrazy fantastycznych spiczastych roślin morskich lub krzaków pokrytych iglastymi liśćmi¹⁸. Prawie abstrakcyjna kompozycja dekoracyjna z tego cyklu, wystawiona w roku 1909 w Petersburgu, zyskała duże powodzenie. Odpowiadała ona na pewno dążeniom petersburskich „stylistów” do stworzenia nowego stylu dekoracyjnego, który byłby „rosyjskim gotykiem” (według słów Sergiusza Makowskiego¹⁹). W późniejszych latach Ciurlionis powoli wyzwoilił się z niekontrolowanego pędu falistej linii, niemniej pojawia się ona ciągle w ostatnich „Sonatach” — Morza, Słońca. Najbardziej jest widoczna w „Sonacie Węża”. Do uformowania się charakterystycznej dekoracyjności linearnej, która znamienna jest dla większości dzieł okresu 1907-1909, powinien z pewnością przyczynić się i wpływ modnej w tym czasie grafiki japońskiej²⁰. Na tej dalekowschodniej tradycji plastycznej wzorowali się w znacznej mierze artyści secesyjni; zmanierowane wygięcie linii odpowiadało ich ciągłotom „stylistycznym”. Już impresjoniści francuscy zapożyczyli od malarzy ja-

18. Ilustracje nry 101, 139, Galauné (op. cit. 9).

19. S. Makowskij — „Na parnasie srebrjannawo wieka”, München 1962.

20. Dla zilustrowania mody na japońszczyznę można przypomnieć, że w tych latach (wojny rosyjsko-japońskiej) powstały „liryki japońskie” Strawinskiego i pieśni Schönberga do słów Hung-so-fana, 1905-7. Niektórzy artyści pozwalają sobie nawet na bezpośrednie zapożyczenia — portret Kirkalada, malowany przez Ilję Maszkowa zawiera gejszę japońską (ilustracja op. cit. 4).

pońskich pejzażową wizję „z lotu ptaka”, którą Ciurlionis powszechnie stosuje w swoich fantastycznych wizjach symbolicznych. Typowy paroksyzm wygiętej linii, którego największym mistrzem był niezrównany Hokusai, widoczny jest w cyklu „Sonata Morza” — Allegro i Finale (rok 1908). Pod przykrywką japońskiej dekoracyjności wyzwalają się instynkty Ciurlionisa do zoomorficznej transformacji form natury, które przybierają czasami wręcz zastraszające kształty (Allegro z cyklu „Sonata Morza”). W ten sposób ujawnia się też fantastyczny panteizm Ciurlionisa, zapoczątkowany zachwytem nad twórczością niemieckiego symbolisty Böecklina, którego bezpośredni wpływ widoczny jest w „uduchowieniu” natury.

Do tej grupy dzieł, które znajdują się jakby na I stopniu symboliki, należałoby zaliczyć cykle „Pogrzebów” i „Burzy” z okresu warszawskiego (lata 1904-1906), pojedyncze obrazy jak fantastyczny pejzaż pod tytułem „Dzień”, niesamowity „Okręt”, który nie wiadomo czy pływa na powierzchni wody, czy też stworzony jest z obłoków, fantastyczne widzenia ptaków, lecących w płomieniach słońca „Hymn”, „Słońce” i inne „Wizje”. Najbardziej udanym obrazem z tej grupy jest autoportret pod tytułem „Nadzieja” (rok 1904). Te obrazy, które powstały w pierwszych dwóch latach twórczości malarskiej, są jakby próbami, gromadzeniem repertuaru formalnego, gdy artysta nie wykształcił jeszcze swojego własnego systemu symbolicznej transpozycji idei literacko-filozoficznych. Jest to okres wstępny — próba pędzla intelektualnego. Czasami w dość naiwny sposób transponowane są na płótno popularne w tej epoce idee metafizycznej symboliki literackiej, pozostającej pod wyraźnym wpływem Maeterlincka, którego czytał nie tylko Ciurlionis, ale cała ówczesna warszawska inteligencja. Panuje w tej epoce istna moda na literaturę symboliczną i metafizyczną filozofię. Wystarczy przypomnieć niektóre tytuły dzieł Dunikowskiego (urodzony w tym samym co Ciurlionis roku — 1875), powstałych w pierwszych latach naszego stulecia: „Fatum”, „Prometeusz”, „Tchnienie”. Odzwierciedlają one wiernie wpływ Przybyszewskiego na środowisko krakowskie. W roku 1901 w Warszawie zaczyna wychodzić czasopismo *Chimera*, wydawane przez Przesmyckiego. Paralelnie powstają pierwsze dzieła ekspresjonistów niemieckich. W roku 1907 Igor Strawinski tworzy utwór pod wymownym tytułem „Le vol de l'abeille” Maeterlincka. Zainteresowanie tematyką metafizyczną i diaboliczną fantastyką odzwierciedla się też na łamach czasopisma *Zołotoje Runo*: artykuły o twórczości Gerôme Boscha i „Diabeł w sztuce”, wiersze Achmatowej i Gumilewa, którego „Dewa ptica” nasuwa wyraźne skojarzenie z pewnymi obrazami naszego malarza. Łatwa jest tedy droga dla niedoświadczonego

artysty do uplastycznienia zjaw chorobliwej wyobraźni w naiwnych przedstawieniach śmierci, trumien i fruujących na niebie krzyżów (cykle „Pogrzebów” i „Burza”). Tematy beznadziejności, obłąkania, śmierci i samobójstwa (tak dobrze znane „Młodej Polsce”) są wtedy w powszechnym użyciu. Nieustannie towarzyszą tej samej fikcji literackiej przedstawienia przestraszonych dzieci²¹, których tragiczne korowody spotykamy z jeszcze większą częstotliwością w twórczości krakowskiego symbolisty Witolda Wojtkiewicza (1879-1911). Góruje jednak on tu nad Ciurlionisem bez porównania wyższym mistrzostwem rysunku i ekspresyjną kolorystyką. Przy tym porównaniu okazuje się że Wojtkiewicz inspirował się tematyką literacką, ale *malował*, natomiast w tej dziedzinie Ciurlionis pozostał amatorskim ilustratorem. Brak tym obrazom dramatycznej siły wizji innego czołowego symbolisty polskiego — Malczewskiego. Nawet w najbardziej dramatycznych sytuacjach, obecna jest u Ciurlionisa pewna nuta liryzmu, która w tym wypadku graniczy z niemocą, spowodowaną rezygnacją. Z tego powodu nie bardzo uzasadnione wydają się porównania z Klingerem, który jest o wiele dramatyczniejszy od Ciurlionisa²².

Czasami pojawiają się dziwne stwory, zaczerpnięte z tematyki bajek ludowych — są to jakby „wilkołaki” lub „chohoły” Wyspiańskiego, które czarują nas szatańskim uśmiechem zza mgły poezji (obraz „Grajek” — pastel 1904). Widzimy fantastyczny świat północnych legend, w których hipotetyczna groza miesza się z nieodpartym pociąganiem do tych na wpół demonicznych sił natury.

Inspiracja folklorystyczna

Inspiracja folklorystyczna i widoki przyrody północnej Litwy (morski brzeg i wielkie płaszczyzny spokojnej wody) tworzą bazę dla poetyckiej liryki Ciurlionisa. Sztuką ludową interesował się on zupełnie poważnie, niemal że „archeologicznie” (w dziedzinie muzycznej co najmniej). Zwrot ku źródłom folkloru jest w tej epoce powszechnym zjawiskiem — począwszy od „chłopomanii” Młodej Polski możemy we wszystkich krajach europejskich prześledzić podobne tendencje: wystarczy wspomnieć działalność Bartoka lub zainteresowania artystów moskiewskich obrazkami ludowymi „Łjubok”. Ciurlionisowi obce były wszelkie spekulacje intelektualne, którymi otaczano ten kult „siły

21. Piękny rysunek tuszem z roku 1907 (ilustracja op. cit. 4 nr 135).

22. George M. A. Hanfmann — op. cit. 3.

prymitywnej” sztuki ludowej. Czuł on tę sztukę „podskórnie” i przeniósł bezpośrednio na papier drobiazgowość „naiwnego” znaku rysunku ludowego. Bezpośrednią inspiracją folklorystyczną widać w projektach do dekoracji teatralnych dla przyszłej opery „narodowej” pod tytułem „Jurata — królowa Bałtyku” i w cyklu „Miasto”. Prostota rysunku i naiwność perspektywy „Bursztynowego Pałacu” tchną autentycznym folklorem. Nasuwa się nieodparte porównanie z rysunkami polskiego samouka Nikifora, którego widoki z Krynicy są łudząco podobne do niektórych szkiców Ciurlionisa. Nawet w bardziej wypracowanych kompozycjach jak „Krzyże litewskie” (tempera 1909) i powstały w tym samym roku piękny „Cmentarz”, zachowuje on zasadnicze cechy inspiracji ludowej, zabarwiając prostotą obrazu folklorystycznego subtelą liryką literacką.

W bliskim sąsiedztwie z tą grupą obrazów znajdują się przedstawienia ilustrujące bajki ludowe: „Bajka o Królach” (tempera — 1908), wcześniejsze wersje cyklu „Rex” i inne bajki. Z punktu widzenia wymogów kompozycji plastycznej są one mało ciekawe; grzeszą naiwnością i niezbyt interesującą formą, oscylując między powierzchownym folklorem i słabym symbolizmem.

Zafascynowanie tematyką egzotyczną

jest stałym towarzyszem fantastycznej wyobraźni Ciurlionisa, jedną z nielicznych form urzeczywistniania marzeń do nadrealnej fantastyki i metafizycznej transpozycji symbolicznych stworów niczym nie pohamowanej wyobraźni twórcy, ucieczką w krainę marzeń, przepojonej fantastyką bajkowej historii starożytnego Egiptu i Indii. Wiemy że jeszcze podczas pobytu w Lipsku zachłystywał się filozofią hinduską. Moda na egzotyczny Wschód jest jakby następnym etapem romantycznej archeologii, który nastąpił po okresie żarliwego zwrotu rosyjskich „peredwizników” do studiów nad średniowieczną sztuką bizantyjską, które można porównać z pasją gotycką Violet le Duc’a we Francji lub angielskim *gothic revival*. Do tego nurtu można by zaliczyć i poprzednika Ciurlionisa — rosyjskiego symbolistę Wrubla. Egzotyczny płaszcz, który przywdziewa sztuka z lat 1900-1910, jest zaledwie jedną z możliwych ucieczek od rzeczywistości i, jak wierzy większość artystów, jedną z dróg mogących doprowadzić do odnowienia „ducha artystycznego” — do świeżości inspiracji. Oczywiście z fenomenologicznego punktu widzenia historii sztuki jest to taki sam miraż jak egzotyka gotyckich ozdób „hennin” z piętnastego wieku, które są jakby ostatnim, fantastycznym dekokorem dla umierającego stylu *flamboyant*. Te zainteresowania

zaprowadzą Ciurlionisa na bezdroża spirytyzmu i okultyzmu, którymi interesowały się niezliczone towarzystwa warszawskie, petersburskie i londyńskie²³. Świątynie egipskie, pojawiające się w „Sonacie Piramid”, i hinduskie („Sonata Weza”, „ostatnie wersje „Rexa”), są też jednym ze stale powtarzających się elementów formotwórczych w obrazach z cyklu „Znaki Zodiaka”. Fantastyczne układy egzotycznej architektury są stałym komponentem „narracyjnych” pejzaży symbolicznych, zabarwiających swoim melancholijnym odcieniem ostatni okres twórczości artysty — rok 1909, spędzony w Petersburgu. Wtedy powstały „Ołtarz ofiarny”, „Ofiara”, „Rex” i „Jeździec” galopujący przez wyimaginowany pejzaż spiętrzających się „idealnych” świątyń egzotycznych, które tworzą fantastykę symboliczną *par excellence*. Dla nieznanącej granic wyobraźni Ciurlionisa mała jest stąd odległość do następnego etapu, w którym powstają cykle ostatnich „Sonat” — Morza, Słońca, Gwiazd, Wiosny. Zamiast tak arbitralnego określenia „muzycyzm”, należałoby raczej nazwać je

„Symbolizm do drugiej potęgi”

W tych kompozycjach talent plastyczny Ciurlionisa, spotęgowany wykształconym przez jego poprzedników repertuarem fantastyki symbolicznej, osiąga swoją pełnię — artysta wspina się na szczyty symbolistyki wizualnej, wsparty sztafażem teorii muzycznych i prześladowany widmem rytmicznego ruchu, który ma być łącznikiem między plastyką a muzyką, przekłada na płaszczyznę obrazu idee metafizyczne, odzwierciedlające najbardziej fantastyczne poloty ludzkiej wyobraźni. Kosmogonia słońca i wszechświata, koncepty filozoficzne i metafory ideałów literackich przebiegają w szaleńczym kalejdoskopie jego rozpalonej wyobraźni. Twórca ten, ogarnięty widmem idei transcendentalnych, marzy o syntezie sztuk i stara się za pomocą form i barw zrealizować ją w swoim malarstwie. Wydaje się, że w pewnym momencie jego fantazja wymknęła się ustalonym normom i pędzi własną drogą, niezdolna zatrzymać się ani nawet spojrzeć do tyłu. Fantastyczne alegorie, które były tak subtelnym zabarwieniem dla rodzącego się na podłożu literatury metafizycznej ekspresjonizmu, już mu nie wystarcza. Idea alegoryczna, transpozycja symbolu, przestaje być ilustracją treści pozaplastycznej lub nawet czysto literackiej, a przechodzi do innego systemu — traktowana jest

23. Londyńska wystawa malarstwa rosyjskiego, z udziałem płócien Ciurlionisa, spotkała się z wielkim zainteresowaniem właśnie z powodu tej metafizyki (grudzień 1912).

sama dla siebie i cały ten gmach, o zawrotnej wysokości skomplikowanych spekulacji symbolicznych, oparty jest jedynie na kruchym podłożu metafizycznym. Oczywiście że tak bogate w czynniki składowe zespoły formalne nie mogą istnieć samodzielnie, niezależnie od systemu przedstawień współczesnej sztuki. Z punktu widzenia morfologii formy można by wskazać na niezliczone pokrewieństwa z kompozycjami Bogajewskiego, Gustave'a Moreau a przede wszystkim z dziełami Michaiła Wrubla, niemniej u Ciurlionisa nabierają one innego zabarwienia, przechodząc do wyższego rejestru symbolicznego. Delirium formy może istnieć tylko dzięki porządkowi rytmicznemu. Mimo maksymalnej komplikacji przedstawień fantastycznych pejzaży z interpenetrującymi się idealnymi „architekturami”, kompozycje są z reguły zorganizowane wokół jednego centralnego punktu, który jest jakby osią wertykalną kompozycji. W tej dziedzinie swojej twórczości Ciurlionis jest prawdziwym nowatorem i w sensie idei i z punktu widzenia formalnego. Chcąc dać realny przykład możliwości transpozycji muzyki na język malarski tworzy on w roku 1908 obraz „Fuga”, w którym za pomocą przedstawień figuralnych (sosny odbijające się w powierzchnię jeziora) „zilustrowana” jest muzyka. Ten ostatni obraz i nazwa „Sonata”, której używał dla swoich czteroczęściowych cyklów²⁴, i chęć zrealizowania dzieł malarskich przy użyciu muzycznych zasad rytmicznej gradacji kompozycji, spowodowały że nazwano jego malarstwo „muzykalizmem”. O ile poczynania Ciurlionisa w dziedzinie malarstwa są zdarzeniem unikalnym, o tyle

Idea syntezy sztuk

była jednym z najbardziej popularnych mitów artystycznych, epoki, poprzedzającej narodziny abstrakcji w latach 1910-1912. Nazwa „sonata”, którą Ciurlionis zastosował do kompozycji malarskich, była używana do tych samych celów przez innych malarzy, należących do petersburskiego środowiska „Mir Iskustwa” — tak nazwał swój pejzaż (wystawiony w roku 1909 — to znaczy razem z obrazami Ciurlionisa) Denisow. Przy formułowaniu wszelkich nowoczesnych teorii plastycznych słownictwo muzyczne było w powszechnym użyciu. Wystarczy przyjrzeć się artykułom Maurice Denis'a²⁵, który w obrazach doszukiwał się *de la musique avant toute chose...*, lub słynnej teorii sztuki abstrakcyj-

24. Składających się z Alegro, Andante (lub Lento) Scherzo i Finale.

25. M. Denis — „Du symbolisme au classicisme. Theories”. éd. Hermann, Paris 1964.

nej W. Kandinskiego *Ueber das Geistige in der Kunst*²⁶. Pow szechnie dążono w owych czasach do zespolenia teorii metafizycznych z „treścią” muzyki. Kuźnią tych idei w latach 1905-1910 było środowisko petersburskich symbolistów pozostające pod fascynującym wrażeniem twórczości Wrubla. Zgrupowani byli on od r. 1911 wokół miesięcznika literacko-artystycznego *Apollon*, a przedtem w słynnym salonie estety Wiaczesława Iwanowa. Artykuły pod tytułem „Muzyka jako jedno z najbardziej mistycznych przeżyć” nie były wyjątkiem dla *Apollona*. Różnorodne zainteresowania tej grupy oscylowały między okultyzmem i magią hinduską²⁷, a filozofią metafizyczną i syntezą sztuk. Artyści obracający się w tym kręgu byli nieprzeciętnej kultury i często zdarzali się plastycy, uprawiający zupełnie poważnie kompozycję muzyczną jak na przykład bracia Miljuti, lub Matiuszyn (wystawiał swoje obrazy w styczniu 1909). Do tego środowiska należał i słynny kompozytor Aleksander Skriabin (1872-1915), który jest w pewnej mierze odpowiednikiem Ciurlionisa, bowiem dążył on do syntezy sztuk na terenie muzyki — poprzez tak zwany „spektakl totalny”. Idea tego ciągle niedocenianego geniusza jest wyjątkowo ciekawa w porównaniu z poczynaniami Ciurlionisa. Pierwszym łącznikiem „koncepcjonalnym” między nimi był poeta W. Iwanow. To on „odkrył” Ciurlionisa i napisał pierwszy wielki artykuł o jego malarstwie²⁸ i dzięki jego staraniom urządzono artyście pośmiertną wystawę w Petersburgu, dzięki niemu też zostały po raz pierwszy wykonane publicznie fragmenty poematu „Prometeusz” Skriabina. Poemat ten (op. 60) powstał w roku 1909. Warto zauważyć, że jest to rok najbardziej intensywnej twórczości Ciurlionisa — wtedy też powstają wszystkie słynne „Sonaty” plastyczne. „Prometeusz” jest utworem na orkiestrę symfoniczną, chór mieszany, organy i „klawiaturę świetlną” (*clavier à lumières*)²⁹. Według Skriabina synteza sztuk miała się dokonać w trakcie wykonywania utworu muzycznego, przy udziale tego nowego instrumentu „wizualnego” — owej klawiatury, która przy naciśnięciu odpowiednich klawiszy, miała kierować na scenę światło poszczególnych kolorów. Instrument ten znajduje się na pierwszym miejscu w partyturze utworu. Oznaczenie partii „świetlnej” „Prometeusza” niczym nie różni tego instrumentu

26. Napisana w roku 1910, została ona wydana po raz pierwszy z końcem 1911. Cytujemy wydanie fr. z roku 1954. Paris, éd. de Beaune „Du spirituel dans l'art”.

27. Słynny jest przykład Pohl'a, który podawał się z dużym powodzeniem za magika hinduskiego i ucznia jogów, gdy w rzeczywistości nigdy nie był w Indiach.

28. Op. cit. 5.

29. Oprócz tego przewidywał autor użycie kadzideł i woni egzotycznych.

(nazwanego w partyturze „Luce”) od skrzypiec, fletów lub głosów chóru, gdyż zapis dokonany jest tradycyjnym systemem nutowym, jakby chodziło o nowy instrument muzyczny.

Oryginalność Skriabina na polu teorii sztuki nie ograniczyła się tylko do syntezy sztuk. W tych samych latach w jego twórczości zaznacza się zasadnicza zmiana — świadczą o tym dobitnie jego ostatnie sonaty fortepianowe. Niestety są one mało znane publiczności i rzadko wykonywane na koncertach. Skriabin stworzył też teorię nowego systemu tonalnego, który w swoim założeniu jest bardzo nowoczesny i podobny do systemu Schönberga, tyle że znacznie bardziej skomplikowany i z tego powodu pozostał tylko teorią. W tych samych latach w środkowoeuropejskim środowisku muzycznym (jakby ustalić pewną hipotetyczną oś rosyjsko-niemiecką) można zauważyć i inne próby, twórców ze szkoły postromantycznej do wyłamania się z eklektycznej drogi transcendentalnej komplikacji języka harmonicznego, odziedziczonego po XIX wieku. Ci artyści, czując zbliżającą się nową epokę, starają się zmienić radykalnie system muzyczny. Dopiero dzisiaj, w świetle perspektywy historycznej, możemy docenić znaczenie teorii Ferrucia Busoni'ego (1866-1924) i jej widoczny paralelizm z poglądami Skriabina. W roku 1907 w jego twórczości następuje radykalna zmiana kierunku. Publikuje on pracę teoretyczną pod tytułem *Entwurf einer neuen Aesthetik der Tonkunst* i ogłasza skonstruowany przez siebie nowy system 18-tonowy z podziałem każdego tonu na 3 części. Zaledwie w ostatnich kilku latach odradza się zainteresowanie kompozycjami Busoniego, powstałymi po roku 1907, w których dzisiejsza muzykologia widzi zapowiedź muzyki atonalnej i dodekafonicznej.

Dopiero w świetle tych nowych zestawień i przy znajomości teorii petersburskiego środowiska W. Iwanowa, możemy usytuować twórczość malarską Ciurlionisa w ramach rozwoju sztuki XX wieku. Widzimy, że jego unikalność jest relatywna, staje się ona jakby koniecznym ogniwem w rozwoju sztuki przedabstrakcyjnej. Poprzez syntezę sztuki dążył on do idei abstrakcji, niemniej abstrakcjonistą w prawdziwym znaczeniu tego słowa nie był. Przy ocenie dzieła malarskiego Mikołaja-Konstantego Ciurlionisa i szczególnie w poszukiwaniu dla jego malarstwa należnego mu miejsca w szeregach historii sztuki rosyjskiej, należy brać pod uwagę wyjątkową pozycję, jaką miała w latach 1905-1910 twórczość czołowego symbolisty rosyjskiego Michaiła Aleksandrowicza Wrubla (1856-1910). Po okresie tradycyjnego malarstwa w stylu „historyczno-ikonowym” (dekoracje soboru Św. Włodzimierza w Kijowie), w jego twórczości następuje nagły przełom. W roku 1890 pisze on w liście do swojej siostry: „ani na minutę nie opuszcza mnie mania, że jestem zobowiązany powiedzieć

coś nowego". Ten okres dramatycznej i niesłuchanie szybkiej ewolucji jego stylu rozpoczyna się od wspaniałych ilustracji fantastycznych do poematu Lermontowa „Demon” (1890), poprzez późniejsze obrazy symboliczne (przedziwny „Pan”) dochodzi on w ostatnich portretach z roku 1905 do kubizmu. W studiach kwiatów z tego samego roku można zauważyć abstrakcyjną analizę struktury. Czająca się choroba psychiczna wybucha w tym roku z całą siłą i nieszczęśliwy twórca zmuszony jest spędzić ostatnie 5 lat życia w zakładzie dla obłąkanych. Po roku 1905 następuje w Petersburgu istny kult twórczości Wrubla, którego ostatnie obrazy są eksponowane na wszystkich wystawach. Na przestrzeni kilku lat jego rysunek zdobi okładkę *Apollona*. Są to jakby fanfary dla manifestu czasopisma „Zołotoje Runo”³⁰, który głosi: *C'est à une époque orageuse que nous nous mettons en route. L'art est un, l'art est symbolique, car il renferme un symbole — le reflet de l'immuable dans le temporaire.* W tym ogólnym dążeniu do osiągnięcia maksymalnej realizacji metafizycznej filozofii w dziedzinie sztuki malarskiej, poetycznej lub muzycznej, naturalne wydaje się miejsce Ciurlionisa na wystawach „Mira Iskustwa”. W wicherze karkołomnej ewolucji sztuki rosyjskiej tego okresu (antagonizmy Moskwa-Petersburg, wpływy francuskie i niemieckie, „łucyzm”, futuryzm i w roku 1912 ogólne objawienie abstrakcji w teoriach i twórczości Malewicza i Kandinskiego) symbolizm petersburski jest zaledwie jednym z etapów tej pasjonującej ewolucji estetycznej. Świadomość o wartości eksperymentu plastycznego Ciurlionisa nabiera na sile dopiero po jego pośmiertnej wystawie z roku 1912. Niestety wtedy grupa W. Iwanowa i całe środowisko petersburskich symbolistów przeszło już do historii w porównaniu z moskiewską abstrakcją. Opierając się temu huraganowi nowej sztuki³¹, sami oni zdają sobie sprawę, że skończyła się już epoka ich oddziaływania na rozwój sztuki nowoczesnej. Krytyk Gumilew z gorzką świadomością realiów pisze w styczniowym *Apollonie* z roku 1913: „Dla uważnego obserwatora jest widoczne, że symbolizm zakończył już swój rozwój i następuje jego upadek. Jeżeli jeszcze pojawiają się utwory symboliczne, to nawet z punktu widzenia symbolizmu są one zupełnie słabe. Czas teraz na futurystów”. Proklamowany w tym samym czasie w kołach petersburskich „akmeizm” (czyli coś w rodzaju „super symbolizmu”) pozostał w zupełności martwą literą.

30. Wychodzi w latach 1906-1909, z początku w dwujęzycznej wersji rosyjsko-francuskiej.

31. S. Makowskij nazywa artystów moskiewskich (Łarionowa, Gonczarowa, Malewicza i innych „futurystów”) „dikariami i małogramotnymi” — na łamach *Apollona*.

Symbolizm petersburski tak jak i należąca do niego idea syntezy sztuk, pozostały w przedsionku wielkiej sztuki abstrakcyjnej XX wieku. Spełnił on rolę starego przewodnika, oświetlającego drogę młodemu jeźdźcowi, przygotowującemu się do dalekiej podróży. Osiągając maksymalną komplikację formalną, wyczerpał on ostatnie możliwości realizmu antropomorficznego sztuki dziewiętnastowiecznej. Stał się bajecznym fajerwerkiem, zapowiadającym nadejście nowej epoki. Świadomość zbliżania się nowej sztuki była powszechna. Dążyli do jej realizacji tak samo „łuczysci” moskiewscy, jak i symboliści petersburscy. Okazało się jednak, że Wrubel i Ciurlionis zamknęli swą twórczością poprzednią epokę, a Łarionow i Malewicz rozpoczęli następną. Pierwsi poszli drogą syntezy: poszukiwali maksymalnego napięcia treściowego dzieła. Niestety sięgali po stare treści; z filozofii metafizycznej i literatury zapożyczali koncepcje, których cechy abstrakcyjne traciły tę wartość w przetransponowaniu na przestarzały język plastyki dziewiętnastowiecznej. Ciurlionis wierzył, że nowe tematy pomogą mu poprzez maksymalną komplikację i użycie idei pozaplastycznych, wyprowadzić tę sztukę z ówczesnego marazmu, dojść do nowego stylu. Okazało się że nie tędy wiodła droga. Jak to precyzyjnie określił Kandynski³²: *Tenter de revififier les principes d'art des siècles écoulés ne peut que conduire à la production des œuvres mort-nées*. Narodziny sztuki nowoczesnej odbywały się pod znakiem analizy i uproszczenia; nowi twórcy — kubiści i fowiści odrzucali spadek filozofii dziewiętnastowiecznej i odpowiadające jej skomplikowane formuły plastyczne. Nowa stylizacja zaczęła się od najprostszej formy czarnego kwadratu na białym tle Malewicza³³, który jest najlepszym dowodem dążeń „suprematycznej” abstrakcji.



Artystą najbardziej zbliżonym do teorii rosyjskich symbolistów jest Wasylj Kandynski. W jego teorii sztuki abstrakcyjnej znajdujemy największą ilość pozostałości petersburskiej metafizyki. Zdołał on jednak dokonać syntezy zdobyczy moskiewskich „łuczystów”, niemieckich ekspresjonistów i symbolizmu W. Iwanowa. Nie należy poza tym zapominać, że w stosunku do sztuki rosyjskiej był on prawie że osobą postronną. Mimo uczestnictwa w dużej ilości wystaw w Petersburgu, Moskwie i Odessie, tworzył on swoje koncepcje w Monachium. Tam namalował pierwszą akwarelę abstrakcyjną w roku 1910, tam też zrodziła się jego słynna teoria, która od roku 1912 stała się jakby „złotym etalonem porównawczym” dla początków tak zwanej „lirycznej abstrakcji”.

32. Ten i następne cytaty z op. cit. 28.

33. Ciągłe „przechowywany” w magazynach „Ermitażu” — Leningrad.

Tę zdumiewającą swoją inteligencją i głębokością książeczkę uważano już wtedy za „biblię” nowej sztuki. Aż dziwne, że żaden z badaczy Ciurlionisa, a specjalnie teoretycy posądzający go o ojcostwo abstrakcji, nie pokusili się o porównanie tych dwóch figur. Pomogłoby to w dużej mierze do wyjaśnienia

problemu abstrakcji

Cała teoria o abstrakcjonizmie Ciurlionisa opiera się na liście, który napisał 2. IX. 1903 do swojego brata z powodu namalowania pierwszego obrazu z cyklu „Stworzenie Świata”³⁴: na odwrocie pocztówki z reprodukcją böecklinowskiego „Prometeusza” pisze artysta: „namalowałem pierwszy obraz *symboliczny*”. Większość badaczy zdecydowała dość pochopnie, aby uznać to entuzjastyczne oświadczenie początkującego malarza za deklarację abstrakcji, gdyż w tym czasie nie używano terminu abstrakcja poza obrębem nauk ścisłych. Niemniej, w świetle dzisiejszej historiografii artystycznej i po dokładnej analizie twórczości Ciurlionisa, wydaje się niemożliwe utrzymywać nadal tę tezę. Wydaje się że termin „symboliczny” został zastosowany w jak najbardziej ścisłym znaczeniu tego słowa, bez żadnych niuansów czy przenośni formalnej. 28-letni kompozytor dopiero co rozpoczynał twórczość malarską. Inaugurował ją jak najbardziej symbolicznym tematem „Stworzenia świata”. Jak później pisał do brata z Petersburga „zamierzał malować ten cykl całe życie”. Nawet gdyby przyjąć jako hipotezę roboczą przypuszczenie, że namalował istotnie obraz abstrakcyjny (spowodowany w dużym stopniu tematyką), byłby to akt nieświadomy i bez żadnych konsekwencji dla jego dalszej twórczości. Gdy porównać określenie „symboliczny” z terminem, którego używa Kandinski do swoich dzieł abstrakcyjnych, od razu się zarysowują ich zupełnie odmienne pozycje wyjściowe. We wstępnych rozważaniach *Ueber das Geistige in der Kunst* Kandinski z wyjątkową ostrością sytuuje problem abstrakcji, rozgraniczając wyraźnie teorię od praktycznego dojścia do jej realizacji. Nazywa on przyszłe kompozycje abstrakcyjne obrazami „konkretnymi”. Idea abstrakcji, nawet gdyby istniała w pojęciu Ciurlionisa, sytuowałaby się w sferze nadbudowy metafizyczno-symbolicznej w przeciwieństwie do Kandinskiego, który wyraźnie rozgraniczał nadbudowę filozoficzną od praktyki malarskiej. Praktyczna abstrakcja stała się dla Kandinskiego *konkretem*, kreską i barwą, których zestawienie było jak najbardziej precyzyjnie określone w rozdziale pod tytułem: „Język form i kolorów”.

34. 2. 9. 1903, Warszawa.

Teoria Kandinskiego obfituje w terminologię metafizyczną i muzyczną, co więcej jest ona zbudowana na bazie filozofii metafizycznej³⁵, niemniej oprócz tego jej twórca posiada wyjątkowo jasne koncepcje plastyczne, świadom jest wszystkich możliwości linii i koloru. O ile w *Ueber das Geistige in der Kunst* pozwala on sobie na najbardziej swobodne porównania z muzyką, odnajdując w dziełach malarskich *basso continuo*, „wartości muzyczne kolorów, kompozycje melodyjne i symfoniczne” i td., o tyle praktyka jest zupełnie odmienną dziedziną, w której podobna terminologia nie ma żadnego zastosowania. Przykłady muzyczne służą mu tylko do ustalenia skali porównawczej i luźniejszej gamy skojarzeń pozamalarskich. Na tej drodze „*les rapprochements avec la musique sont les plus riches d'enseignements*”... „*Comparer les procédés des arts les plus différents ne suffit pas: cet enseignement d'un art par un autre ne peut porter de fruits s'il demeure seulement extérieur. Il doit s'accorder au principe de l'un et de l'autre. Un art doit apprendre d'un autre art l'emploi de ses moyens, même les plus particuliers et appliquer ensuite, selon ses propres principes, les moyens qui son à lui, et à lui seul. Mais il ne faut pas que l'artiste oublie qu'à chaque moyen répond un emploi spécial qu'il s'agit de découvrir. Ce que l'emploi des formes musicales permet à la musique est interdit à la peinture*”. Nie można by jaśniej określić stosunku Kandinskiego do „zapożyczeń” z dziedziny muzyki jak wyżej wymienionymi słowami. Po tym wstępie nie należy się spodziewać pobłażliwości dla idei o syntezie sztuk, próby realizacji której są Kandinskiemu świetnie znane, gdyż cytuje on często tak Skriabina (w szczególności „Prometeusza”) jak i najprzeróżniejsze teorie o ilustracji „kolorowej” dźwięków. Oświadcza on w części „praktycznej” swojej teorii („Język form i kolorów”) że: „*C'est une opinion répandue, mais erronée, que la possibilité de remplacer un art par un autre(...) Comme nous l'avons déjà constaté, la répétition exacte de la même résonance par plusieurs arts n'est pas concevable*”. Po tej wnikliwej analizie twórcy teorii abstrakcyjnej, wszelki komentarz wydaje się zbyteczny. Genialny współczesny Ciurlionisa wydał bezapelacyjny wyrok o jego poczynaniach.

Mimo swojej wyjątkowej precyzji wywodów, nie zdołał Kandinski uwolnić się od mirażu syntezy sztuk, gdyż przetranspono-

35. Historia sztuki zwróciła uwagę na rolę elementu metafizycznego w teorii pierwszych abstrakcjonistów dopiero w ostatnich latach. Pierwszym źródłowym artykułem na ten temat jest wspaniała praca Sixten Ringboma — „*Occult elements in the early theory of abstract painting*” — *Journal of the Warburg and Courtauld Institutes* — 1966. Uwidocznia on, że nie tylko Kandinsky zawdzięcza swoje koncepcje sztuki Steiner'owi, ale również Klee, Mondrian i Franz Marc inspirowali się teoriami teozoficznymi i okultyzmem Blavatskiej.

wał te idee na własny użytek do swojej teorii o sztuce „Monumentalnej”, przewijającej się przez całą książkę. Jest ona niczym innym jak tak upragnioną przez Ciurlionisa i Skriabina syntezą sztuk, tyle że, świadom niemożliwości praktycznej realizacji przy ówczesnych formach materialnych, przenosi ją wielki teoretyk znowu na wyżyny idei metafizycznej. To zabarwienie metafizyczną utopią filozoficzną jest najsilniejszym dowodem pokrewieństwa teorii Kandinskiego z mentalnością artystyczną Ciurlionisa, jest to największy trybut petersburski wielkiego twórcy sztuki abstrakcyjnej.



Byłoby bardzo łatwo zapuszczać się w dziedzinę hipotetycznych przypuszczeń typu „gdyby Ciurlionis żył jeszcze kilka lat dłużej...”. Wykonał on swoje zadanie historyczne z całym żarem, na jaki go było stać. Całą pasję życia poświęcił sztuce. Niestety jego sytuacja socjalno-historyczna nie pozwoliła mu na większą rolę praktyczną w rozwoju sztuki XX wieku, był on jednak jej pełnoprawnym synem i walczył wszystkimi siłami o realizację współczesnych mu ideałów artystycznych. Nawet jeśli z punktu widzenia czysto formalnego jego twórczość plastyczna nie zajmuje jednego z pierwszych miejsc w naszym wyimaginowanym Muzeum Sztuki XX Wieku, jest on niezmiernie cenny jako osobistość twórcza. W świetle naszych dzisiejszych wiadomości o tej epoce, wydaje nam się on niejako soczewką, w centrum której krzyżują się i potęgują wszelkie promienie intelektualno-artystyczne tej pasjonującej epoki, w której rodził się największy eksperyment intelektualny naszego stulecia — Abstrakcja.



„Il y a dans l'homme quelque chose de plus passionnant que la logique: les vertiges de l'imaginaire”.

J. L. B.

Trudno jest ocenić wartość sztuki Mikołaja Ciurlionisa na planie czysto plastycznym i dać odpowiedź na pytanie — jaki był tego rezultat. Zamiast odpowiedzi można by postawić inne pytanie: — Czy historia ludzkiej kultury zbudowana jest tylko zwycięstwami? Dzisiaj najciekawsza dla nas wydaje się postawa estetyczna tego artysty. Jest to jeden z nielicznych wypadków w historii dziejów artystycznych, gdy akt twórczy jest równie interesujący co rezultat. Ciurlionis przebiegł jak meteor na firmamencie wzburzonej epoki początku XX wieku. Spalił się we własnym ogniu, którego temperatury żadna istota ludzka nie mogłaby

wytrzymać. Uważany przez swoich warszawskich kolegów za *outsider'a* i dyletanta, był on najbardziej kompletnym wcieleniem swojej epoki, był może nawet najbardziej prawdziwym artystą tego środowiska. Poszedł drogą o istnieniu której nikt nie przypuszczał. Jak napisał Romain Rolland w roku 1930 „był on nie tylko tym, który wzbogacił sztukę malowania, ale również poszerzył nasz horyzont w sferze polifonii i rytmu. To jest zupełnie nowy kontynent, którego Krzysztofem Kolumbem stał się Ciurlionis”.

A. NAKOV

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 138 — WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)



OPERETKA

Str. 256.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)



TOM 139 — ALEKSANDER HERTZ

**REFLEKSJE
AMERYKAŃSKIE**

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich stronnictw politycznych”.

Str. 260.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Uczta

Nie wyobrażam sobie ani przez chwilę, że staliśmy się lepsi dzięki tragicznym przejściom, że cierpienie nas uszlachetniło, obawiam się raczej, że niewola nas upodli, choć z drugiej strony nie jestem pewny, co dokładnie oznaczają te pojęcia, gdzie jest granica między złem i dobrem, winą i zasługą. Oczywiście każde przeżycie otwiera oczy na jakieś nowe zagadnienie, odsłania rąbek innego świata, im głębsze, tym silniejsze jego działanie, więc można powiedzieć, że przez grozę przeszłości uzyskaliśmy jakiś nowy wymiar, ale ile on wart, nie potrafię określić.

Co znaczą takie pojęcia, jak dobro, szlachetność i kultura, gdzie jest Bóg, na którego poszukiwanie wybrałem się tutaj przez morze?

Spędziłem niedawno kilka tygodni w półklasztornej instytucji, schroniłem się tam przed zgiełkiem życia, żeby ochłonać i pozbić myśli, tak mi dojadło, że już nie mogłem wytrzymać dłużej. Spowito mnie tam w inne, nowe dźwięki i zapachy, otulono mnie nimi, jak watą i nie mogę zaprzeczyć, że było mi z tym dobrze, choć rozumiałem je inaczej, niż oni. Z rana słyszałem odległy głos dzwonu i delikatne kroki w korytarzu starców i kobiet udających się na modlitwę do kaplicy. Przy śniadaniu płonęły na stołach świece w kandelabrach, wszyscy stali najpierw w skupieniu oczekując modlitwy przed jedzeniem, świece skwierczały, pastor prosił szeptem Boga, aby pobłogosławił te dary, jakie mieliśmy spożyć. Jak tam było z błogosławieństwem, tego nie wiem,

Książka pt. „GROTA”, z której drukujemy powyższy fragment, jest pozbawiona fabuły, przedstawia wizje, wspomnienia oraz rozmyślenia autora na skalnym cyplu nad morzem, na który wyszedł jako zbieg przed 25 laty w poszukiwaniu Boga — sprawiedliwości. W tych błyskach myślowych zatracą się pojęcie czasu i chronologii. Całość cechuje silne zaangażowanie społeczne i polityczne autora.

ale jedzenie było pierwszorzędne, a towarzystwo kulturalne, w miarę dowcipne i dyskretne. Rozmawiało się półgłosem, najczęściej o tym, kto jakie zdobył stanowisko w świecie kulturalnym i kościelnym, jak piękna była msza, a dekoracja ołtarza udana, kazanie wzniosłe i pokrzepiające ducha. Znikało wszystko, co denerwuje, niepokoi, zmusza do krzyku i protestu. Chwilami ulegałem naprawdę złudzeniu, że stałem się sam lepszym człowiekiem przez to, że spowito mnie ciszą i spokojem. Dawałem wciągać się w rozmowy na temat rozwoju i znaczenia symbolów chrześcijańskich, wręcz fascynujący temat zwłaszcza na tle ostatnich odkryć archeologicznych, zabierałem głos w dyskusji o znaczeniu mistyki dla pojęć religijnych i tak włączałem się podświadomie w tę nową dla mnie społeczność, aż ktoś obudził mnie powiedzeniem, jak to przyjemnie znaleźć się w towarzystwie ludzi żyjących sprawami ducha, przechodzimy okres sekularyzacji, ludzie odchodzą od Boga i nie mówią o nim. Olśniła mnie wtedy prawda, że my tam przecież nuciliśmy sobie w gruncie rzeczy kołysanki i zaprawialiśmy się wzajemnie do drzemki, opowiadaliśmy sobie o świecach, krzyżach srebrnych, kamiennych i złotych kutych kunsztownie na użytek i zamówienie panujących, zamykaliśmy starannie okna, żeby ktoś nie przerwał nam snu. Podobnie, czynili Sybaryci w swoim słynnym mieście, gdzie karano niewolników śmiercią, jeśli obudzili swego pana hałasem pracy, pocieszały się wzajemnie, że u nas chrześcijaństwo, tysiącletnia tradycja, cywilizacja i demokracja i wszystko to czuwa nad naszym pięknie zastawionym stołem i pomaga nam w trawieniu. Zbudowaliśmy sobie takiego Boga, jaki nam był potrzebny i użyteczny i nie pozwolimy, aby ktoś wtrącał się do tego, jakąś syntezą świec, muzyki, szeptu, półmroku, bułek z masłem i zapachu parzonej kawy. Choć nie przeczę, że bardzo lubię ten zapach i odpowiada mi cisza, konserwuje i koi, świetnie działa na bezsenność, nie ma nawet porównania z nowoczesnymi pigułkami. Wpływ tego otoczenia okazał się korzystny dla systemu pokarmowego, więc zrozumiałe, że ciągnął mnie tam instynkt samozachowawczy. Nie ulega wątpliwości, że jest w tym sposób na przetrwanie bez wstrząsów udrapowane w dostojeństwo i kulturę.

Z drugiej strony śmierć, poniżenie i rozkład raz już poznane też pociągają. Jest w nich nieodparta moc, której znajome tony, głosy i zapachy przenikają wszystkie sprytnie budowane zasłony. Ich potężny krzyk przebija miękko wyścielane drzwi naszej szlachetności, które zamknęliśmy, aby odgrodzić się od nich. Grząskie błoto ciągnie nie dlatego, żeby tam wejść z pozą samarytanina, byłoby w tym sporo zarozumiałości, bo co tam jedna wątpliwa szlachetność pomoże, nie, ciągnie wprost po to, żeby raz wreszcie zapaść się w nim, utonąć i udławić się, żeby już więcej nie dusiły

mnie w gardle ta nasza dobroć, chrześcijańska kultura, demokracja i szlachetność, żeby je raz wreszcie wyrzygać, zespolić się z ciemieżonymi, bezbożnikami, głodnymi, garbatymi i złodziejami, zostać między nimi i skonać, zanim urodzą nowy system ciemieżenia. Kiedy nałykam się naszej własnej doskonałości, staczam się z uczuciem ulgi w orzeźwiającej kąpiel życiowego mułu i błota, schodzę na dno, gdzie byt ogranicza się do kilku prostych funkcji, w zaczadzonych oparach świadomości odcina niepotrzebne tam nikomu wytworne kłamstwa kultury.

Nie w wytwornych restauracjach, salonach czy kongresowych salach, gdzie wystawiamy sami siebie w odświeżonych szatach, tylko w barach i portowych knajpach odnajduję więcej świętych i istotnych prawd, niż we wszystkich kazaniach i politycznych deklaracjach razem wziętych.

Siedzi przy stoliku samotny mężczyzna z flaszką i błędnym spojrzeniem, przewróciło mu się coś, runęły jakieś zapory jego własnego, czy cudzego kłamstwa, rozpadła się wiara w doskonałość jego światka, albo całego systemu, nie mówię z nim o Bogu, demokracji, czy chrześcijaństwie, postawię kielicha i pozwolę mu kłać, może mu to przyniesie ulgę.

Może puściła mu się żona, kiedy orał, jak niewolnik, żeby kupić jej dom z ogródkiem, którego właściwie nie potrzebowali, aż znudziło się jej to wszystko i poszła z pierwszym lepszym. Może sam znudził się żoną, może postarzał się w długiej wiernej służbie i teraz odsunięto go, kiedy zużył się. Może wypruł z siebie siły dla dzieci, które pogardziły nim, gdy wykryły jego prostactwo dzięki własnemu wykształceniu. Nie pytam, bo mógłbym oberwać w zęby, nie mówię mu o Bogu, bo dla niego nie ma teraz zmiłowania, zostawiam go, niech utopi robaka. Biją od niego opary, ślina cieknie mu z ust, zapadła mu się wiara w tego Boga, jakiego sam sobie zbudował. Musi teraz spaść na dno, żeby poczuć grunt pod nogami, o ile wytrzyma upadek i nie połamie kości.

Obok kurwa wdzięczy się do swojego opiekuna, gotowa oddać mu wszystko, pieniądze i samą siebie, godność i życie. Nie gardzę nią, tylko podziwiam, takiego ogromu miłości nie spotkam łatwo w salonach, nie pytam, jak doszła do tego, kłaniam się jej nisko, ale dyskretnie, żebym nożem nie dostał między zębra. Bandzior wyszedł może nie dawno z więzienia, jest z nami w stanie wojny, wróg zawzięty i niebezpieczny, bo odtrącony. Jeśli ma krew na rękach, nie na niego ona tylko spada, wszystkie brudy tutaj i smrody są naszą wspólną własnością.

Otworzyłbym szeroko drzwi i okna tamtego klasztoru, żeby wdarły się w dostojną atmosferę plugawę przekleństw, wredne zaduchy, krzyki bitych, torturowanych i poniżonych, straszliwy wrzask wszystkich odtrąconych od naszego stołu, ale nie zrobi-

łem tego, stchórzyłem jeszcze raz i zaparłem się prawdy, jak Piotr Boga na Górze Oliwnej. Schowałem się w zacisznej dolinie tutaj nad morze, gdzie wyszedłem kiedyś z morza na ląd, żeby szukać Boga, cieszyć się ciepłem słońca, pluskiem fal i doskonałością tego schronienia. Na ten granitowy cypel nie dojdą tak łatwo zawieruchy świata, wykołajeńcy z knajpy nie przyjdą tutaj przewracać naszych stołów, podpalać domów i wrzucać nas w płonące stosy. Moje w nich zanurzanie się, to przecież tylko namiastka, nie fala, tylko maluteńka pianka, morze kołysze się o wiele dalej, potężne bagno, w którym zanurzone masy ludzkości przewracają się, wyciągają ręce na powierzchnię, miotają przekleństwa i wołają o ratunek, jego śmierdzące opary nie dochodzą w to zacisze, można zmrużyć oczy i rozkoszować się słońcem i wonią kwiatów.

Śniło mi się, że otwarto bramy więzień, obozów i miejsc zsyłek. Nie umiem określić dokładnie miejsca, gdzie się zebrali, ale była to jakaś olbrzymia łąka, której końca nie mogłem doszpec. Gdzieś tam rośły na niej rozłożyste dęby, ale z rzadka, tak, że nie przesłaniały widoku. W środku ustawiony był nasz stół nakryty białym obrusem, serwetki ułożono obok talerzy starannie zwinięte w krążkach z kutego srebra, porcelana zdobna była w stare dyskretne wzory niebieskich kwiatów, polerowane sztucze połyskiwały miejscami nie ukrywając jednak swego stecznego wieku. Świeczniki otoczone były kręgiem starannie dobranych kwiatów, poduszki na krzesłach kryte szlachetnym, lekko wytartym jedwabiem, z dali dochodziły ciche tony ograrów, ktoś grał fugę Bacha, na pobliskim stole rozłożono potrawy, które każdy sam nabierał sobie według uznania. Był szczupak z wody, marynowany łosoś, wędzony węgorz czernił się ciemnymi dzwonkami wśród gałązek kopru, krajaną polędwicę rozłożono plastrami między liśćmi sałaty i czerwonymi pomidorami rozciętymi na połówki otwierającymi świeże i wilgotne jeszcze ziarna. Gotowane na twardo jaja obłożono czarnym kawiozem, w środku stały talerzyki z masłem ułożonym w piękne spirale, kosze z chlebem różnego rodzaju, białym, razowym i sucharami dla gości z delikatnym żołądkiem, zasobnie, ale bez krzykliwości i przesady. Na drugim stole stało mleko świeże i zsiadłe, kawa i herbata w srebrnych dzbanach z późnego baroku, śmietana i napoje orzeźwiające, soki i lemoniady — bez wina — nawet piwo było bezalkoholowe. Goście schodzili się powoli do stołu, koło mnie usiadł emerytowany profesor w ciemnym garniturze staroświeckiej elegancji, w krawat miał wpięty znaczek międzynarodowego towarzystwa naukowego, pisał właśnie, zdaje się, rozprawę o wpływach Bizancjum na budownictwo kościelne na Bałkanach, erudyta i wyrafinowany znawca sztuki, u kłapy marynarki chy-

botąło mu się uwieszone szkło powiększające, nie dowiedział i nie mógł bez niego czytać drobniejszych tekstów, doskonały reprezentant tego, co nasza chrześcijańska i zachodnia kultura potrafiła stworzyć w ostatniej edycji, zapalony demokrata i obrońca brytyjskich tradycji parlamentarnych. Spierał się czasem o to z młodszym od niego znacznie lekarzem, sprężystym i eleganckim, z lekka tylko szpakowatym chirurgiem, który wślawił się nowymi metodami trepanacji czaszki, a zwłaszcza wycinania drobnych ośrodków mózgu promieniami protonowymi, podobno właściciel ogromnej fortuny, ale zawsze powściągliwy we wszystkim, zaferowany i przepracowany. Nie uchronił się przed wrzodem żołądka, wybitna postać, choć niezbyt skory do rozmowy i w dyskusji nie błyskotliwy, uważał, że nasza stara Europa już się przeżyła, przechodzimy w erę amerykańską i trzeba wyciągnąć z tego konsekwencje, wyrzucić za burtę cały niepotrzebny balast regionalizmów i tradycji, szukać tam natchnienia, gdzie są środki na gigantyczne badania naukowe. Drażnił tym ciągle pastora, który chciał odgrodzić nasz stary świat od zalewu tego, co nazywał nowoczesnym barbarzyństwem, z pogłębienia naszych własnych źródeł i tradycji można stworzyć nowe, głębsze i nieprzemijające wartości, nie należy tylko poddawać się wpływowi skomercjalizowanej tandety ani snobizować się na prymitywizm, niech tam sobie szukają natchnienia, ci co wczoraj skoczyli z drzewa w samochód, my mamy inne zadania i zobowiązania wobec naszej bogatej przeszłości, tłumaczył, ale był w swoim rozumowaniu raczej odosobniony, bo inżynier, dyrektor dużych zakładów, scjentyista przemawiający z pondusem i znawstwem sprawy, wytłumaczył krótko, że mimo wszystko amerykańska organizacja rynku i produkcji tak bije nas na głowę, że wszystko inne, to tylko zawracanie głowy. Przemysł nie wyżyje naszymi tradycjami, a jeśli chodzi o kraje zacofane, to jest to temat dla towarzystw filantropijnych, a nie dla poważnych ludzi. Co oni mogą kupić i jakie jest w ogóle ich miejsce w statystyce? Mogliby najwyżej liczyć się, jako rezerwat siły roboczej, cóż, kiedy ich ustroje takie niestabilne, że nikt nie zechce tam inwestować, najwyżej jacyś nieobliczalni ryzykanci kalkulujący na wysokie zyski w krótkim okresie czasu, z tego nie wyniknie rozwój gospodarczy, kawę tylko od nich kupujemy i wymiana handlowa z nimi, to ciągle przecież niemal paciorki i lusterka. Takie prowadzili ze sobą dyskusje, oczywiście nie wtedy przy stole, bo nawet we śnie nie było na to czasu, tylko wcześniej i wielokrotnie, co wszystko miałem jakoś w pamięci zanotowane, jak bym stale z nimi obcował. Myśl wszystko równocześnie ogarnia, a opisać to trudno, podobnie, jak nie mogę opowiadać o nich wszystkich równocześnie, tylko muszę brać każdego z osobna, jakby przychodzili jeden po drugim, a przecież widziałem ich

wszystkich razem, miałem wizję ich myśli, rozmów i nastawienia tak, jakby działa się to wszystko w tej samej chwili.

Ledwo usiedliśmy do stołu, kiedy z doliny przed nami podniósł się najpierw odległy i głuchy, potem szybko urastający w crescendo pomruk — krzyk — wrzask i łąka zaludniła się skazańcami, deportowanymi, więźniami obozów, wychudłymi postaciami w pasiastych ubraniach z ostrzyżonymi głowami, idącymi o kulach, kuśtykającymi, albo maszerującymi w kolumnach z typowym dla głodomorów trzymaniem się prosto w tułowiu, jakby nie przedstawiał żadnego ciężaru, z nogami zgiętymi w kolanach, jakby mieli w nich ołów. Z początku wydawali się szarą masą, wkrótce zacząłem rozróżniać poszczególne postacie z zapadniętymi oczodołami, wysuszonymi czaszkami, a na przodzie szły dzieci z głowami, jak dynie na cienkich szyjach, o wydętych brzuchach i cieniutkich nóżkach, rachityczne, pokrzywione, owrzodzone i kaprawe, tylko oczy jarzyły im się głodem.

Za tą pierwszą kolumną więźniów była przerwa, puste miejsce na łące, później biegli w pojedynkę murzyni ubrani w pięknie tkane kolorowe płaszcze, narzuty i derki, niektórzy we frakach z cylindrami na głowach, kobiety w bogatych strojach i pięknych naszyjnikach ze złota, jedne wiotkie i zgrabne, jak gazele, inne znowu roztyłe matrony w szatach z pięknie drapowanego jedwabiu. Biegli potykając się i zasłaniając rękami głowy, za nimi sywał się grad kamieni i grudy błota, widać było, że nie starcza im tchu, ślepia nabiegły im krwią, byli u kresu sił, a za nimi sunęła czerń nagich, czarnych i chudych wojowników z włóczniami, łukami, nożami i kijami, tu i ówdzie maszerowały regularne murzyńskie oddziały w hełmach, z pistoletami maszynowymi, po niektórych raz po raz puścił salwę pod nogami uciekających. W środku tego pochodu wysoki, muskularny murzyn tańczył w kółko wybijając takt dłońmi na bębnie, wokół niego wygibali się w tańcu młodzi chłopcy i dziewczęta podrzucając nagimi tułowiami.

Z drugiej strony szli równocześnie chorzy i kaleki wszelkich kolorów i narodowości, spuchnięci, pokrzywieni, roztaczający przed sobą niewypowiedziany smród, który, jak obłok ogarnął nasz stół. Profesor i ksiądz zwymiotowali, inżynier i lekarz trzymali się lepiej, ale pobledli i widać było, że zrobiło im się niedobrze.

W kuśtykającym tłumie kaszlących, plujących i rozpadających się ludzi raz po raz ktoś, jak cap, wskakiwał na najbliższą kobietę i pokrywał ją z tyłu w marszu, niektóre z napełnionymi brzuchami były wyraźnie w ciąży, jedna przysiadła na trawie i zaczęła rodzić wrzeszcząc, jakby ją ktoś zarzynał.

Z trzeciej strony nadciągały w cisy miarowym krokiem nie-

przejrzane szeregi małych, skośnookich ludzi uformowanych w wojskowe oddziały.

Kiedy ten najazd przerwał nam tak dobrze zapowiadający się posiłek, rozejrzałem się i stwierdziłem, że tyły mamy wolne. Profesor powstał trzęsąc się i powtarzał:

— Czego oni chcą, czego oni chcą?

Ksiądz wzywał Boga na pomoc, a mnie przyszło na myśl, że chyba ci na nas napierający muszą mieć innego boga, a nie wiadomo, który będzie mocniejszy, więc nie oglądałem się już na innych, sprawdziłem jeszcze raz, że odwrót był zapewniony, napełniałem szybko kieszenie jedzeniem, wypychałem, jak się dało, chleb i mięso do kieszeni, resztę zawiązałem w serwetę i zacząłem uciekać. Profesor wołał za mną, żebym poczekał, będziemy próbowali rokowań, przecież chyba nie będą nas bić, myśmy nic złego im nie zrobili, ale instynkt obozowy i doświadczenie mówiły mi, że tu nie będzie czasu na tłumaczenie się, a w każdej katastrofie lepiej być najedzonym, jak głodnym i zanim tłum dotarł do miejsca naszej uczty pod dębem, rzuciłem się w tył w jakąś rozpadlinę, pokryła mnie mgła i poczułem pod nogami piasek, biegnąc dalej spostrzegłem, że rozciąga się przede mną czysta pustynia, ale i to lepsze, niż konfrontacja z głodnymi, oni nie przyszli prosić o prawa wyborcze, tylko chcieli najeść się oszaleli i oślepli z głodu, to nie żarty, sam to pamiętam, tak sobie mówiłem biegnąc dalej, ile sił mi starczyło, choć nie widziałem pogoni za sobą, co ich tam obchodził jeden uciekający. Z każdym krokiem wzrastały moje szanse, odbiłem się znacznie od nich i nie słyszałem więcej krzyku, ani nie widziałem już, co się tam dzieje, kiedy oślepił mnie nieziemski blask i jakieś uderzenie w plecy powaliło mnie na ziemię, wiedziałem, że to koniec, że ktoś, nie wiadomo kto, użył ostatecznej broni, po której zostanie tylko ziemia wyjałowiona z wszelkiego życia, uświadomiłem sobie to wszystko czując równocześnie, jak opada ze mnie cielesna powłoka, butwieje i obraca się w proch mięso, popieleją kości, jak znikam i rozpadam się w nicości, choć rzeczywiście powinno to być inaczej, proces spalania w atomowym ogniu byłby chyba szybszy, ale sen ma swoje własne prawa, w każdym razie to wszystko odbywało się w pełni świadomości i bez bólu ku memu niezmiernemu zdziwieniu, bo nie straciłem ani wzroku, ani słuchu, potworny odgłos wybuchu wstrząsał wszystkim wokół, ale nie ogłuszył mnie, odwróciłem się z trudem, nie wiedziałem wtedy jeszcze, na czym polegała ta trudność, widziałem, jak drzewa, ludzie i wszystko na powierzchni zwija się, jak papier spalony na wietrze i spada prochem na ziemię, myślałem, że powinienem być umrzeć, chyba umarłem, ale skoro mogłem myśleć, słyszeć grzmot eksplozji przewalającej się po równinie, obserwo-

wać ogołocenie mojej planety z życia i wszelkich nierówności, to znaczyło, że żyję, wszystko to tłuło się w moich myślach, a wynik wydawał się niewiarygodny. Nie było nikogo, kogo mógłbym zapytać, jak jest naprawdę ze mną, powinienem był pójść do jakiegoś lekarza, ale nie było lekarzy, ani inżynierów, księdza wołającego do Boga, profesora, ani tańczącego szamana, groźnych tłumów, zniknęli głodni i syci, przepadło wszystko razem ze suto zastawionym stołem, zniknęła bezpośrednia groźba, więc nie było po co dalej uciekać, dziwne tylko mi się wydawało, jak przetrwałem to wszystko, postanowiłem powstać i rozglądać się w sytuacji.

Kiedy próbowałem jednak powstać, nie ruszyłem się ani na milimetr, nie czułem bólu, ale odniosłem niejasne wrażenie, że tam, gdzie powinny być nogi, nie ma niczego, jest pustka, że straciłem je w jakiś niezrozumiały sposób, ogarnęła mnie panika, chciałem sięgnąć ręką i dotknąć okaleczonego miejsca, ale ręka nie chciała mnie słuchać, nawet nie czułem jej bezwładu, nie miałem poczucia jej istnienia, byłem, okazało się, pozbawiony w ogóle kończyn, a co do reszty ciała, nie wiedziałem, jak przedstawiała się sprawa, bo nie mogłem przecież ani dotknąć głowy, ani pogłaskać się po brzuchu, nie wiedziałem więc, czy mam jeszcze głowę i tułów, co zostało ze mnie po tej katastrofie, którą przeżyłem cudem, jak mi się wydawało.

Spróbowałem wtedy popatrzeć na siebie, zobaczyć, choć ze strachem, jaka bryła pozostała z mego, mimo wieku dosyć jeszcze zwinnego ciała, ale gdziekolwiek skierowałem wzrok, nie mogłem niczego dostrzec prócz nagiej powierzchni spalonej niedawnym wybuchem. Co więcej, wydawało mi się, że chociaż mogłem bez wysiłku rozglądać się na wszystkie strony, to jednak głowa nie brała w tym udziału, oko przesunęło się jakby samo we wszystkich kierunkach, jeśli w ogóle miałem jeszcze jakieś oko, chociaż wiedziałem, że pozostał mi wzrok. Zebrałem wszystkie siły, by wydostać z siebie krzyk najmocniejszy, na jaki mogłem się zdobyć, liczyłem, że może jednak ktoś inny przeżył oprócz mnie i zainteresuje się moim wołaniem o ratunek, ale mój wysiłek nie zdał się na nic, nie wydobyłem z siebie nawet marnego pisku, byłem tego pewny, bo nie straciłem przecież słuchu, słyszałem ciągle jeszcze przewalające się pomruki wybuchu.

Wiedziałem więc, że żyję, ale mój byt był zredukowany do jakichś rozmiarów, których nie umiałem sprawdzić, nie mogłem powstać i rozglądać się, spojrzeć z góry na to, co pozostało poza mną po katastrofie, wzrok mój sięgał na wszystkie strony, ale tylko z poziomu ziemi, jakby z żabiej perspektywy, byłem pozbawiony głosu, ale nie świadomości, utraciłem możliwość chwytania czegokolwiek rękoma, bo ich nie miałem, nie byłem w stanie

nawet kopnąć, bo trudno to wykonać bez nóg, jeśli pozostały mi głowa i tułów, czego nie mogłem sprawdzić, były ze sobą tak jakoś połączone, że tworzyły jedną całość skrytą przed moim wzrokiem.

Obudziła się we mnie myśl, że może to jest jakiś stan przed ostatecznym rozpadem i nicością, że znajduję się w przedsionku śmierci, z którą obcowałem wprawdzie dosyć często, ale nigdy nie byłem tak głęboko w jej objęciach, jak teraz, trzeba to było jakoś sprawdzić, czy pozostały we mnie funkcje bytu, co do ciała nie byłem przecież pewny, sytuacja wymagała czynu, więc postanowiłem pierwszą próbę ruszenia naprzód. Nie mogę powiedzieć, że zdecydowałem się iść, bo to określenie nie odpowiadałoby nowym warunkom, w których się znalazłem, bez nóg i rąk, nie mogło być mowy nawet o zwyczajnym pełzaniu, pozostało mi więc tylko ogólne pojęcie potrzeby zmiany mego położenia na płaszczyźnie, na której znajdowałem się, a pozbawionej nawet, o ile to mogłem stwierdzić, wyraźnych przedmiotów określających moje na niej miejsce, tak była ze wszystkiego ogołocona.

Z ulgą stwierdziłem, że poruszam się bez większego wysiłku i — jak mi się zdawało — dosyć szybko, nie umiałem określić dokładnie mechanizmu tego procesu, odnosiłem wrażenie, że było to jakieś skurczanie się i rozprężanie, bardzo lekko tylko odczuwałem powierzchnię ziemi pod sobą i jej obłe nierówności, ogarniałem je sobą, a więc zachowałem pewną elastyczność, wszystko to zapowiadało się pocieszająco, zawsze pozostało coś ze mnie mające pewne materialne formy, choć ich rozmiary nie były mi znane.

Wszystko szło, jak z płotka, wzrastała we mnie świadomość, że posuwam się przed siebie, utwierdzałem się równocześnie w przekonaniu, że ogarniam teren, jak miękka i elastyczna chusta, a więc muszę być lekki i zwiewny, chropowatości nie sprawiały mi kłopotu przy ich przechodzeniu, używam ciągle tego pojęcia z naszego, ludzkiego świata, bo nie mogę znaleźć innego, właściwego, aż wreszcie natrafiłem na opór nie do pokonania: wyrósł przede mną jakiś nadtopiony ogniem metalowy przedmiot wbity w ziemię, mógł to być gwoźdź, mogło być coś innego, co przetrwało w swej pierwotnej formie powszechne zniszczenie. Uderzyłem w tę zaporę nie wiedząc, że nie potrafię jej pokonać, zwinąłem się w sobie i poczułem ból, co na swój sposób było pocieszające, bo potwierdzało mój byt i dawało mnie pierwszy sprawdzian mej nowej formy przez jej napotkanie na przeszkodę. Cofnąłem się i obchodziłem ją z boku i wtedy przyszło mi na myśl, że może stałem się dwuwymiarowy, pozbawiony bryły i materii, coś w rodzaju szkicu ołówkiem, mający płaskie tylko formy i wobec tego niezdolny do przebycia linii pionowej, postawionej

w poprzek mego istnienia, nie mogłem nazwać tego ciałem. Teoretycznie mogło to zgadzać się, bo skoro bomba zniszczyła materię — sam czułem, jak opadało ze mnie ciało i kruszały kości — to jednak jeszcze nie ma powodu przypuszczać, nawet wybitni fizycy nie potrafiliby tego udowodnić, aby niszcząc trzeci wymiar musiała automatycznie zniszczyć dwa pozostałe. Tak więc mogło zdarzyć się, że ziemia i niektóre odporniejsze przedmioty i materiały na niej zachowały swoje dawne wymiary, bryłowe, okrągłe, czy sterczące, jak ten gwoźdź, czy co to tam było, a żywe stworzenia zredukowały się do dwu wymiarów. Oczywiście nie należało wykluczać możliwości, że z biegiem czasu mogę odzyskać i trzeci w drodze regeneracji, natura potrafi dokonywać cudów, choć to też nie było wcale pewne, nie mieliśmy na tym polu badań ani doświadczeń. W takim razie, myślałem sobie, bardzo jest też możliwe, że profesor, inżynier, doktor i ksiądz też przetrwali w tej nowej, zredukowanej formie i może znajdują się nawet gdzieś blisko mnie, ale nie posiadając bryły pozbawieni jesteśmy możliwości dostrzegania się wzajemnie i komunikowania się między sobą, w każdym razie nie starymi, znanymi sposobami. Gdyby tak było, należało przyjąć, że przetrwały także zbuntowane, głodne tłumy, chociaż trudno było sobie wyobrazić, że mogły jeszcze komuś zagrażać, bo nie wiadomo było, czy w płaskim świecie możliwa jest walka i czy sam jej przedmiot, stół zastawiony do uczyty, przedstawiałby nadal obiekt godny zainteresowania i sporu w nowych warunkach bytu.

Przypuszczając możliwość odrodzenia się świata w starych formach dzięki kojącym właściwościom przyrody, co wcale nie było pewne, zdałem sobie sprawę, że tego rodzaju proces nie musi być wcale równoczesny i równoległy we wszystkich formach, wręcz przeciwnie, można było przypuszczać, że niższe organizmy będą miały większą szansę odzyskania swych mniej skomplikowanych form cielesnych, a człowiek znajdzie się prawdopodobnie na końcu. Tak więc na przykład trawa, czy jakieś inne zielsko mogłyby już odrastać po krótkim czasie, kiedy ja zachowałbym jeszcze nowe formy, jeśli można je tak nazwać, a nie szkicem w próżni i nicości. Powstałby wtedy dla mnie niepokonalny problem, jak przejść rosnącą łąkę, która byłaby dla mnie barierą nie do pokonania, jak ten gwoźdź, który zmusił mnie do odwrotu, każdy badył mógłby zamknąć mi drogę i pozbawić mnie możliwości poruszania się, trzeba było pomyśleć na czas, jak najprędzej wycofać się ze strefy najbardziej dla mnie groźnej.

Po dojrzałym namyśle doszedłem do wniosku, że szerokie skały pozbawione ostrych szczelin i występów najbardziej będą odpowiadały moim potrzebom, więc udałem się na ich poszukiwanie. Nie chcę już zwracać dłużej głowy opowiadaniem, jak

wlokłem się przez piaszczyste równiny, wypalone pustkowia dawnych lasów, zniszczałe pola, zanim dotarłem, oczywiście we śnie, tutaj nad morze, na ten sam granitowy cypel, do którego powracam ciągle w myślach, jak bym urodził się tutaj z morza, co w pewnej mierze odpowiada prawdzie. W każdym razie zdążyłem na czas, zanim ziemia ponownie weszła w okres roślinnej wegetacji, który, jak przypuszczałem, miał niedługo nadejść, czułem się bardzo zaniepokojony, nie wiedziałem, jak skończy się mój pierwszy kontakt z wodą, nie mieścił się w moich pojęciach problem, czy ciało dwuwymiarowe tonie, czy też unosi się na powierzchni wód, ryzyko było ogromne, spełniałem tutaj pionierskie zadanie i nawet nie mogłem nikomu przekazać moich doświadczeń pozbawiony możliwości komunikowania się z pozostałym światem, o ile taki istniał.

Spoczywałem najpierw długo na tym samym miejscu, gdzie wygrzewam się teraz w słońcu. Fala była wtedy wyższa i wyczuwałem jej bliskość, aż w końcu postawiłem wszystko na jedną kartę. Tu nie było mowy o jakimś ostrożnym zanurzeniu palca u nogi, bo moja istota była płaska i nie pozwalała na takie eksperymenty. Krótko mówiąc znalazłem się cały w wodzie i zrozumiałem wtedy z miejsca, że to był właściwy dla mnie żywioł pozwalający na znacznie większą swobodę ruchów, niż nędzne pętlanie po lądzie, gdzie każdy patyk zagradzał mi drogę, tutaj mogłem do woli opadać na dno, podnosić się i poruszać pod warunkiem, że było równe, wznosić się na powierzchnię, bo powietrze pozostało dla mnie niepokonalną barierą, jeszcze trudniejszą do przebycia, niż w dawnym życiu, bo nie było mowy o podskakiwaniu. Pławiłem się więc w tym nowym żywiole i odkrywałem jego nieprzeliczone uroki. Życie głębinowe wydało mi się nienaruszone wybuchem, a równocześnie, w pewnych granicach, ryby, rosgwiazdy, skorupiaki i najróżnorodniejsze potworki morskie zdawały się nie dostrzegać mnie, pozostałem dla nich skryty w swoim nowym wymiarze.

Z pozornych szczytów zsunąłem się na bezpieczniejsze dno bytu. Nie wiedziałem czy i jak będę mógł wrócić — po latach, wiekach, pokoleniach — w znane mi, ludzkie jego formy.

Michał LISIŃSKI

Pies

Stefana poznałem w klubie Książki i Prasy w Zakopanem. Przychodziliśmy prawie o jednej porze czytać „Po prostu” w tym czasie, kiedy było warto. Potem czekaliśmy na siebie z gazetą. Gadało się o różnych rzeczach, i tak szło. Raz piliśmy w barze na Krupówkach jabcok, to znaczy wino „Kasztelańskie”, owocowe. Kiedyśmy już trochę pociągnęli, ni z tego ni z owego Stefan powiedział, że pies chyba nie powinien pić wina.

Nie wiedziałem do czego zmierza.

— Dlaczego? Niech sobie pije. Jak chce?

— Ja wiem lepiej. Sam kiedyś byłem psem.

— Jak to?

— No tak, mówię ci.

— Kiedy?

— Podczas wojny. W sowieckich więzieniach. A ty coś myślał?

— Więzieniach? Ilu więzieniach?

— Ja wiem. Może dwunastu.

— Ho, ho. A w łagrach byłeś?

— Nie. Na to byłem za ważny ideowiec.

— Nie gadaj. I co z tym psem?

— A nic. Bo widzisz stary, ja cholernie lubię psy. Słowo. Kochane zwierzaki. Prawdziwa miłość — za darmo. Wiesz po czym się poznaje prawdziwą miłość? Jak wiesz to powiedz.

Nie byłem pewny.

— To ja ci wytłumaczę. Będziesz miał jak znalazł. Prawdziwa miłość, bracie, nie pamięta upokorzeń. Zapisz to sobie. Jak masz dziewczynę zaraz możesz się przekonać. Prosta sprawa ale mała szansa. Chyba u szesnastolatki. Pies co innego. Czysta miłość, stary.

— Powiedz o tych więzieniach.

— Zaraz będzie. Wyobraź sobie, stary, psa, niech będzie nie wiem jakiej szlachetnej rasy, jak jego pan — ta wielka, rozumiesz, miłość — trzyma go za obrozę, krótko, mocno, w kagańcu, i leje bykowcem — wiesz, taki pejcz z wysuszonego bykowego pisiaka — gdzie popadnie, przez mordę, łapy, po gnatach. Pies skowycze, błaga, żeby mu darować czego nie zrobił, czołga się, a ten wali, nie przestaje skurwel. Ten pies nie będzie nigdy honorowy, jak zwykły porządny pies. Zrobił się z niego psi placek. Zawołasz na niego — będzie skomlał i pętlł do ciebie. Podasz żarcie — uchyli się ze strachu.

— To ty niby taki byłeś pies.

— Żebyś wiedział. Byłem komunistą — może to śmiesznie brzmi, ale co chcesz, piękna idea — i tam wycisnęli ze mnie wszystko co miałem w środku. I wiesz co? Do dziś dnia nie mogę przeboleć. Nie to, że dałem się nabrać — ale nie śmiej się — że było nie tak, jak sobie wyobrażałem. Cholernie smutne, stary, moja wielka, uważasz, tak zwana tragedia.

— Mów od początku.

— Jak weszli miałem dwadzieścia lat. Nie długo mnie potrzebowali. Cóż, fanatyk byłem. Nie dla nich. Dwa miesiące, i do tury.

— To ile teraz masz?

— Trzydzieści sześć.

— Coś ty?

— A tak. Co się patrzysz? Nie wyglądam na tyle, co? Ano, tak bracie. Nie chciałeś wierzyć, ho ho mówiłeś. Tak jest...

— I co potem?

— To co zawsze. Zarzuty szpiegostwa, dywersji — skąd oni to wyciągali, chyba z encyklopedii — konfrontacje z nieznanymi ludźmi, nowe oskarżenia, jedno na drugie nakładało się bez sensu, rosło do niepojętych rozmiarów, nowe przesłuchania, i tak ciągle, z więzienia do więzienia, przez prawie dziesięć lat.

— Ładny szmat czasu, nie ma co. Przyznawałeś się?

— Jasne. Do wszystkiego.

— Nawet do tego co nieprawda?

— Wszystko była nieprawda.

— Nie próbowałeś jakoś się trzymać?

— Masz na myśli ludzką godność, coś z tej branży. Nie, bracie. Tam nie ma na to miejsca. Tam nie ma mocnych. Słyszałeś o tej mumii Ramzesa co nie wiedzieli kto, aż sam się przyznał? No więc. Prawdziwy kawał. Czemu nie, próbowałem. Nawet dość długo. Rekord, mówili. Przecież wierzyłem w nich, rozumiesz — pierwsza miłość. Ale mi przeszło. Zrobił się ze mnie placek.

— Bili cię?

— Raczej nie. Rzadko obrywałem.

— To jak?

— Są lepsze sposoby. Skuteczniejsze. Niemcy bili, tak. Bo im się śpieszyło. Mieli mało czasu. Do nowych zdobyczy, do tej ich całej tysiącletniej Rzeszy. Bili — aż zabili. Była szansa dla bohaterów. Niech zabijają, nie powiem. Nie sygnę kumpli, rodziny, nie zdradzę sumienia. Można i tak. Czasem się udawało. Ale przy tych Niemcy wysiadają. Amatorzy.

— Nie przesadzaj.

— Poczekaj. Zaraz ci powiem. Słyszałeś o polowaniu na gazy, ale bez strzelby, o to chodzi. Trzeba tylko mieć wóz. Są gdzieś w Afryce, nie wiem gdzie, twarde pustynie, stepy, czy coś takiego, dość równe żeby po nich jeździć. Bierzesz jeepa, otwartego, bo gorąco — i na polowanie. Gazy biegają sobie stadkami jak by nigdy nic. Czort wie z czego żyją na pustyni. Wybierasz jedną, młodą — i dawaj za nią. Z początku nie masz szans, taka szybka, zwrotna. Ale powoli się jej zwalnia. Potem jeszcze bardziej. I w końcu, bracie, nie może. Nie daje rady. Staje, stoi i dyszy. Drży ze zmęczenia i strachu. A może się kładzie, nie wiem. Możesz ją wziąć na ręce jak potrafisz, zanieść do wozu, spętać, a potem zarżnąć, albo co masz ochotę.

— Tak z tobą robili?

— Podobnie. Każdy człowiek, uważasz, ma w sobie węgielek. Większy albo mniejszy, zależy, Póki ten węgielek się pali — dobrze. Kiedy się skończy, to jak ta gaza — dalej nie możesz. Koniec. Wszystkie krany się otwierają. Potrzeba czy nie. To co dotąd trzymałeś w sobie wylewa się samo. Głupia sprawa, do tego żeby ten węgielek się palił potrzeba takich nie ważnych rzeczy jak jedzenie, spanie, ciepło. A tego ci w więzieniu nie dają. Zwłaszcza jak jesteś w rozpracowaniu. Nigdy byś się nie domyślił, stary, jak słodko może pachnieć gliniasty razowiec. Ale go nie ma. A jak jest, to mało. Bez przerwy zimno. Spać nie dadzą, gorączka. I te ciągłe przesłuchania. Dnie i noce, noce i dnie. Na odmianę proszą, to znowu wrzeszczą na ciebie. Huśtawka. Kwestia czasu, oni to wiedzą. Co chcesz, z taką rutyną. Nie potrzeba tortur. Sam się przyzna. Jeżeli ktoś twardy można przyspieszyć, czemu nie. Ja miałem dość spory ten węgielek. Rozumiesz — młody ideowiec. Rzeczywistość nie chciała do mnie dotrzeć. Nie mogli mnie przekonać że jest inaczej niż ja sobie życzę. Dlatego dostałem na przeczyszczenie. Dużo, stary sposób. Wiesz jak jest kiedy człowieka brzuch boli. Jest skończony. Nie może nic. I na dodatek musiałem robić przy nich. Na krześle przed biurkiem śledczego. Trzymałem jak długo się dało. Potem nie było rady. Głośno jak cholera i śmierdziało jeszcze gorzej.

Oklinali mnie, wyśmiewali. Powiadam ci, kuliłem się ze wstydu. Zabawne, szmata ludzka, skopany pies się wstydzi. Ale prawda. I tak mnie zrobili.

— I już?

— Mało ci? Nie, nie już. Powiedziałem co chcieli, i więcej. Potem zaczęło się maglowanie od początku. Z drobnymi zmianami. I tak w koło. Jak mówiłem.

— Przez dziesięć lat?

— Coś koło tego.

— Trochę nudno.

— Można powiedzieć. Człowiek powoli się przyzwyczajał. Jak do wszystkiego. Bywały urozmaïcenia. Inne więzienie, nowa cela, nowy śledczy. Kamraci. Raz spotkałem aresztanta enkawudzystę. Był na Brygidkach, opowiadał.

— We Lwowie?

— Tak. Skurwel nie wąski. Nie lubił mnie. Gdzieś po roku trochę się przekonał. Był jak wykończali więźniów przed swoją ucieczką. Chwalił się jak pogulali. Te obcinania uszu, pisiaków, piersi — to fakt. Zarzynali ludzi, dzieci, rodziny tam były. Księżom rozcinali brzuchy, wkładali martwe niemowlaki. Te rzeczy. Tak było. Albo rękawiczka. Słyszałeś o rękawicze?

Nie miałem pojęcia jaką rękawiczkę ma na myśli.

— Wkłada się człowiekowi rękę do gotującej wody. Po jakimś czasie można naciąć skórę na przegubie i ściągnąć jak rękawiczkę.

— Żywego?

— A co byś ty chciał? Z trupem żadna zabawa.

— Co ty gadasz, Stefan.

— Nie udawaj stary. No tak, ty — człowiek kulturalny — wolisz namiastki. Wystarczy ci że sobie wyobrażasz. Tak przeżywałeś „Rzym miasto otwarte”. A tam przecież ludzie pocą się z męki, stękają i skomlą na torturach. Nie jak ludzie, jak psy. Słyszałeś? Powiedz, nie było przyjemnie sobie popatrzeć? Pewnie, to co innego niż jedzenie czekoladki.

— Niech cię cholera. Jak było dalej?

— A było. Różnie było. To widać po mnie, nie? Ale rękawiczka mnie ominęła. Widziałem gościa co przez to przeszedł. Przeżył nawet ręki nie stracił. Tyle że nieruchoma. Lewa ręka, na przyzwoitego trafił. Palce miał cieniutkie, sine, nowa skóra pomarszczona jak u chorej jaszczurki. Nie przejmował się, opowiadał jak na zegarek patrzyli. Czy dobrze się ugotował. Wesolek jakich mało.

— Charakter.

— Nie to. Życie w więzieniu jak wszędzie indziej. Ma swoje dobre strony. Do złych można się przyzwyczaić. Nie rozumiem

czego ludzie tak się boją. Że nie można wychodzić? Wielka rzecz.

— Ale wrócić byś nie chciał.

— Kto wie.

— Nie wywołuj wilka Stefan.

— Nie bój się nic. Jakoś to będzie. A wiesz, stary, po co spotkałem się z tobą dzisiaj?

Mogłem się domyśleć.

— Żeby mi to wszystko powiedzieć.

— Tak. I jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Wyjeżdżam.

— Nie gadaj. Dokąd?

— Za granicę. Mam tu dosyć.

— Poważnie? Stefan, niech cię nie znam. Wyjeżdżasz na zachód? Chłopie, zazdroszczę ci. Na stałe?

— Chyba tak. Mam robotę. Dostałem zaproszenie — wiesz, stare znajomości.

— Wyobrażam sobie. Sam bym pojechał gdyby była szansa.

— Chcę i boję się tego wszystkiego.

— Poradzisz sobie, spokojna głowa.

— Muszę. Dziękuję ci, stary. Ja zapłacę za jabcok. Bądź zdrow, trzymaj się.

— Bądź zdrow i powodzenia. Daj znać Stefan.

— Tak jest. Do widzenia.

Nie słyszałem więcej o Stefanie. Rzeczywiście wyjechał za granicę. Wrócił do Związku Sowieckiego.

Andrzej LUBELSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wiersze

B I E L

O białe, białe, białe. Białe miasto którym niosą chleb i warzywa kobiety urodzone pod znakami wracających moich zodiaków.

Paszcze w zielonym słońcu bluzgają wodą jak w dni dalekich zaślubin, marszów o chłodzie aurory z krańca na kraniec.

Klamry od szkolnych pasków gdziekolwiek w gęstej ziemi, sznurem ożyn przepasane bunkry i sarkofagi.

Objawienia dotyku od początku, nie przyjęta żadna wiedza i żadna pamięć.

Chwiejny przechodzień, idę przez targ uliczny po utracie mowy.

Swieczniki w namiotach zdobywców zalał wosk, opuścił mnie gniew i na języku mam cierpkość zimowej renety.

Dwie cyganki wstające z popiołu biją w bębenek i tańczą dla nieśmiertelnych ludzi.

Echa, gołębie w zamieszkałym albo pustym, nikt nie troszczy się, niebie.

Wielki mój lament, bo myślałem że może trwać rozpacz i że może trwać miłość.

W białym mieście, które nie żąda, nie zna, nie nazywa, a było i będzie.

WYDZIEDZICZONY

Do czego powołany? Dla kogo powołany? Wielki Boże, na oślep, przez widnokreśli z bawełny,

Fatamorgany rudych łusek na warowniach nadmorskich prowincji,

Przez dym palonego wina nad łozem potoków albo błękitną myrrę przygastych kościołów.

Dni czy lata i zawsze na nowo, w okolicę było a nie jest.

Do niedosiężnej kotliny ocienionej na zawsze słowami gdzie nagich klęczących obmywa źródło nierzeczywiste.

Bez jabłka wiadomości na wirażach od ziemi do nieba i od nieba w krew zeschłą garncarzowej roli.

Wydziedziczony z prorocत्व, spożywając swój chleb w południe pod sosną wysokopienną mocniejszą od nadziei.

K R O N I K A

Ej! Nadielajem dietiej! I narobiliśmy ich, wąsatych, z szablami, w cholewach.

Tudzież krasawic szczających bez zgięcia nóg, nieruchomo, spod długich spódnic.

Klekoty drewnianych kół, majdany u mglistych żurawi przez nas były poczęte.

I państwa, od pijackiego zamku z krzywą wieżą aż po ruczaj i płot kurnych chat.

Zeby trwało, bolało, usta bogów nam podobnych wyciosali z najlepszego drewna.

Srebrne serca u ołtarzy na rozstajach zawieszali bijąc w dzwony.

Ale zaraz przestonił nas obłok i minął i była tam cisza.

Nic tylko błyski w przepaści, raz, którejs wiosny czy lata.

Po plaży za autostradą, o lasce, w kapeluszu leśnego pszczołarza,

Bywa że któryś z nas idzie i ogląda ich nagość. He-be.

Czesław MIŁOSZ

Kronika angielska

„ORIENTACJA LONDYŃSKA”

Przed wojną znałem dokładnie kilka małych, prowincjonalnych miast polskich. W miasteczku więź lokalna stanowi fundament nudy i ujednoliceń. Urzędnik przeniesiony z większego miasta do Limanowej, po kilku latach ulega uprowincjonalnieniu. Istotą „prowincjonalizmu” jest konwencja towarzysko-społeczna z której nie można się wyłamać. Człowiek w wielkim mieście bywa samotny, lecz może żyć tak jak chce. W małym miasteczku można żyć tak jak się chce tylko za tę cenę, że się ma wszystkich przeciwko sobie.

Polski Londyn jest typowym prowincjonalnym miastem. Ludzie, którzy należą do emigracyjnej *society* — przestrzegają sztywnej konwencji, którą brytyjskie przepisy o oszczerstwie wyposażyły w sankcje prawne. Duszą polemik w Polsce przedwojennej były ataki i nie rzadko inwektywy czysto osobiste. W polskim Londynie publicysta może krytykować *establishment*, S.P.K., czy Związek Hodowców Pieczarek lecz na nikogo nie może wskazać palcem. Może pisać o powiernikach lecz nie o p. Ypsylońskim, który siedzi na ex-rządowych funtach i nie chce się z nimi rozstać. Pisma brytyjskie ryzykują czasem proces bo mają pieniądze, których nie ma ani prasa emigracyjna ani emigracyjni dziennikarze. W „Kulturze” znamy te sprawy z własnego doświadczenia. Spokojnie i rzeczowo krytykowani na naszych łamach dygnitarze przesyłali nam listy adwokackie.

W okresie niepodległości różnice pomiędzy Witosem a Piłsudskim — czy nawet pomiędzy Liebermanem a Sławkiem — były olbrzymie i kontrastowo zarysowane. W Polskim Londynie trudno dopatrzeć się różnic pomiędzy „Zamkiem” a Radą Trzech — czy pomiędzy piłsudczykami a endekami czy socjalistami. Pomiedzy „Zamkiem” a Radą Trzech istnieje spór personalny i proceduralny lecz nie polityczny.

Suma różnic staje się w londyńskim *establishment* coraz mniejsza a suma podobieństw coraz większa. Nie jest ani ważne ani istotne, że p. Y. jest endkiem a p. Z. socjalistą. Ważne i istotne jest, że obaj są „anty”. Antykomunistyczni, antyreżymowi, antysowieccy, antyrosyjscy, antyrewolucyjni,

antyewolucyjni i td. Negatywizm jest głównym budulcem „orientacji londyńskiej”. Można być antyrosyjskim, antyreżymowym, antykomunistycznym — pod warunkiem, że na jakimś określonym polu jest się nie „anty” lecz „pro”. Weźmy przykład następujący. Gdyby dziś żył w Londynie Władysław Studnicki byłby „anty” w dziesiątkach spraw, lecz równocześnie z niesłabnącą energią pracowałby nad porozumieniem polsko-niemieckim. Pisałby książki, memoriały, broszury — konferowałby z politykami niemieckimi w Bonn i td. Gdyby Studnicki żył z całą pewnością zwalczałby jego działalność. Niemniej jestem pewien, że Studnicki nie zmieściłby się bez reszty w „orientacji londyńskiej”. Jemu negacja by nie wystarczyła. Studnicki prawdopodobnie uważałby, że polskie ziemie zachodnie, przynajmniej częściowo, należy oddać Niemcom — miałyby przeciwko sobie całą opinię publiczną i nie by sobie z tego nie robił.

Natomiast politycy emigracyjni mieszczą się bez reszty w „orientacji londyńskiej” i to jest tragedia. Są „anty” i na tym kropka.

Gdy umarł dr Adenauer przysłała mi na myśl refleksja, że od śmierci Piłsudskiego nie mieliśmy polityka tego kalibru. Polacy nie mają powodu ronić łez po Adenauerze lecz jego zasługi dla Niemiec są wręcz niewymierne. Będąc starym człowiekiem wyprowadził Niemcy z dna totalnej klęski i z kręgu ogólnej nienawiści i pogardy. Wykazał doskonałą znajomość i odczucie Zachodu, i w przeciągu dosłownie kilkunastu lat przeprowadził proces rehabilitacji i restauracji pokonanego państwa w skali nienotowanej w dziejach Europy.

Niemcy mieli szczęście w nieszczęściu. Nam owego szczęścia w klęsce brakło. Zarówno w Kraju jak i na emigracji okres ubiegłych dwudziestu lat stanowi popis rozpaczliwego przeciętniactwa. Mamy ludzi uzdolnionych, prawych, oddanych — lecz prawdziwie wybitnej jednostki ani na lekarstwo. Nie mamy męża stanu — ani nawet kandydata na męża stanu europejskiej miary.

Polacy mają różne wady, lecz obiektywnie należy stwierdzić, że nigdy nie byli nudni. Ilekroć było zapowiedziane przemówienie Piłsudskiego na takim czy innym zjeździe Legionistów cała Polska czekała w napięciu, jak na premierę sztuki kontrowersyjnego, znakomitego autora.

Prasa polska w sensie politycznym chyba nigdy nie była tak nudna jak obecnie. Z góry wiadomo co o danej sprawie czy zagadnieniu napisze Stahl czy Pragier — z góry wiadomo co napiszą na ten sam temat w „Trybunie Ludu” czy w warszawskiej „Kulturze”.

Amerykańscy socjologowie uważają, że nuda jest objawem alienacji, wyobcowania. Wydaje mi się, że casus polski w stu procentach potwierdza tę diagnozę.

„Orientacja londyńska” w jej obecnej formie jest typową strukturą aliancyjną. Spróbujmy przeanalizować tło i genezę tego zjawiska.

Dokładnie 17 lat temu ukazał się w „Kulturze” mój artykuł pt. „Rozłam”. Dnia 30 sierpnia 1950 r. prof. Henryk Paszkiewicz, nie należący do żadnego stronnictwa politycznego, otrzymał misję utworzenia rządu „jedności narodowej”. Trzytygodniowe rokowania z przedstawicielami stronnictw nie przyniosły pożądanego rezultatu. Prof. Paszkiewicz złożył swą misję a Prezydent RP zamianował premierem gen. Odzierżyńskiego. To był początek końca.

Należy przypomnieć, że po śmierci prem. Tomaszewskiego stronnictwa ogłosiły teksty memoriałów, jakie przedłożyły Prezydentowi RP. Ugrupowania wchodzące w skład Rady Politycznej wysunęły na pierwszym miejscu żądanie ustąpienia Prezydenta. Prez. Zaleski oświadczył wówczas, że choć nie jest władny zmieniać postanowień Konstytucji — gotów jest jednak określić termin swojego urzędowania ze względu na wiek. Prezydent RP liczył w roku 1950 lat 68 i zdecydował wówczas złożyć swój urząd gdy osiągnie lat 70.

Zmudne rokowania prowadzone przez prof. Paszkiewicza zostały storpedowane wysunięciem przez A. Ciołkosza żądania bezwarunkowej kapitulacji tj. natychmiastowego ustąpienia Prezydenta Zaleskiego. Żądanie p. Ciołkosza wysunięte imieniem PPS zażyrowały dwa pozostałe stronnictwa Rady Politycznej.

W owym czasie publicyści spod znaku Rady Politycznej wysuwali stale tezę, że kamieniem węgielnym demokracji są partie polityczne. Kto atakuje partie polityczne na emigracji, ten opowiada się za dyktaturą.

W „Kulturze” reprezentowaliśmy pogląd, że mandaty partii politycznych są przestarzałe i zdemokratyzowanie „państwa *in exile*” winno wyrazić się poprzez przyznanie prawa reprezentacji płatnikom Skarbu Narodowego. „Kultura” popierała gorąco ideę Skarbu Narodowego, który w roku 1950 był jeden (a nie dwa jak obecnie) i liczył ponad 100 tysięcy członków. W samej Wielkiej Brytanii istniało 17 lat temu 250 sprawnie funkcjonujących ogniw Skarbu Narodowego. Domagaliśmy się by rząd, w oparciu o sieć organizacyjną Skarbu Narodowego, zorganizował wybory do Rady Narodowej. Wówczas Rada Narodowa przynajmniej w połowie swojego składu reprezentowałaby szerokie masy emigracyjne płacące na Skarb Narodowy. Zarzut, że „państwo na emigracji” jest niedemokratyczne stałby się wtedy bezpodstawny.

Istniały zasadniczo dwie koncepcje „państwa *in exile*”. W „Kulturze” zamieściłem dokładny schemat organizacyjny obu modeli. Należy podkreślić, że w owym okresie zarówno koła pro-rządowe jak i opozycja uznawały Prezydenta, Konstytucję i „Państwo Polskie na obczyźnie”.

Nasza postawa była jasna i niedwuznaczna. Kraj był okupowany tak jak w okresie wojny, a władze zwierzchnie RP urzędowały *in exile*. Prezydent i rząd reprezentowali nie emigrację, lecz naród polski, którego Polacy, przebywający czasowo na obczyźnie, stanowili mały fragment.

Koncepcja „państwa na emigracji”, które reprezentuje cały naród — z natury rzeczy jest koncepcją czasową i przejściową. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, Prezydent RP wróciłby do Warszawy i wówczas Druga Rzeczpospolita trwałaby nieprzerwanie po dzień dzisiejszy.

Cofnięcie uznania rządowi polskiemu na obczyźnie nie było momentem decydującym. Dany rząd jest legalny tak długo jak długo przez większość swoich obywateli uważany jest za legalny. Koncepcja „państwa *in exile*” upadła wówczas, gdy stało się oczywiste, że większość Polaków w Kraju i na emigracji nie uznaje prezydenta i jego rządu za legalny rząd polski.

Polacy cofnęli swoje uznanie „państwu *in exile*” z dwóch przyczyn.

I. — Polacy na obczyźnie po latach zdali sobie sprawę z faktu, że nie wrócimy. Nie wrócimy jako zwycięzcy i strażnicy Konstytucji i symbolów Drugiej Rzeczpospolitej. Możemy wracać indywidualnie. W sprzyjających

warunkach — które dziś niestety trudno sobie nawet wyobrazić — być może fala powrotu przybrałaby charakter masowy. Lecz nawet wtedy nie wracalibyśmy jako rząd i władze, tylko jako emigranci, w znakomitej większości wyobcowani z rzeczywistości krajowej.

II. — W roku 1953 zmarł Stalin a w trzy lata później doszło do przełomu październikowego w Polsce i powstania na Węgrzech. Październik ujawnił dwa fakty: nieodwracalność pewnych przemian społecznych i gospodarczych w Kraju oraz anachronizm polityki niepodległościowej w wydaniu Drugiej Rzeczypospolitej.

Dziś, patrząc na te sprawy z perspektywy lat, sądzę, że ostateczny cios Drugiej Rzeczypospolitej zadał Stalin, ponieważ głównie dzięki jego inicjatywie wróciliśmy na ziemię zachodnią. W chwili gdy wbito biało-czerwone słupy graniczne nad Odrą i Nysą — narodziła się Trzecia Rzeczpospolita — dziś satelicka, w przyszłości, może niezbyt odległej, niezależna.

Koncept polityki niepodległościowej, odziedziczony z okresów powstań a uformowany przez Piłsudskiego i jego obóz, jest niezasadowny w odniesieniu do Trzeciej Rzeczypospolitej. Logicznie bronić tego konceptu można by tylko za cenę rezygnacji z ziem zachodnich i powrotu do granic z 1939 r.

Naród jednak nie przyjąłby takiego programu. Granica na Odrze i Nysie w sensie społeczno-psychologicznym przybrała charakter symbolu narodowego i jednocy Polaków bez względu na przekonania polityczne, ustrojowe i religijne. Lwów i Wilno ani w jednej dziesiątej nie odgrywają tej roli. Złożyło się na to kilka przyczyn. Ziemie zachodnie są dziś etnicznie rdzennie polskie, podczas gdy ziemie wschodnie rdzennie polskie nigdy nie były. Ziemie wschodnie w odczuciu większości Polaków są utracone prawdopodobnie niepowrotnie — podczas gdy ziemie zachodnie w odczuciu narodu są zagrożone. Ów moment zagrożenia skupia na Odrze i Nysie uwagę i emocje Polaków — czyniąc z ziem zachodnich drugi Gdańsk z okresu przedwojennego. I wreszcie — większość Polaków ocenia, że zamiana jest korzystna. Choć ziem zachodnich nie otrzymaliśmy tytułem rekompensaty za utratę Wilna i Lwowa — Polacy, którzy domagają się zwrotu ziem wschodnich grają pośrednio w ręce rewizjonistów niemieckich, którzy stale powracają do tezy: Lwów i Wilno dla Polaków — Wrocław i Gdańsk dla Niemców.

Geopolityczna dyspozycja Trzeciej Rzeczypospolitej jest nieporównywalna z analogiczną dyspozycją Drugiej Rzeczypospolitej.

Wielu Polaków twierdzi, że zna i „wyczuwa” Rosję. Moja rodzina pochodzi częściowo ze Śląska, przodkowie moi wielokrotnie żenili się z Niemkami, sam wychowany jestem przez Niemkę, przed wojną specjalizowałem się w sprawach niemieckich i słusznie czy niesłusznie wydaje mi się, że „wyczuwam” Niemców lepiej niż wielu moich rodaków. Otóż, jest moim głębokim przekonaniem — oby fałszywym — że Niemcy i za 20 lat od dziś będą zgłaszali pretensje pod adresem Wrocławia. W rezultacie, o ile wyrównanie stosunków z Rosją dla Drugiej Rzeczypospolitej było rzeczą pożądaną — o tyle dla Trzeciej Rzeczypospolitej wyrównanie i ułożenie stosunków z Rosją jest imperatywem kategorycznym. Bronić granicy na Odrze i Nysie można tylko na wschodzie. O losie Wrocławia zadecyduje nasza pozycja w Moskwie. Na dalszą metę ziemie zachodnie utrzymamy tylko wówczas jeżeli zdamy historyczny egzamin na Wschodzie — jeżeli dopomożemy do przebudowy Związku Sowieckiego i zdobędziemy status niezależnego, głównego partnera przyszłej Rosji.

Wyobcowanie polityków „orientacji londyńskiej” z rzeczywistości polskiej polega na tym, że nie myślą oni kategoriami Trzeciej Rzeczypospolitej. Dla nich współczesna Polska to jest Druga Rzeczypospolita „obsiedzona” przez komunistów. Polska dzisiejsza jest niewątpliwie „obsiedzona” przez komunistów i uzależniona od Sowietów — lecz społecznie, gospodarczo, a przede wszystkim, geopolitycznie nie jest Drugą Rzeczypospolitą.

Gdyby Rosja była państwem o potencjałe z 1939 r. i gdyby Polska była rządzona przez komunistów lecz w granicach z 1939 r. — wówczas doktryna niepodległościowa „orientacji londyńskiej” miałaby rację bytu. Lecz w zmienionych warunkach „orientacja londyńska” stała się emigracyjnym kościołem autokefalicznym. *Establishment* londyński nie reprezentuje Drugiej Rzeczypospolitej — ponieważ nie można reprezentować czegoś, co nie istnieje. Polski Londyn nie reprezentuje dążeń niepodległościowych Trzeciej Rzeczypospolitej — ponieważ „orientacja londyńska” opiera się na Konstytucji, tradycji i doktrynie politycznej Drugiej Rzeczypospolitej. W sumie „orientacja londyńska” nie reprezentuje nikogo tylko samą siebie.

Państwo *in exile* może stanowić czasową kontynuację państwa okupowanego. Lecz państwo *in exile* nie może stanowić kontynuacji państwa, które jako określona formacja społeczna i geopolityczna przestało istnieć.

Pewne dokonania, jak reforma rolna, uprzemysłowienie, urbanizacja — pociągnęły za sobą nieodwracalne przemiany społeczne, które wraz z przesunięciem terytorium Polski na zachód po linię Odry i Nysy — sprawiają, że tak problematyka wewnętrzna jak i doktryna polityki zagranicznej Trzeciej Rzeczypospolitej nie może być kontynuacją doktryny politycznej Drugiej Rzeczypospolitej. Trzeba wszystko wypracować na nowo.

Zespół „Kultury”, podobnie jak *establishment* londyński nie uznaje rządu PRL. Lecz na tym analogie się kończą. „Kultura” nie uznaje rządu PRL, lecz uznaje fakt istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej — czasowo rządzonej przez dyktaturę komunistyczną. Nie uznajemy rządu PRL nie dlatego, że większość w nim stanowią komuniści lecz dlatego, że ów rząd nie został wyłoniony w drodze demokratycznej i czerpie swą moc z obcego poparcia.

Establishment londyński, wbrew oczywistości, nie uznał faktu istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej — ponieważ uznanie tego faktu wymagałoby likwidacji dwóch reżymów w ramach „orientacji londyńskiej”, które powołują się na Konstytucję i w imieniu Drugiej Rzeczypospolitej nadają ordery, mianują oficerów i tp. Innymi słowy uznanie faktu istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej wymagałoby skasowania fikcyjnej Drugiej Rzeczypospolitej *in exile*. Na ten krok nie zdobyły się ani partie polityczne z dawnej Rady Politycznej, ani ugrupowania pro-rządowe.

Jerzy Putrament w „Miesięczniku Literackim” z marca br. napisał, że rolę opozycji politycznej w Polsce spełnia dziś paryska „Kultura” i rozgłosnia „Wolna Europa”. I to jest prawda. Nie spełnia tej roli *establishment* londyński, ponieważ nie uznał faktu istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej i zajęty jest wyłącznie personaliami i kryzysami w światku „orientacji londyńskiej”. Rada Trzech i „Zamek” tworzą formę dożywocia dla byłych ministrów, ambasadorów i innych dygnitarzy, którzy żyją echem przeszłości dokonanej i zamkniętej. Życzę tym panom — wśród których nie brak wielce zasłużonych ludzi — jak najlepiej. Jeszcze dziś mogliby oni oddać wielką usługę Drugiej Rzeczypospolitej pisząc dokładne i szczegółowe pamiętniki.

Dokumentacja pamiętnikarska okresu dwudziestolecia niepodległości jest ciągle bardzo uboga.

A co stanie się z emigracją polityczną?

Po pierwsze emigracja polityczna ani nie zaczyna się ani nie kończy na polskim Londynie. Po drugie — pomiędzy *establishment* dożywców Drugiej Rzeczypospolitej a pro-reżymowym „Zrzeszeniem Polonii Brytyjskiej” jest miejsce na niepodległościową organizację Trzeciej Rzeczypospolitej. Takie organizacje mają tylko wówczas sens, jeżeli ewoluują powoli i od dołu. Być może Polski Ośrodek Społeczno Kulturalny po dziesięciu czy piętnastu latach przekształci się w taką czy podobną organizację. Stanie się to wówczas, gdy średnie i młode pokolenie emigracyjne stanowić będzie trzon polskiej mniejszości na wyspach brytyjskich. Wynarodowienie postępuje bardzo wolno a akceptacja reżymu komunistycznego postępuje jeszcze wolniej. Drugie pokolenie emigracyjne z całą pewnością nie przejmie od nas „państwa *in exile*”, Konstytucji i politycznej doktryny. Następne pokolenie nie będzie już identyfikować niepodległości z Drugą Rzeczypospolitą — tylko skupi swe wysiłki na dopomożeniu Trzeciej Rzeczypospolitej w uzyskaniu statusu niezależnego.

TEORIA ROBERTA MULKI

Co to jest indoktrynacja? Skuteczna indoktrynacja polega na manipulowaniu ludzkim mózgiem.

Znakomity historyk brytyjski H. R. Trevor-Roper w szkicu pt. „*Witches and Witchcraft*” — opisuje i analizuje fenomen demonologii w XVI i XVII wieku. Prawdę o Bogu wiemy z objawienia lecz od kogo mamy dowiedzieć się prawdy o szatanie i jego poczynaniach? Ojcowie Dominikanie wnioskowali logicznie, że o szatanie i jego niecnym poczynaniach powiedzieć mogą najwięcej ci, którzy się z nim bezpośrednio zadają, tzn. czarownice i czarownicy, choć ci ostatni stanowili znakomitą mniejszość. Ponieważ w różnych trybunałach inkwizycyjnych sędziowie śledczy zadawali na ogół te same pytania i stosowali te same tortury — otrzymywali niemal identyczne odpowiedzi. W ten sposób torturowane czarownice z biegiem czasu zaimprovizowały skomplikowany system demonologii, który miał wszystkie zalety z wyjątkiem jednej. Był w stu procentach nieprawdziwy.

Analogicznymi metodami w okresie stalinowskiego „sabatu czarownic” powodowano, że starzy komuniści przyznawali się do zdrady, szpiegostwa, spisków antypartyjnych i wszystkich innych możliwych zbrodni.

W wizji Orwella indoktrynacja osiąga stan idealnej doskonałości. Kombinacją tortur i dyskusji specjaliści z „ministerstwa miłości” doprowadzają swe ofiary do stanu autentycznej skruchy i pełnego nawrócenia.

W naszej epoce na terenie Europy ideał indoktrynacji osiągnęli hitlerowcy. Ukazało się obecnie w wydaniu angielskim monumentalne dzieło Bernard Naumanna pt. „*Auschwitz*”. Książkę poprzedza znakomita przedmowa Hannah Arendt.

W każdym z nas narosły opory przeciw lekturze tego typu. Jeżeli jednak dziennikarz niemiecki zadał sobie trud i opracował z bezprzykładną sumiennością dzieło liczące 433 strony wielkiego formatu — dziennikarz polski winien przynajmniej je przeczytać.

Omawiana książka jest sprawozdaniem z procesu przeciwko Robertowi Mulka i innym hitlerowcom. Proces toczył się przed sądem w Frankfurcie przez 182 dni. Bernard Naumann, członek redakcji *Frankfurter Allgemeine Zeitung* — był obecny na sali sądowej od pierwszego do ostatniego dnia procesu.

Czytając zeznania dotyczące zbrodni wręcz niewiarygodnych w swych wymiarach — trzeba się zgodzić z komentarzem Naumanna, że oskarżeni uważają się za niewinnych — niemal tak niewinnych jak ich ofiary, które truli gazem i palili w piecach krematoryjnych. Jak to jest możliwe? Naumann pisze: „Oskarżeni oddali swe sumienia swoim przełożonym i wydaje się, że ich nigdy więcej nie potrzebowali. Nie upomnieli się o zwrot swych sumień do dzisiejszego dnia”.

W powyższym zacytowanym wypadku osiągnięto ideał indoktrynacji. Oskarżeni w procesie frankfurckim rozumują identycznie dziś, jak przed 25-ciu laty. Wówczas czuli się bez winy i dziś czują się bez winy.

Dla normalnego człowieka postawa Mulki i jego współoskarżonych jest niezrozumiała i patologiczna. Lecz nie ma w niej sofistyki. Ci ludzie nie starają się usprawiedliwić swojego postępowania kategoriami naszej moralności, ponieważ uważają, że w systemie ich moralności są bez winy.

Sprawa jest bardziej skomplikowana gdy ktoś w przeszłości akceptował zbrodnie i terror a dziś usiłuje ustalić swoje moralne alibi. Metody stosowane w tych wypadkach są najrozmaitsze i warte oddzielnego studium. Najprostszą metodą jest uporczywe głoszenie, że zbrodnie nie były zbrodniami a terror nie był terrorem. Tę taktykę stosują stalinowcy. W czasie dyskusji w Instytucie Marksizmu-Leninizmu w Moskwie („Kultura” Nr 4/234) gen. Bołtin oświadczył: „w żadnym dokumencie, w żadnej z obowiązujących nas instrukcji czy uchwał naszej partii, nie czytałem stwierdzenia, że Stalin był zbrodniarzem”.

Powyższa filozofia jest urzekająca w swej logicznej prostocie. Stalin nie był zbrodniarzem. Jeżeli nie był zbrodniarzem — nie popełnił zbrodni. Jeżeli nie popełnił zbrodni — stalinowcy nie mają powodu bić się w piersi.

Jednak po XX Zjeździe i po tajnym referacie Chruszczowa — trudno jest przeczyć faktom. Przeczyć faktom mogą członkowie aparatu władzy, lecz nie ludzie pretendujący do statusu intelektualistów.

Interesujące światło na ten problem rzucają wynurzenia Jerzego Putramenta w kwietniowym numerze „Miesięcznika Literackiego”. W artykule pt. „Nikt Dwa Razy” Putrament pisze m.in.: „Wszystkie próby obalenia Stalina w warunkach ówczesnych stawałyby się niejako potwierdzeniem oskarżeń o spiski antypartyjne i okazją do rozszerzania terroru”.

Teraz wiemy dlaczego polscy komuniści, którzy ostali się przy życiu — milczeli po zdziesiątkowaniu swej własnej partii. Dlaczego milczeli pisarze gdy ich kolegów fałszywie oskarżano i zsyłano do łagrów. Po prostu i zwyczajnie nie chcieli stwarzać „okazji do rozszerzania terroru”.

W roku 1956 rozmawiałem z pisarzem (wówczas jeszcze partyjnym) znacznie wyższej literackiej rangi niż Putrament. Powiedział mi wówczas otwarcie: „Milczałem bo się bałem”. I to jest uczciwe postawienie sprawy.

W okresie okupacji hitlerowskiej nie wszyscy byli w AK — a ci co byli w AK, nie wszyscy byli bohaterami. Byli i tacy co przez owe lata drżeli ze strachu. Lecz co innego jest zdawać sobie sprawę z niedostatku własnej

odwagi w sytuacji wyjątkowo niebezpiecznej — a co innego jest usprawiedliwiać swą postawę przed samym sobą i innymi sofistyczną teorią, że nie należy przeciwstawiać się złu. Putrament uważa, że byłoby to jak gaszenie pożaru benzyną.

Nie jest żadną hańbą nie znajdować w sobie budulca na bohatera, względnie człowieka o nieprzeciętnej odwadze. Gdybym był żył w Polsce czy w Sowietach w okresie stalinowskiego terroru prawdopodobnie milczałbym również — zwyczajnie, ze strachu. Lecz dziś — mego ówczesnego strachu nie drapowałbym w płaszcz zakłamanej teorii.

Wyczuwalna u wielu komunistów, zwłaszcza pisarzy, zgaga moralna datująca się z okresu stalinowskiego — może być zlikwidowana tylko otwartym, bezkompromisowym potępieniem stalinizmu i odważnym przyjęciem części winy za ów okres przez każdego komunistę. Wolni od winy są tylko ci komuniści, którzy przeciwstawiali się złu i poszli pod ścianę albo do łagru.

W przeciwnym wypadku komuniści musieliby przyjąć teorię Roberta Mulki, że aparat partyjny był w równej mierze „ofiara” terroru jak ofiary terroru. Musi być jakaś moralna różnica pomiędzy tymi co ginęli w łagrach, a tymi co siedzieli na dobrych posadach; musi być jakaś różnica pomiędzy torturowanymi i fałszywie oskarżanymi a tymi, którzy ze strachu — zrozumięło i ludzkiego — jednak milczeli.

Przyjęcie części winy za owo milczenie jest niczym w porównaniu z rachunkiem zbrodni popełnionych przez partie komunistyczne w okresie stalinowskim.

LAUREAT GOMBROWICZ

Witold Gombrowicz otrzymał „Prix International de Litterature” za powieść pt. „Kosmos”, która w oryginale polskim ukazała się w Bibliotece „Kultury” w r. 1965. Cytowana nagroda jest najwyższą nagrodą europejską po Noblu. Poza zaszczytem wyraża się niebagatelną sumą 20 tysięcy dolarów.

Jest rzeczą niezmiernie rzadką by pisarz typu Gombrowicza osiągnął laur i gotówkę za życia. Autor „Kosmosu” jest pisarzem trudnym, egotycznym, czasem aroganckim i konsekwentnie wiernym samemu sobie. W czasokresie pomiędzy „Ferdynurke” a „Kosmosem” świat dokonał kilku karkołomnych wolt, lecz nie Gombrowicz. Jego twórczość stanowi homogeniczną całość i nie ma powodu mówić o Gombrowiczu sprzed wojny i po wojnie, sprzed 1956 i po 1956, ponieważ owe podziały, tak istotne u wielu autorów polskich, w jego pisarstwie są bez znaczenia. W moim odczuciu jest to pisarz niezmiernie polski, lecz jest to polskość intelektualna, elitarna w pewnej mierze pańska — nie apelująca do mas.

Gombrowicz jest pocieszającym choć nie częstym przykładem, że można zdobyć uznanie w skali europejskiej, nie będąc popularnym a tylko wybitnym.

I jeszcze jeden punkt wart podkreślenia. Gombrowicz nie przedzierzgał się w pisarza hiszpańskiego, francuskiego czy angielskiego lecz pozostał wierny polszczyźnie. I nie wyszedł na tym źle.

Argumenty logiczne w sprawach międzynarodowych

W zeszycie marcowym „Kultury” Juliusz Mieroszewski pisze (str. 83/84), że „misją jego publicystyki na przestrzeni ostatnich lat 20-tu było zwalczanie do upadłego „filozofii politycznej”, której sformułowania dopatrywał się w zacytowanym przezeń ustępie z mego artykułu w „Wiadomościach” pt. „Jeszcze o granicach”. Ustęp ten brzmi: „Argumenty logiczne nie mają ani znaczenia ani skutku w sprawach międzynarodowych. Juliusz Mieroszewski jako wytrawny publicysta doskonale o tym wie. Prawidła logiki nie mają w tej dziedzinie zastosowania”.

Cytata jest dokładna, jakkolwiek wyjęcie jej z dłuższego tekstu pozbawia ją kolorytu tła, na jakim powstała. Ale przyjmuję ją w tej formie. Składa się one z trzech krótkich zdań, z których tylko pierwsze i trzecie mogą być zapisane na konto mojej opinii, określonej przez Mieroszewskiego jako „filozofia polityczna”. Jestem tym zaskoczony, gdyż żadnej filozofii nie zamierzałem wypowiadać, w powyższych zdaniach jej nie widzę, gdyż jest to tylko stwierdzenie faktu, w dodatku faktu notorycznego. Mieroszewski wcale nie twierdzi, by było inaczej, by argumenty logiczne *miały* znaczenie i skutek w sprawach międzynarodowych. Byłbym wdzięczny w imię swej „misji” gdyby podał mi choćby jeden przykład konkretny, kiedy to *argumenty* logiczne zdecydowały o jakiejś sprawie międzynarodowej, wpłynęły na rozstrzygnięcie konfliktu międzynarodowego. Na podstawie doświadczenia historycznego, choćby tylko w okresie mego własnego przydługiego życia, stwierdzam, że prawidła logiki nie mają w tej dziedzinie zastosowania.

Nie było logiczne odrzucenie przez Senat amerykański ratyfikacji Traktatu Wersalskiego, owocu koncepcji i pracowitych zabiegów Woodrow Wilsona. Nie było logiczne, gdy „Wielka Trójka” już w Dumbarton Oaks zaprojektowała utworzenie organizacji Narodów Zjednoczonych opartej na „suwerennej równości” jej członków, a następnie, ale jeszcze przed formalnym uchwaleniem Karty, pozbawiła w Jaltie szereg państw europejskich i suwerenności i równości. Nie kierował się logiką Winston Churchill, kiedy demonstrował Stalinowi za pomocą zapalek, jak się podzieli Europę na sfery wpływów. De Gaulle, syn racjonalistycznej Francji, umiejący świetnie operować argumentami logiki, wołał się zaopatrzyć we własną bombę atomową i własną atomową łódź podwodną, aniżeli czekać aż jego argumenty logiczne przekonają kogo należy.

Owszem, czasami w rozmowach międzynarodowych padają argumenty z logiki zaczerpnięte. Było wyrazem szczególnej logiki Stalina, kiedy rzucił swe znane pytanie retoryczne: ile Papież ma dywizji.

W istocie rzeczy Mieroszewski potwierdza przypomniany przeze mnie stan faktyczny, pisząc, że „olbrzymi rozwój wszystkich gałęzi socjologii i nauk politycznych zmierza w dalekiej perspektywie do unaukowania polityki”. Przez „unaukowanie polityki” rozumie zapewne oparcie jej na podstawach racjonalnych, systematycznych, logicznych. Skoro mówi o wizji dalekiej

perspektywy, ja zaś o rzeczywistości dzisiejszej, są to chyba zgoła różne rzeczy.

Porozumy się także, co znaczy unaukowanie *polityki*. Jeżeli chodzi o metody naukowe, racjonalne w myśleniu politycznym, w nauce polityki międzynarodowej, to jest jasne, że bez zastosowania logiki nie wprowadzi się w tej dziedzinie żadnego porządku ani nie dojdzie do wartych zachodu wyników. Mam jednak wrażenie, że Mieroszewski ma na myśli działania polityczne, rzeczywiste wydarzenia, przeobrażenia w stosunkach międzynarodowych i że do tej *żywej* polityki międzynarodowej chciałby wprowadzić racjonalizację, poddać stosunki pomiędzy narodami prawdom logiki.

Tak się składa, że od bardzo młodych lat terminowałem w szkole prawa rzymskiego i francuskiego kodeksu Napoleona. Żyłem jako prawnik-teoretyk i jako prawnik-praktyk pod wspaniałą kopułą tych najbardziej racjonalistycznych systemów prawnych. Ich atmosfera jest mi równie bliska jak język polski i krajobraz polski. Delektowałem się zawsze uporządkowaną dyscypliną logiki, zasmakowałem w niej jako w wytwornym i sprawnym narzędziu myślenia, w precyzji definicji i w jasności sformułowań, do jakich niechybnie prowadzi umiejętność jej stosowanie.

Logika jest jednak *metodą myślenia*, nie jest i wątpię, by się kiedyś stała, *metodą działania*. Może sobie człowiek nakazać pewną metodę myślenia; może siłą woli i charakteru nakazać sobie pewien sposób postępowania i wprowadzić doń pewne elementy logiki. Ale postępowanie człowieka podlega zbyt wielu czynnikom, a prawa logiki mogą tworzyć tylko jeden z nich, rzadko decydujący. Podstawmy w miejsce jednostki całe społeczeństwo, naród, państwo — więcej — wiele społeczeństw, wiele państw — a stajemy wobec morza niezliczonych i nieuchwytnych czynników, których nawet logiczne uporządkowanie byłoby zadaniem potężnym. A Mieroszewski chce przecież poddać — w dalszej perspektywie — prawdom logiki sam rozwój i układ stosunków międzynarodowych tak, aby stały się mądrzejsze, bardziej sensowne, lepsze i nadające się do planowego kierowania przez logicznie myślącą i działającą ludzkość.

Dalsze jego wywody dowodzą, że do takiej przyszłości jeszcze bardzo daleko. Chciałby „odtajemniczyć” człowieka, poddając klinicznej analizie jego charakter i postępowanie; dokonać anatomicznej sekcji fenomenów historycznych; doczekać się wyników badań psychopatologicznych nad zjawiskiem hitleryzmu — a wszystko to ma doprowadzić do unaukowania polityki i „oparcia stosunków międzynarodowych na racjonalnych podstawach”. Zamiary bardzo szlachetne, ale jaki to ma związek logiczny z faktem, że — jak dotąd — argumenty logiczne nie są skuteczne w stosunkach międzynarodowych?

Takie uracjonalnienie polityki międzynarodowej ma być potrzebne przede wszystkim narodom małym i średnim. Sądziłbym, że jeżeli w ogóle jest potrzebne, to dla wszystkich bez wyjątku; jeżeli w ogóle jest osiągalne, to tylko pod warunkiem zupełnej powszechności. Ale to są myślowe wywody publicysty, którym rzeczywistość przeczy na każdym kroku.

Czy zjawisko nazywane dzisiaj nacjonalizmem złagodneje w federacjach i związkach, trudno odgadnąć. Przywiązanie do własnego kraju i własnych tradycji — a to jest w istocie „nacjonalizmem” w terminologii anglo-saskiej — prawdopodobnie będzie tak długo trwało, jako żywy i silny element współżycia ludzkiego, jak długo się zachowa indywidualność jednostki, po-

szanowanie własnego ja, osobistych przekonań i osobistej godności i wolności. Może przyjdzie kiedyś przewrót na podobieństwo chińskiej „rewolucji kulturalnej”, która symbolicznie albo fizycznie obcina głowy wszystkim, ośmielającym się odchyłać od „myśli” wodza. Przyjdzie może kiedyś przewrót, który pozwoli jakiemuś nowemu Stalinowi przesiedlić Francuzów do Azji a Włochów do Australii a ich kraje zaludnić „młodymi” plemionami z Azji i Afryki i w ten sposób skończyć z nacjonalizmem francuskim i włoskim. Nie jest bynajmniej powiedziane, że tak się stać musi. Nie każdy nacjonalizm uosabia się w Hitlerze, Stalinie czy Mao Tse-tungu.

Na razie mamy do czynienia z faktycznym i zdecydowanym wzrostem indywidualizmu jednostkowego i indywidualizmu narodowego, co niesłusznie nazywamy w języku polskim „nacjonalizmem”. Słowo to oznacza u nas z wyrodnienie poczucia narodowego, zaopatrzenie go w „kły i pazury” — cecha właściwa narodom zaboreczym, chciwym i zaczepnym.

Jestem pełen uznania dla pracy publicystycznej Juliusza Mieroszewskiego, dla jego pilności i wytrwałości, rozległości zainteresowań i publicystycznej czujności. Wzmacnia to uznanie świadomość, jak trudne jest zadanie publicysty emigracyjnego, zwłaszcza zajmującego się sprawami międzynarodowymi ze szczególnym uwzględnieniem spraw polskich. Stosunki międzynarodowe same przez się są orzechem ciężkim do zgryzienia a problem Polski to węzeł gordyjski jeszcze cięższy do rozwikłania — tym cięższy, że każde jego rozwiązanie a tym bardziej rozcięcie musiałoby mieć daleko sięgające skutki. Zadanie publicysty emigracyjnego komplikuje fakt, że emigracja, pozbawiona państwa, jako narzędzia działania, jego zaplecza, jako siły — utraciła możliwość prowadzenia polityki w zakresie stosunków międzynarodowych. Z dniem 5 lipca 1945 roku rooseveltowskie „natchnienie narodów” zamieniono nagle na międzynarodowego Łazarza, przebrano go w obce mu i dla narodu, jako całości, odrażające suknie sowieckiego komunizmu, pozostawiając mu na czapce napis „Polska” — pomimo, że stał się notorycznie narzędziem w obcych rękach. Od zakończenia wojny naród polski w kraju utracił możliwość kierowania swą własną polityką zagraniczną, gdyż prowadzi ją Rosja. Emigracja, zachowując wolność osobistą swych czynów, wolność myślenia, słowa i druku, utraciła najistotniejsze elementy, na jakich polityka międzynarodowa opierać się musi, by w ogóle polityką była.

Oczywiście publicyści polityczni nigdy i nigdzie polityki nie prowadzą. Ich zadaniem jest pobudzanie i poszerzanie myślenia politycznego, kształcenie i kształtowanie opinii publicznej. Ale ich celem jest przede wszystkim oddziaływanie na czynniki decydujące o kierunku polityki zagranicznej. Nasi publicyści emigracyjni nie mogą tego zadania spełniać: na koła decydujące w Warszawie o sprawach polityki zagranicznej, wpływu mieć nie mogą; na krajową opinię publiczną, tak bardzo spętaną i obezwładnioną, oddziaływać nie mogą już choćby z braku do niej dostępu. Nie mają szans wpływania na czynniki decydujące państw swego osiedlenia, dla których zagadnienia polskie są w najlepszym przypadku sprawami ubocznymi i które mają tysiące innych kłopotów.

Kazalnica naszych publicystów emigracyjnych nie zawisła jednak w próżni. Mają oni liczne, zróżniczkowane i czujne audytoria. Jest ono ograniczone ilościowo przez sam fakt niewielkiego zasięgu językowego prasy emigracyjnej oraz wskutek tego, że tylko pewien odsetek emigracji, rozsianej po całym świecie, prenumeruje i czyta poważniejszą prasę polską. Audytoria

to jednak istnieje, myśli i działa, a odgłosy prasy emigracyjnej, dochodzące z rzadka, z trudem i opóźnieniem do kraju, mogą także mieć pewne znaczenie. Trudno mi sądzić, czy i do jakiego stopnia jest prawdziwe lub złudne przekonanie, jakoby „Kultura” rozchodziła się potajemnie w Rosji. Nawet gdyby tak było, to te nieliczne krople nie mogłyby żłobić trwałych śladów w olbrzymich Sowietach.

Wśród cudzoziemców na Zachodzie prasę emigracyjną studiują z pewnością specjaliści od Europy Środkowo-Wschodniej oraz ci, do urzędowych obowiązków których należy badanie życia i kierunków umysłowych wśród skupień emigracji polskiej.

Świadomość tych ograniczeń nie powinna jednak oddziaływać hamująco ani na piszących ani na czytających. Ma rację Mieroszewski, że słowo jest potężną bronią polityczną, że „pewne koncepcje polityczne spełniają ważną funkcję nawet wówczas, gdy w danym momencie nie są realne”, gdyż „pobudzają tok myślowy dziesiątków tysięcy ludzi w pożądanym kierunku”. W przypadku prasy emigracyjnej trzeba mieć duży umiar w obliczaniu tych „dziesiątków tysięcy”, nie należy jednak lekceważyć nawet znacznie niższej cyfry. Pobudzanie myślenia i skierowywanie go w pożądanym kierunku, to wszak główne zadanie publicysty, a osiągnięcie tego to największy dla niego triumf i zadowolenie moralne. Istotna trudność tkwi zawsze w odnalezieniu owego „pożądanego” kierunku, gdyż nie każdy kierunek „pożądany” w danej chwili przez publicystę jest trafny, a nawet, jak doświadczenie wykazuje, bywa pod piórem tego samego autora zmienny, niekoniecznie skutek gruntownej zmiany okoliczności.

Głos Polaków, żyjących na Zachodzie, ma dzisiaj szczególne znaczenie. Nie możemy i nie chcemy udawać, że jesteśmy Polską. Ale wiemy, że stanowimy nierozdzielalną część narodu, uprzywilejowaną przez możność nieskrepowanego wypowiedzania się. Główna trudność, jaką zrozumienie dzisiejszej Polski przedstawia dla cudzoziemca, a nawet dla niezbyt wnikliwego emigranta, odwiedzającego kraj, polega na umiejętności odróżnienia narzuconej po wojnie i już nieco stwardniałej skorupy komunizmu i obcego panowania od rzeczy prawdziwych, rodzimych, niezniszczalnych, których lodowiec komunistycznego ustroju nie jest zdolny zagasić a tym bardziej wypłenić całkowicie. Zrobili swoje długie lata nowych warunków życia w świecie zakłamanym od góry do dołu, gdzie słowo przeczy rzeczywistości a praktyka zaprzecza głoszonym tezom, gdzie nikt nikomu nie wierzy i nie ufa a nad wszystkim wisi obawa przed nieobliczalną „władzą”, wszechobecną i przenikającą swoim mackami we wszystkie szczytyny życia. Tak jak gospodarka planowa i biurokracja gospodarcza doprowadziły do tego, że wszyscy *muszą* krać, by wiązać koniec z końcem, tak w dziedzinie politycznej i kulturalnej wszyscy *muszą* kłamać, żeby nie wywołać represji bezpośrednich lub pośrednich, nie wywołać nagonki na siebie i rodzinę, nagonki, która może życiowo i moralnie zniszczyć najsilniejszego a w ważniejszych przypadkach wywołać nawet publiczne zamieszanie.

Państwa i społeczeństwa Zachodu padają coraz bardziej ofiarami tej sztucznej sytuacji, w jakiej się Polska znalazła, i coraz trudniej im odefrować, do jakiego stopnia, gdzie i kiedy mówiący w imieniu Polski rząd warszawski reprezentuje narzucone interesy obce a kiedy zdarzają się przypadkiem wystąpienia, które by większość społeczeństwa polskiego mogła akceptować.

Powyższa dłuższa dygresja od właściwego tematu rozmowy publicznej z Juliuszem Mieroszewskim była potrzebna, by podmurować tezę, że wszystko, co „Kultura” drukuje pod piórem swego naczelnego publicysty, jest interesujące i ma wartość. A że wszelkie są dane, że Mieroszewski będzie jeszcze długo uprawiał swą „misję”, więc warto może zwrócić się do niego z propozycją, by — jako zwolennik zrationalizowania polityki międzynarodowej — zechciał własne swoje wywody poddać większej dyscyplinie logicznej, co uczyniłoby bardziej skuteczną jego dydaktyczną rolę wobec czytelników pisma. Mam bowiem trudność z logicznym powiązaniem pojawienia się hitleryzmu, faszyzmu i komunizmu z faktem, że „racjonalizm i logika nie odgrywały roli w polityce”.

Ten właśnie fakt przypomniałem a Mieroszewski tę „filozofię” polityczną chce zwalczać. Nie wszystko się tu logicznie wiąże. Założmy, że jutro czy pojutrze — w znaczeniu historycznym — polityka międzynarodowa zostanie zrationalizowana. Czy taki — mało prawdopodobny zresztą — rozwój rzeczy zapobiegłby na przyszłość objawom patologicznym w życiu poszczególnych narodów?

Stwierdzenie przeze mnie obecnej rzeczywistości nie ma, oczywiście, nie wspólnego z „rezygnacją z rozsądku i logiki”. Mówię tylko, że rozsądek i logika w stosunkach międzynarodowych nie mają same przez się skutku.

Zgadza się z pewnością z tezą: nie stoi za nami siła tylko słuszność. Podzielam zdanie, że obrona sprawy słusznej powinna być logiczna. Ważniejsze jednak, by była skuteczna. Słuszność jest pojęciem subiektywnym: co my uważamy za słuszne, inni mogą uznać za niesłuszne. Dlatego wolę — w braku siły innej — powoływać się na siłę moralną, duchową. Argumenty moralne, duchowe, kulturalne mają — pomimo wszystko — wielką wagę zwłaszcza w świecie anglo-saskim. Nie mamy na emigracji w naszej dyspozycji dyplomacji, potencjału gospodarczego, handlu, wojska. Mamy kulturę i mocne argumenty moralne, które nie są i nie muszą być identyczne z logicznymi.

Wśród różnych sił, jakie działają i grają w życiu międzynarodowym, siła moralna, duchowa, kulturalna jeszcze nie straciła swego znaczenia. Można to nazwać romantyzmem, przeżytkiem, ułudą. Jesteśmy jednak pod tym względem dosyć nieuleczalni. Pomimo wszystko jeszcze wierzymy, że siła ducha i ożywionego przezeń intelektu stanowi potęgę wielką — na najbliższą i na najdalszą metę.

Zygmunt NAGÓRSKI, sr.

Pisarz białoruski o wolności sztuki

Wychodzący w Rzymie skrajnie lewicowy miesięcznik *La Sinistra* ogłosił w nrze 3 (marzec 1967), w dziale „Dokumenty”, otrzymaną z ZSSR wypowiedź pod tytułem „Pisarz sowiecki w obronie wolności sztuki”. Jest to tekst przemówienia, wygłoszonego na zjeździe pisarzy białoruskich w r. 1966 przez znanego pisarza białoruskiego Wasilia Bykowa. Pierwsza, znacznie dłuższa, część przemówienia zawiera krytykę polityki partyjnej wobec sztuki i pisarzy. W drugiej części mówca rzuca nieco światła na sytuację literatury białoruskiej i na białoruskie aspiracje narodowe.

W ostatnich dwóch latach nie przyznano żadnej nagrody leńinowskiej w dziale literatury. Nie wiem co o tym sądzicie wy, koledzy, ale dla mnie jest to zjawisko niepokojące. Jak mogło dojść do tego, że nasza literatura, której genialne dzieła wzruszały zawsze cały świat, upadła tak bardzo, że od dwóch lat nie znajduje się książki godnej otrzymania nagrody państwowej?

Osobiście sądzę, że przyczyną tego upadku są właśnie te czynniki, które powinny były stanowić o jej sukcesie. Stała się rzecz bardzo prosta: utracono wobec literatury poczucie miary, kierowano nią zanadto, troszczono się o nią zanadto; jednym słowem: narzucono jej zbyt wiele wymagań i ograniczeń. Woluntaryzm już przewyciężony na odcinku gospodarczym, nadal dominuje w literaturze. W gospodarce, gdzie już nie komenderuje się na każdym kroku, stosunki produkcyjne układają się w sposób znacznie bardziej naturalny i normalny. Literatura natomiast przypomina rolnictwo w minionym okresie: ktokolwiek posiada nad nią władzę, zawsze jest gotów panoszyć się na polach i łąkach, już i tak zanadto podeptanych. Mylą się ci, co sądzą, że literaturą i sztuką można dowolnie manewrować i nawiązywać stosownie do wymagań chwili; niestety — czy na szczęście — tak nie jest.

Powiem nawet więcej. Prawa kierujące rozwojem literatury i

sztuki, są, jak wszystkie prawdziwe prawa, nieubłagane i surowo mszczą się za każde ich pogwałcenie. Główna trudność ułożenia stosunków artysty ze społeczeństwem wynika stąd, że prawa sztuki na ogół nie pokrywają się z normami regulującymi życie polityczne i społeczne w danym okresie: przeciwnie, niemal zawsze wchodzi z nimi w konflikt. W życiu społecznym uważa się np. za idealne takie społeczeństwo, w którym konflikty ograniczono do minimum; rozwój sztuki wymaga natomiast czegoś przeciwnego. W życiu największe sukcesy osiągają ludzie prostolinijni i pogodni, ale największymi artystami zostają jednostki skomplikowane i pełne wewnętrznych sprzeczności. Artysta albo lawiruje między tymi dwoma liniami, zmierzającymi w odrębnych kierunkach, albo podąża za jedną z nich. Dlatego nawet najbardziej wprawny pisarz realistyczny, ilekroć przystępuje do pisania nowej książki, czuje się jakby musiał zaczynać wszystko od nowa. Wszystkie jego poprzednie doświadczenia tracą wartość, a on sam gdy zaczyna szukać właściwych form artystycznych dla wyrażenia nowego materiału zebranego z rzeczywistości, znajduje się zawsze w sytuacji początkującego nowicjusza. Jest równie niemożliwe podporządkować prawa sztuki prawom rzeczywistości jak prawa rzeczywistości prawom sztuki.

Ale czy wszyscy wśród nas rozumieją tę prawdę tak elementarną że aż banalną? Obawiam się, że nie. Na każdym kroku spotykamy się z przykładami skandalicznego niezrozumienia czym jest literatura: niezrozumienia, które wzbudza rozpacz, zwłaszcza gdy nadmierni gorliwcy zaczynają wyciągać zbyt pochopne wnioski polityczne. Wydaje się niemal nieprawdopodobne, że obecnie, po 48 latach władzy sowieckiej jednostki odpowiedzialne nie znają w sprawach sztuki zasad, z którymi powinny były się zapoznać jeszcze na ławkach szkolnych.

Pierwszym i głównym przejawem tego obskurantyzmu jest moim zdaniem nastawienie wobec podstawowego prawa literatury, tj. prawa do krytykowania wszelkich przejawów życia. Już wielki Bielińskij w swym głośnym artykule „Odpowiedź Moskwiczanie” pisał: „Działalność twórcza z samej swej istoty wymaga absolutnej swobody w wyborze tematu. Nikt nie ma prawa narzucania artyście tematów, nawet on sam, a cóż dopiero ci, którzy go krytykują. Pisarzowi wolno wyznawać pewien określony kierunek artystyczny, ale tylko wtedy będzie to pożyteczne dla jego twórczości, jeżeli ten kierunek będzie się pokrywał — niejako spontanicznie i bez wysiłku — z talentem, temperamentem, instynktem i dążeniami twórcy. Jeżeli artysta opisał jakiś nałóg, jakiś wypadek deprawacji czy nawet coś bardzo vulgarne, powinniśmy oceniać walory opisu, a nie sam wybór tematu”. Niektórzy wysuwają przeciw tym zasadom zastrzeżenia pytając: „Jak może istnieć kierunek artystyczny przedstawiający wyłącznie rzeczy niskie i vulgarne?” — „A dlaczego miałyby tak nie być?” — zapytywał Bielińskij i w innej części artykułu pisał: „Chodzi tu nie tylko o umiejętność przedstawiania w sposób ekspresyjny tego co jest podłe czy niskie w życiu; chodzi

o coś znacznie więcej: o możliwość przedstawiania zjawisk życia w całej pełni ich rzeczywistości i w całej ich prawdzie”.

Tak, sztuka nie jest kaprysem artysty ani zaplanowanym produktem społecznym: jest *duszą* danego społeczeństwa. Jest rzeczą niemożliwą odseparować tę duszę i dowolnie zmieniać jej charakter, nie zmieniając charakteru społeczeństwa. Sztuka i społeczeństwo żyją razem we wzajemnej zależności i jedności.

Trudności literatury w danym okresie historycznym można zrozumieć obserwując nie tyle kierujące nią założenia teoretyczne, ile ich stosowanie w praktyce. Obecnie np. zdarza się często, że doskonałe zasady teoretyczne realizmu socjalistycznego zostają *de facto* sprowadzone do czegoś, co wygląda raczej na jakąś odmianę *neoklasycyzmu*. Chociaż nie ma u nas zwyczaju mówić o tym głośno, nie jest jednak dla nikogo tajemnicą, że obecnie przejawiają się w literaturze sowieckiej wszystkie charakterystyczne cechy tego prądu. Gdy sztuka zatracą realistyczne podejście do rzeczywistości i unika prawdy o niej, rzeczywistość zostaje zastąpiona przez idealizację. Oczywiście przyznają chętnie, że w sztuce realizmu socjalistycznego nie można niczym usprawiedliwić braku ideałów i ducha klasowego, ani panoszenia się abstrakcyjnego humanizmu.

Czyż nie jest jasne, że prymitywny racjonalizm, dążenie do uzależniania literatury i sztuki od doraźnych potrzeb państwowych i od idealnie zaplanowanej przyszłości, nieznajomość wielostronności życia i dialektyki rozwoju — przynoszą niepowetowane straty nie tylko literaturze ale całemu społeczeństwu? Jakież bowiem koniec spotkał to wszystko co jeszcze nie dawno polecano nam ilustrować i opisywać: a więc leśne pasma ochronne wokół pól kukurydzy, stacje maszynowe i traktorowe, sownarchozy i ziemie dziewicze, nawozy z torfu i zgniłych liści? Wszyscy wiedzą jaki był koniec całej literatury na te tematy, literatury w swoim czasie propagowanej, aprobowanej i nagradzanej? Pozostali tylko jej autorzy. Niektórzy z nich siedzą w tej sali i, być może, należałoby im współczuć.

Sztuka jest orzeźwiającym prysznicem dla społeczeństwa, które bez jej inicjatywy krytycznej pokrywa się pleśnią i gnije. Jeżeli jednak sztuka sprowadza się do bezkrytycznej obrony wszystkich posunięć rządowych, do egzaltacji *wszystkiego co jest* staje się *grabarzem społecznym*. To wielka szkoda że nie zrozumieliśmy jeszcze całego niebezpieczeństwa tego zjawiska i że wielu z nas traktuje wszystkich, którzy dostrzegają negatywne aspekty w naszym życiu społecznym bądź za osoby zarażone duchem ideologii burżuazyjnej, za oszczerców albo sabotażystów ideologicznych. Niestety jeszcze dziś trzeba tłumaczyć, że tego rodzaju poglądy są co najmniej absurdalne i że prawda — choćby najbardziej przykra — gdy wypowiedziano ją jasno i uczciwie, nie może zaszkodzić dobru; że prawdziwi wrogowie zawsze ukrywali się z powodzeniem za służalczymi frazesami i doskonale odgrywali rolę zaufanych przyjaciół? Czyż trzeba przypominać, że

wszystkie przewroty dworskie, wszystkie ciosy w plecy, wszystkie spiski i zdrady były zawsze dokonywane przez osoby, w których pokładano zaufanie i które pozornie były całkowicie oddane władcy?

Oczywiście aby pisać prawdę potrzeba oprócz talentu także i odwagi. Ale trzeba nie mniejszej odwagi, aby chcieć dostrzec i pojąć prawdę w całej jej pełni. Warto więc wyrazić żal, że niekiedy niektórzy nasi przywódcy — a więc osoby, które bardziej od innych powinnyby posiadać tę cnotę, okazują się — mówiąc oględnie — nie na wysokości sytuacji. Chociaż w słowach przyznają, że krytyka jest siłą napędową społeczeństwa, usiłują narzucić krytyce jeden tylko kierunek, a mianowicie — z góry w dół. Ale w literaturze nie ma ani dołu ani góry. Pisarz podchodzi w sposób identycznie obiektywny zarówno do dojarki jak do ministra, do zwykłego członka partii jak do sekretarza Komitetu Centralnego.

Wiadomo, że monopol krytyki, jak każdy monopol jest rzeczą przyjemną dla tego, kto go posiada. Nie będziemy tu mówić o jego skutkach dla różnych dziedzin życia społecznego, stwierdzimy jedynie, że dla literatury są one zabójcze. Literatura bez prawa krytykowania staje się rozrywką dla próżniaków lub kiepską zabawą. Czy nie nauczyły was jeszcze tego doświadczenia smutnej pamięci teorii o „braku konfliktów”? Połajanki i pogroźki pod adresem literatury za tak zwane „oczernianie” i „oszczerstwa” są zjawiskiem aż banalnym w swej absurdalności. Nasza literatura próbowała z tym walczyć, ale przeważnie — bez skutku. Wystarczy abyś przedstawił w swej powieści generała jako osobę niesympatyczną, a zaraz oskarżą cię o „podważanie prestiżu” sowieckich dowódców; wystarczy abyś obdarzył w swym opowiadaniu jakiegoś kolejarza ujemnymi rysami charakteru, a już zarzucają ci „oczernianie” „pełnych chwały” kolejarzy sowieckich! Wszystko to można znaleźć w naszych gazetach i w naszych oficjalnych organach prasowych! Jest nad czym rozpaczć i oburzać się. Obskurantyzm, jeżeli chodzi o obrazę honoru munduru, stał się ostatnio nader groźny. Mógłbym przytoczyć wymowne przykłady z moich własnych doświadczeń czy z życia Aleksieja Karpiuka¹, znanego nam wszystkim, który za naiwną próbę napisania szczerzej literackiej autobiografii swego życia (życia, które nazwałbym czystym i bohaterskim), drogo już zapłacił i prawdopodobnie zapłaci jeszcze. Jesteście już zmęczeni nie będę więc rozwodził się na ten temat, zresztą wielu z was zna tę sprawę a inni mogą sobie łatwo ją wyobrazić.

Ostatnio opowiadano mi w Mińsku, że jeden ze świeżo upieczonych docentów, któremu przyznano tytuł za książczynę nie wartą

1. Aleksiej KARPIUK, pisarz białoruski, ur. w r. 1920 we wsi Staszawa w Polsce; ukończył 7-mioklasową polską szkołę; był profesorem polskiego gimnazjum w Wilnie. Od r. 1934 przebywał w ZSSR. Uczestniczył w partyzantce antyhitlerowskiej. Działalność literacką rozpoczął w r. 1953 (po śmierci Stalina). Członek partii.

złamanego szeląga, groził szybkim „przywołaniem do porządku” naczelnego redaktora „Nowego Miru”, Aleksandra Twardowskiego. W każdym zawodzie decyduje opinia specjalisty, znawcy danej materii; w stosunku do literatury zasada ta u nas nie obowiązuje. Zdarzało się, że określano co ma być prawdą dla literatury na zasadzie drabiny służbowej: rację ma ten, kto ma więcej władzy, i — jak to się mówi — „stoi bliżej Pana Boga”. Po niemal 50 latach władzy sowieckiej jest dla nas jeszcze ciągle nie zrealizowanym marzeniem to, czego domagał się od władz partyjnych Łunaczarskij, gdy mówiąc w r. 1931 o stosunku partii do literatury, stwierdził: „Nie chodzi o to, aby Komitet Centralny wymyślał hasła a pisarze je ilustrowali. Partia i Komitet Centralny powinny poza innymi materiałami informacyjnymi czytać także dzieła pisarzy i wyciągać z nich pouczenia dla swych uchwał i haseł”. Jakże nas jeszcze źle czytają w Komitecie Centralnym! A nawet kiedy czytają, to jedynie po to, aby ogłosić potem anonimowy artykuł druzgocący nas, czy aby „przejechać się” po naszych dziełach (zresztą przepuszczonych przed drukiem przez różne sita) a znajdując w nich cień rebelii, wytykać to, wołając z infantylnym entuzjazmem: „podziwiajcie jak jesteście czujni!”.

Nie ma w tym nic dziwnego. I będzie tak trwało nadal, dopóki funkcja pisarza będzie wciąż tak bardzo upokarzana a funkcja *panów funkcjonariuszy* będzie ustawiona na piedestale i uważana za nieomylną. I jeszcze jedno smutne przypomnienie. My, pisarze, nawet w niektórych problemach naszego życia organizacyjnego, pozostajemy w tyle za innymi warstwami naszego społeczeństwa. Np. w rolnictwie minął już okres, gdy przewodniczących kołchozów wyznaczano w Okręgowych Komitetach partyjnych a nazwiska nominatów przywożono na zebrania kołchoźników „w teczkach”, jak przysłowiowego kota w worku. Teraz kołchoźnicy głosują swobodnie i mają prawo wyboru przewodniczących swoich kołchozów. Nam jednak nadal nie przysługuje prawo wybrania przewodniczącego i prezydium naszej organizacji drogą bezpośrednich wyborów, które lud sowiecki uważa słusznie za wielką zdobycz demokracji socjalistycznej. Jesteśmy zmuszeni do posługiwania się systemem wyborczym, którego używano w Rosji przed rewolucją w głosowaniu do Dumy, kiedy obywatele wybierali elektorów, a oni dopiero wyznaczali posłów.

Mimo to, powinniśmy pracować. Literatura nasza nie urodziła się wczoraj i nie skończy się jutro. Literatura *białoruska* nie ogranicza się do tego, co publikuje Departament szanownego Zachara Pietrowicza. Diariusze i notatki Dowżenki², Nikołajewej,

2. Aleksander Piotrowicz DOWŻENKO, Ukraińiec, 1894-1956. Znany autor scenariuszy filmowych, reżyser, pisarz i artysta-plastyk. Pracował w Komisariatach Ludowych dla Spraw Oświaty oraz Spraw Zagranicznych Republiki Ukraińskiej. Spędził kilka lat na placówkach dyplomatycznych w Berlinie i Warszawie.

Kuźmy Czornyja³. Inne dzieła tępione w różnych okresach są niemniej literaturą niż oficjalne luksusowe wydania wielotomowe oprawione w płótno. Sądzę, że literatura powinna odzwierciedlać nie tylko życie narodu, lecz również życie samej literatury. I nie należy zapominać, że Łukasz Bende wszedł do naszej historii narodowej na równi z tymi nieszczęśliwcami, których prześladował. Trzeba to przypominać często, zwłaszcza tym, którzy nie wyzbyli się jeszcze ochoty kopania okutymi butami umęczonej literatury białoruskiej.

Być może, że to co powiedziałem nie podoba się wszystkim. Być może, że niektórzy zechcą doszukiwać się w moich słowach przestępstw z tego czy innego artykułu kodeksu karnego. Uprzedzam ich: nie poniżajcie się, dopatrując się wiedźm tam, gdzie ich nie ma! Nie wymyślajcie wiatraków, aby mieć potem co atakować! Nie jesteśmy wrogami ludu i nie usiłujemy podważyć podstaw władzy sowieckiej, dla której okazaliśmy w swoim czasie krwią nasze przywiązanie. Bądźcie jednak wobec nas bardziej tolerancyjni! Wejdźcie w naszą skórę, a zrozumiecie, że nie mamy innego wyboru.

Kończąc swoje przemówienie, pragnę podkreślić, że chociaż sprawy w nim poruszone nie pobudzają do optymizmu, wierzę jednak w siłę twórczą naszej literatury, jak również w zdrowy rozsądek i czyste intencje tych, którym powierzono kierowanie nią. Chciałbym wreszcie podziękować z tej trybuny tym pisarzom, którzy w przeddzień zjazdu, gdy zaatakowano mnie, okazali odwagę cywilną i swoją ze mną solidarność. Dopóki będziemy zjednoczeni w sprawach podstawowych dla naszego życia narodowego i nie będziemy bali się tego jawnie głosić, naród białoruski nie będzie potrzebował lękać się o dalszy los swej literatury.

(Z włoskiego przetłumaczył Wł. Sznarbachowski)

3. Kuźma CZORNYJ (prawdziwe nazwisko Mikołaj Karłowicz Ramanański), ur. 1900; znany prozaik białoruski. W latach dwudziestych wstąpił do partii. W czasie II wojny światowej walczył w partyzancie antyhitlerowskiej nie zaprzestając twórczości literackiej. Nagrodzony orderem Czerwonej Gwiazdy oraz Partyzanckim Medalem Wojny Ojczyźnianej I-go stopnia.

Polska a Gatt

Uwagi niniejsze nie pretendują do głębszej analizy ekonomicznej, lecz zadaniem ich jest uwypuklenie pewnego zagadnienia z dziedziny stosunków gospodarczych między Polską a Zachodem, których wpływ na dalszy rozwój ekonomiczny i polityczny Kraju nie jest bez znaczenia.

Od dłuższego czasu szereg wybitnych ekonomistów polskich zwraca uwagę na konieczność dostosowania struktury polskiego handlu zagranicznego do zmieniających się warunków wymiany gospodarczej na Zachodzie, a więc przede wszystkim do systemu wielostronnych układów handlowych, jaki stosują państwa należące do Wspólnego Rynku, czy tzw. „Siódemki”. Pomimo oporów ze strony dogmatyków partyjnych, a także i złowrogich pomruków dochodzących z Moskwy, w polskich kołach gospodarczych przeważał pogląd iż należy szukać sposobów nawiązania kontaktów z zachodnio-europejskimi organizacjami ekonomicznymi, choćby na bazie półoficjalnej. Decyzję tę, aczkolwiek niechętnie, podjęto najprawdopodobniej na skutek przykrew sytuacji w jakiej znalazła się gospodarka Polska — a więc złe układającej się współpracy w ramach RWPG (Komekonu) i związanej z tym problemem zależności gospodarczej od Związku Radzieckiego, fiaska polskiego projektu wymienialności rubla, konieczności ograniczenia importu żywności i zwiększenia eksportu produktów przemysłowych, chronicznego braku dewiz i td. Czynniki partyjne musiały dojść do wniosku, iż problemów tych nie da się rozwiązać ani w ramach „braterskiej wymiany” między krajami socjalistycznymi, ani też przy pomocy dwustronnych układów handlowych, jakie dotychczas zawierano z państwami zachodnimi. Nowe przepisy regulujące zasady wymiany handlowej krajów Wspólnego Rynku — głównych, poza W. Brytanią, partnerów Polski na Zachodzie — nie można już było dłużej ignorować*.

* Vide artykuł Stanisława Albinowskiego w *Życiu Warszawy* z okazji

Nieśmiałe próby

W czasie gdy propaganda warszawska — w ślad za sowiecką — atakowała Wspólny Rynek, jako ekonomiczne ramie agresywnej polityki mocarstw kapitalistycznych, dążących do supremacji politycznej i ekonomicznej Europy, wiadomo było, iż Warszawa podejmowała szereg prób nawiązania nieoficjalnych kontaktów z Komisją Wspólnego Rynku w Brukseli za pośrednictwem ambasady PRL w stolicy Belgii. Rozmowy te nie mogły jednak przynieść pożądaných rezultatów z wielu względów: przede wszystkim brak stosunków dyplomatycznych między Polską a Wspólnym Rynkiem uniemożliwia prowadzenie jakichkolwiek negocjacji na szerszą skalę, pomijając już wszystkie względy polityczne i opory natury ideologicznej. Do tego dochodzą przeszkody wynikające z różnicy struktur ekonomicznych między krajami prowadzącymi gospodarkę rynkową, a państwami komunistycznymi wraz z całym ich bagażem gospodarki planowej.

Należy sobie także zdać sprawę z tego, że cokolwiek by się nie mówiło i pisało na Zachodzie o korzyściach rozwoju handlu z komunistyczną Europą Wschodnią, to w cyfrach nie przedstawia się to zachęcająco. Dla państw Wspólnego Rynku np. wymiana ta sięga zaledwie 5-ciu procent całości obrotów. Po prostu wysoko rozwinięte kraje Europy Zachodniej stają się coraz bardziej wymagające jeśli chodzi o poziom technologiczny wyrobów przemysłowych, co wobec zacofania gospodarczego Europy Wschodniej jest warunkiem niezwykle trudnym do spełnienia. Nieudolność polskiego handlu zagranicznego z jednej strony, a brak zaufania do produktów polskiego przemysłu ze strony odbiorców zachodnich — wszystko to razem nie stwarza najlepszych perspektyw dla polskiego eksportu na Zachód, od którego zależy w dużej mierze dalszy rozwój gospodarczy Polski.

Co to jest GATT?

Gospodarka Polska stanęła więc wobec dylematu, w jaki sposób zwiększyć bardziej opłacalny eksport produktów przemysłowych na Zachód, względnie jak skłonić firmy zachodnie do nawiązania niezwykle korzystnych dla Polski umów o tzw. „ko-produkcji przemysłowej”, w połączeniu z zapewnionym zbytem dla tych produktów na rynkach światowych. Wreszcie powstaje problem jak przezwyciężyć ograniczenia importowe (kwoty), oraz bariery celne którymi obwarowały się państwa zachod-

10-ciolecia Wspólnego Rynku (EWG) pt. „Skazani na sukces” z dn. 30 marca 1967. Albinowski pisze: „Jako unia handlowa EWG jest instytucją trwałą, która w coraz większej mierze będzie oddziaływać na nasze stosunki gospodarcze z Europą zachodnią. Uznając ten fakt musimy dążyć do tego by zmniejszyć do minimum te wszystkie ujemne skutki jakie wynikają dla nas z powstania zamkniętego ugrupowania sześciu państw Europy zachodniej”.

nie w obawie przed dumpingiem, ale głównie przed politycznymi i ekonomicznymi konsekwencjami wtargnięcia na rynki zachodnie tak potężnego kontrahenta, jakim jest państwowy monopol gospodarczy Związku Sowieckiego. Nadzieje na rozwiązanie tego dylematu istnieją w ramach negocjacji jakie toczą się obecnie w Genewie na forum międzynarodowej organizacji gospodarczej znanej pod nazwą GATT, czyli Ogólnego Porozumienia Taryfowo-Handlowego.

Trzeba tu wyjaśnić, że GATT jest nie tylko największą na świecie organizacją handlową, ale także instytucją, która ustala pewne zasady handlu międzynarodowego. Należy do niej 71 państw w zasięgu których znajduje się 89 procent obrotów handlu światowego. Zasadniczym celem GATT'u jest stałe obniżanie taryf celnych i stopniowe znoszenie wszelkich utrudnień w handlu międzynarodowym. Członkostwo GATT'u daje więc szereg ulg i korzyści, lecz jednocześnie nakłada szereg zobowiązań. Kraj ubiegający się o przyjęcie musi w zasadzie spełnić następujące warunki podstawowe:

- a) przedstawić pełną listę taryf celnych obowiązujących we wszystkich obrotach handlu zagranicznego,
- b) ustalić jednolity kurs waluty dla wszystkich rozliczeń płatniczych,
- c) udowodnić iż handel zagraniczny nie jest prowadzony na zasadach monopolu, czy to prywatnego, czy państwowego.

Podczas gdy dla krajów o gospodarce wolno-rynkowej spełnienie tych trzech warunków nie przedstawia na ogół trudności, państwa komunistyczne o upaństwowionym handlu i gospodarce scentralizowanej, gdzie ceny, taryfy celne i kurs waluty ustalane są dowolnie na podstawie decyzji administracyjnych, musiały siłą rzeczy z przywilejów płynących z członkostwa GATT'u zrezygnować.

Sprawa polska w GATT

Państwa wschodnioeuropejskie (z wyjątkiem Czechosłowacji, która dziwnym trafem przez cały czas była członkiem!) do niedawna ignorowały GATT. Pierwszy wyłom zrobiła Jugosławia. W wyniku negocjacji, które ciągnęły się przez szereg lat, przyznano jej w roku 1962 prowizoryczne członkostwo, a w roku ubiegłym pełne członkostwo tej organizacji. Stało się to dzięki temu iż Jugosławia, która poszła w reformach gospodarczych najdalej ze wszystkich krajów komunistycznych — ustaliła kurs waluty, wprowadziła taryfę celną dla wszystkich towarów importowanych i zniósła, przynajmniej formalnie, monopol w handlu zagranicznym. Polega to na tym, że pewną określoną grupą towarów handluje nie jedna centrala, a szereg przedsiębiorstw państwowych, mających dużą swobodę w swej działalności gospodarczej i nie podlegającej normatywom ogólnego planu państwowego.

Historia stosunków pomiędzy Polską a GATT'em ciągnie się już od 8-miu lat. Od roku 1959 Polska jest członkiem stowarzyszonym tej organizacji, a niedawno przystąpiła do prowadzonych w ramach GATT'u rokowań handlowych zwanych „Rundą Kennedy'ego”, mających na celu stopniowe obniżenie taryf celnych między krajami członkowskimi na zasadzie wzajemności. W grudniu ub.r. rząd warszawski zgłosił gotowość przystąpienia do GATT'u w charakterze pełnoprawnego członka. Sprawa jednak nie jest prosta. Po pierwsze — Polska pozostaje daleko w tyle za Jugosławią w dziedzinie reform gospodarczych, a więc i w dążeniu do wypełnienia trzech podstawowych warunków przyjęcia. Po drugie — członkowie GATT'u wcale nie są skłonni do udzielania jakichś specjalnych przywilejów dla krajów o państwowej gospodarce monopolistycznej, co musi w pewnym sensie osłabić wewnętrzną spójność organizacji. Wybitny ekonomista brytyjski, John Pinder, pisał na ten temat w kwartalniku *Survey* (styczeń 1966): „...Polacy w pierwszej chwili zgłosili gotowość wprowadzenia taryfy celnej, co umożliwiłoby im negocjowanie na tej samej zasadzie co pozostali członkowie GATT'u. Niestety okazało się to niewykonalne, gdyż nie sposób przewidzieć, czy na decyzję dotyczącą produkowania jakiegoś towaru, względnie sprowadzania go z zagranicy wpłyną wahania taryf importowych — a to jest sprawa zasadnicza dla krajów, które podejmują rokowania taryfowe. Poza tym polski eksport nie jest w stanie konkurować swobodnie na rynkach światowych z produktami innych krajów z powodu niewymienialności złotego. To z kolei zmusiłoby do dewaluacji waluty i wprowadziło dodatkowy zamęt do i tak już chwiejnego sektora gospodarki narodowej.

Dlatego też — stwierdza Pinder — Polacy przedstawili propozycje, według których w zamian za obniżenie taryf celnych dla polskich towarów, umożliwiających im zwiększenie eksportu do poszczególnych krajów członkowskich GATT'u, zobowiązali się zwiększyć zakupy w tym kraju w odpowiedniej proporcji. Propozycja ta została uznana na ogół za rozsądną, ale nie mającą nic wspólnego z zasadą „klauzuli największego uprzywilejowania”, o którą zabiega Polska, natomiast korzyści oferowane przez stronę polską nie mogłyby obejmować innych dostawców tego samego produktu, co jest sprzeczne z zasadami, na jakich opiera się wielostronna wymiana handlowa w ramach GATT”.

Tyle John Pinder. Obecnie dowiadujemy się, iż od szeregu miesięcy toczyły się w Genewie poufne rozmowy pomiędzy stałym przedstawicielstwem Polski w GATT, a delegacjami krajów, z którymi Polska utrzymuje zażyłe stosunki handlowe, a więc przede wszystkim z krajami Europy Zachodniej i Stanami Zjednoczonymi. Korzystając bowiem z obecności czołowych ekonomistów zachodnich, przebywających tam z okazji rokowań „Rundy Kennedy'ego”, Polacy przeprowadzili cały szereg negocjacji które pozwoliły na wzajemne sprecyzowanie stanowisk i stawianych warunków. Chodziło o to, by propozycje polskie dostosować do wymagań gospodarki rynkowej i przepisów GATT, jak również

o to, by sprawę pełnego członkostwa Polski załatwić jeszcze przed zakończeniem rokowań „Rundy Kennedy’ego”.

Chodziło więc o pośpiech. Gdy tylko negocjacje bilateralne przygotowały dostatecznie grunt i wyrównały pewne sprzeczności, o których wspomina John Pinder, Rada GATT powołała specjalną Komisję (Grupę Roboczą) do spraw udziału Polski w GATT, która rozpoczęła pracę w dniu 10 lutego br. W Komisji zasiadają przedstawiciele 26 państw — głównych partnerów handlowych Polski na Zachodzie, a także i Jugosławii, Czechosłowacji, oraz obserwator węgierski*. Wielu członków organizacji powitało z zadowoleniem formalny wniosek polski, oraz fakt powołania Komisji. Między innymi, dyrektor Wydziału Ekonomicznego w Amerykańskim Departamencie Stanu, Dean Hinton, oświadczył 6 marca br., że Stany Zjednoczone są przychylnie nastawione do wniosku polskiego, ale że kwestia dostosowania systemu gospodarki kierowanej przez państwo do gospodarki rynkowej następcza olbrzymie trudności. „Sprawa nie jest łatwa do rozwiązania — dodał Hinton — ale Polska wykazała daleko idącą gotowość do pokonania tych trudności”.

Na czym polegają nowe polskie propozycje?

Wygląda na to, iż nie odbiegają one zasadniczo od złożonych już uprzednio na forum GATT. Ze względu na to, że negocjacje miały charakter poufny, treść ich nie została dotychczas opublikowana. Tym niemniej pewne podstawowe punkty znalazły się w korespondencji z Genewy, jaka ukazała się w *Neue Zürcher Zeitung* z 14 stycznia 1967.

Widomo w każdym razie, iż polskie propozycje dotyczące ewentualnego pełnego członkostwa GATT mieszczą się w ramach ogólnych propozycji dotyczących obniżki ciał w związku z rokowaniami „Rundy Kennedy’ego”. Oznacza to, iż dodatkowe wpływy dewizowe uzyskane przez Polskę na skutek generalnej obniżki taryf celnych przez państwa członkowskie GATT’u przeznaczone zostaną na zwiększenie importu z tych krajów. Wzrost tego importu będzie wyraźnie przewidziany w następnym planie 5-cioletnim.

Ponadto, wzrost importu z państw członkowskich GATT’u ma być szybszy, niż by wynikało z dotychczasowych założeń.

Ze względu na skomplikowany charakter układu stosunków Polski z państwami GATT’u (możliwościami reklamacji i td.) Polska godzi się na periodyczne badania tych stosunków przez specjalną Komisję powołaną w tym celu przez GATT.

Ze swej strony Polska oczekuje szeregu udogodnień, jakie miałyby jej przyznać państwa członkowskie GATT’u.

Po pierwsze — Polska domaga się, ażeby państwa te złożyły deklarację, że nie będą stosowały dyskryminacji polskiego eksportu. Po drugie — że zostanie przyznana Polsce „klauzula najwięk-

* W Genewie mówi się, iż przykład Polski powinien pobudzić i inne państwa wschodnio-europejskie do nawiązania bliższej współpracy z GATT-em. Dowodzi tego m.in. udział obserwatora węgierskiego.

szego uprzywilejowania", a po trzecie — że zniesione zostaną dotychczas obowiązujące w niektórych krajach Zachodu kwoty na import towarów z Polski.

Polsce zależy specjalnie na rozszerzeniu rokowań w sprawie obniżki taryf celnych na te towary, których jest głównym dostawcą w krajach należących do GATT'u.

Wreszcie, Polska pragnie, by jej tradycyjny eksport produktów rolnych (spożywczych) na Zachód utrzymany został na poziomie z r. 1964, tj. sprzed okresu, gdy wprowadzono restrykcje na import z Polski w związku z nowymi przepisami Wspólnego Rynku.

Jak wynika z doniesień prasowych, rokowania w ramach Komisji do spraw przyjęcia Polski jako pełnoprawnego członka GATT'u postępują naprzód, jakkolwiek rzecznik Rady Naczelnej oświadczył niedawno iż trudno jest przewidzieć jak długo będą one trwały i czy na pewno uwieńczone zostaną sukcesem. Należy wyrazić nadzieję że sprawa zostanie doprowadzona do pomyślnego końca. Z punktu widzenia interesu polskiego jest to zagadnienie olbrzymiej wagi. Klucz do tego zagadnienia leży jednak gdzie indziej: chodzi bowiem o to, jak dalece Polska zdecyduje się pójść śladami Jugosławii i Czechosłowacji na drodze reform gospodarczo-ustrojowych. To z kolei zależy od tego czy przywódcy partyjni w Polsce zamiast zajmować się rozgrywkami klikowymi i *à tout prix* trzymać się doktryny — wykażą prawdziwy *statesmanship*. Wówczas droga do GATT'u, a więc i szerszej wymiany z Zachodem będzie otwarta.

Andrzej STYPUŁKOWSKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

**PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.**

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Polonia w wyborach amerykańskich

Trudno jest ustalić liczebność Polonii Amerykańskiej. Rozpiętość opinii na ten temat waha się w granicach od 4 do 12 milionów. Zależy to od przesłanek, którymi kierują się różni publicyści, od kryteriów na jakich opierają swoje wnioski naukowcy. Wszyscy jednak godzą się z opinią np. M. Haimana, Dybowskiego czy Chałasińskiego, że polskie głosy w wyborach amerykańskich liczą się i muszą być doceniane przez obie wielkie partie. Tego faktu nie negują politycy amerykańscy. Były ambasador U.S.A. w Warszawie, Arthur Bliss Lane w swojej książce o Polsce stwierdza, że „w czasie kampanii poprzedzającej wybory prezydenta St. Zjednoczonych, w roku 1944, zarówno Republikanie jak i Demokraci uważali, że głosy Amerykanów polskiego pochodzenia mogą w sposób decydujący zaważyć na szalach wyborczych w kilku najważniejszych stanach jak: New York, Pensylwania, Illinois, Indiana, Ohio i Michigan” (str. 31).

Podobnie rozumiano znaczenie głosów polonijnych w wyborach prezydenckich 1960 roku, kiedy prezydentem wybrany został J. F. Kennedy, uzyskując tylko nieznaczną przewagę głosów nad swoim republikańskim oponentem, Nixonem. Po podsumowaniu wyników głosowania z różnych okręgów wyborczych, amerykańscy specjaliści od arytmetyki i geografii wyborczej doszli do wniosku, że w Stanach Zjednoczonych istnieje przynajmniej 30 takich okręgów wyborczych, w których o zwycięstwie decydują głosy polonijne. Wymieniano tu różne skupiska polonijne, jak Chicago, Detroit, New York, Buffalo, New Jersey, Philadelphia, Milwaukee, Cleveland, Minneapolis i td. Jak twierdzi „Polish American Reporter” z lipca 1961 r. ustalono wówczas, że J. F. Kennedy odniósł zwycięstwo w 26 okręgach polonijnych a przegrał tylko w czterech. Biorąc pod uwagę, że zwycięstwo odniósł minimalną ilością głosów, można przyjąć, że te głosy polonijne miały wielką wagę.

W polityce lokalnej polska grupa etniczna zaczęła odnosić

sukcesy już 80 lat temu. Oczywiście, były to bardzo skromne początki. W polityce federalnej Polacy wypłynęli po raz pierwszy przed 50 laty. Pierwszy kongresman polskiego pochodzenia został wybrany w Milwaukee w 1918 r. Był nim adwokat Kłęczka. Drugim był kongresman z Chicago w wyborach 1920 r. Od tej pory w każdym Kongresie USA Polonia ma swoich przedstawicieli. Nas jednak interesują aktualne wpływy Polonii na amerykańskie życie polityczne, dlatego — po tym krótkim wstępie — zajmmy się omówieniem ostatnich amerykańskich wyborów do Senatu, Kongresu i do władz lokalnych, które odbyły się 8 listopada 1966, z których obliczenia szczegółowe zostały opublikowane na początku 1967 roku. W głosowaniu tym wybierano cały nowy Kongres USA, 35 senatorów federalnych, 35 gubernatorów stanowych i wiele tysięcy kandydatów na różne obieralne stanowiska we władzach lokalnych.

W wyniku tych wyborów Republikanie poważnie poprawili swój stan posiadania w Kongresie i Senacie, jednakże Demokraci zachowali w tych ciałach ustawodawczych przewagę. Po klęsce poniesionej w wyborach w 1964 r. Republikanie zyskali tym razem 46 nowych miejsc w Kongresie, 3 miejsca w Senacie, 8 stanowisk gubernatorów i wiele stanowisk we władzach lokalnych. Ten wynik określany jest jako powrót do równowagi w systemie dwupartyjnym i jako ostrzeżenie, że wyborcy nie są zadowoleni z polityki gospodarczej rządu, który nie może powstrzymać rosnącej inflacji, nie może zakończyć wojny w Wietnamie ani uporać się z problemami natury socjalnej. Tu trzeba podkreślić, że problemy krajowe zdecydowanie górowały w walce wyborczej nad polityką zagraniczną. Tylko w jednym stanie Michigan próbowano w niektórych okręgach wysunąć na czoło walki wyborczej sprawę zakończenia wojny w Wietnamie i okazało się, że ten argument nie spełnił roli, jaką przypisywali mu niektórzy politycy. Społeczeństwo amerykańskie nie odnosi się z entuzjazmem do tej wojny, ale sposób jej zakończenia powierza swojemu rządowi.

Powróćmy jednak do polonijnego bilansu wyborczego. Tu chciałbym zacytować kilka wypowiedzi prasowych.

„Stan posiadania Polonii po wyborach wygląda dobrze” — píše „Dziennik Chicagowski” z 10 listopada 1966 r. To samo twierdzi organ prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej mec. K. Rozmarka — „Dziennik Związkowy” z 10 listopada 1966 r. — „Z naszego punktu widzenia Polonia chicagowska odniosła duży sukces zatrzymując wszystkich czołowych swoich przedstawicieli na stanowiskach”. Z tegoż dnia detroicki „Dziennik Polski” również gratulował Polonii sukcesów wyborczych. Był to ogólny ton naszej prasy w USA.

Ale zróbmy sami obrachunek.

Mieliśmy dotychczas w Kongresie 11 kongresmanów polskiego pochodzenia. Byli to: — z Chicago — D. Rostenkowski (D), J. C. Kluczyński (D), E. Derwiński (R), i R. Puciński (D). Ze stanu Michigan — L. Nedzi (D) i J. Dingiell (D). Z New Jersey — H. Helstowski (D), T. Dulski (D) i B. Grabowski (D). Z Wis-

consin — K. Zabłocki (D) i A. O'Koński (D). Wszyscy wymienieni kandydowali ponownie i — z wyjątkiem Grabowskiego, który przepadł — zostali ponownie wybrani do Kongresu. Mamy więc obecnie 10 naszych kongresmanów, tracąc jednego.

W rekompensacie, Polonia zyskała szereg nowych stanowisk we władzach lokalnych co — per saldo — pozwoliło przywódcom polonijnym twierdzić, że „stan posiadania Polonii po wyborach wygląda dobrze”. Aby ocenić, czy ten optymizm jest uzasadniony, by się przekonać jak głosowali polonijni wyborcy, trzeba prześledzić szczegółowe wyniki głosowania w okręgach polonijnych a także ustalić przesłanki, którymi kierowali się wyborcy polskiego pochodzenia.

Polonia nie ma przywódców

Już pierwsze spostrzeżenia prowadzą do wniosku, że Polonia Amerykańska nie ma tej zwartości, jaką posiadają inne grupy etniczne np. niemiecka, żydowska, irlandzka, litewska i tp. Polonia odczuwa brak przywództwa politycznego, które umiałoby reprezentować i bronić interesów polskiej grupy etnicznej, wykazując konieczny w tym przypadku dynamizm, a jak w Ameryce mówią — „agresywność”. Zjawisko to ostro zarysowało się w okresie przedwyborczym. Po prostu nie było komu układać się i stawiać warunki w imieniu dużej rzeszy wyborców polskiego pochodzenia. Demokraci i Republikanie zawierali układy przedwyborcze z różnymi grupami etnicznymi, z Irlandczykami, których rzecznikiem był senator R. Kennedy, z Murzynami, w których przywódca King wymusił od demokratów fundusze na akcję socjalną, uzyskał zobowiązanie, że właściciele domów, którzy odmówią wynajmu mieszkania Murzynowi będą sądownie karani, Portorykanami, którym obiecano wprowadzić język hiszpański do urzędów w rejonach ich zamieszkiwania i zapewniono tysiące posad na poczcie, bez wymagania znajomości języka angielskiego (?). Pertraktacje na wysokim szczeblu prowadziły różne grupy etniczne, tylko nie Polonia. Ze strony Polonii, po sztabach wyborczych kręcili się tylko akwizytorzy ogłoszeniowi, którzy — oczywiście — nie stawiali warunków politycznych, a jedynie starali się jak najwięcej wydobyć ogłoszeń dla polskich pism, co może było bardzo korzystne dla wydawnictw, ale nie miało wielkiego znaczenia dla całej Polonii. W ten sposób miliony głosów polonijnych kupowano sobie za parę ogłoszeń. Jeśli w tej smutnej praktyce trafił się jakiś wyjątek, to nie wyżej jak w odniesieniu do spraw magistrackich, czy powiatowych. Jakaś skromna posadka obiecana w magistracie lub powiecie była w stanie zaspokoić wymagania przywódców polonijnych szczebla parafialnego. Nikt w imieniu Polonii nie żądał od partii politycznych niczego więcej prócz paru posadek.

Przywódcy polonijni byli nieobecni na politycznej giełdzie przedwyborczej, chociaż nikt nie ma wątpliwości, że właśnie

przed wyborami najłatwiej jest walczyć o swoje prawa i uzyskać od polityków zobowiązania.

Tymczasem sporo było takich zagadnień, którymi interesuje się cała Polonia, a które wymagały kołatania do władz np. federalnych i stanowych. Wymieńmy tu niektóre.

Była do wygrania, a przynajmniej była okazja do starań, aby za cenę głosów polonijnych zobowiązać kandydatów do Senatu i do Kongresu by zajęli wyraźne stanowisko w sprawie uznania przez Rząd USA granicy Polski na Odrze i Nysie. Okazuje się, że wodzowie Polonii o tym nie pomyśleli.

Była sprawa nowej ustawy emigracyjnej, która, wbrew obietnicom, zamiast ułatwić jeszcze utrudniła emigrację z Polski. Niezależnie od tego jak oceniamy emigrację ze stanowiska Polski, dla Polonii jest to ważny problem rodzinny i ekonomiczny. Irlandczycy zapewnili dla siebie złagodzenie niektórych przepisów wykonawczych a Polacy skarżą się tylko po kątach. Zapytywany w tej sprawie prezes Kongresu Polonii mec. K. Rozmarek odpisał, że nie widzi potrzeby zajmowania się tym.

Istnieje problem kształcenia młodzieży polonijnej i podnoszenia ich kwalifikacji zawodowych. Murzyni zapewnili sobie przed wyborami na ten cel miliony dolarów dla swoich stypendystów i dla swoich szkół. Mamy wiele rodzin polonijnych, które nie mają za co kształcić swoich zdolnych dzieci. Mamy Fundację Kościuszkowską i Fundację im. Paderewskiego, które jak mogą zbierają wśród zamożniejszej Polonii środki na kształcenie zdolnej a niezamożnej młodzieży polonijnej. Ale miliony dolarów jakie na ten cel każdego roku łoży rząd federalny i rządy stanowe omijają polską grupę etniczną, bo nie ma komu o to walczyć.

Setki milionów dolarów rocznie przeznaczają rząd federalny na walkę z ubóstwem. Nikt się nie zatroszczył, by polskim rodzinom, zarabiającym poniżej ustalonego minimum, zapewnić dostęp do tych funduszy. Fundusze te w całości konsumują bardziej agresywne grupy etniczne, a Polacy znani są z tego, że będą głodować a nie zwrócą się po należną im zapomogę rządową. Nie jest to tylko jakaś fałszywa ambicja, często jest to nieznajomość przepisów, języka i brak troski ze strony przywództwa.

Było w 1966 r. wyasygnowanych 5 milionów dol. na akcję uświadamiania emerytów w *ich języku ojczystym* o tym kto i jakie ma prawa do renty starczej i do leczenia na koszt rządu (tzw. nowa ustawa Medicare). Polonia ma około miliona emerytów, ale nikt do nich nie poszedł objaśniać w ich języku ojczystym, bo nie było komu postarać się o polskich instruktorów. Kiedy emeryci polscy sami zgłosili spośród siebie chętnych do tej pracy, to im odpowiedziano, że fundusz jest już rozdysponowany, że wasi kongresmani o to się nie postarali.

Nabrzmiały jest problem majątków polskich parafii. Polonia wybudowała w Ameryce około 500 kościołów kosztem około 200 mil. dol. i każdego roku łoży na swoje parafie około 10 mil. dol. Ale interesy polonijne nie są zabezpieczone u władz kościelnych, kościoły polskie są przekazywane innym grupom etnicznym, w

przykościelnych zakładach wychowawczych kasuje się naukę języka polskiego, ochronki polskie zamienia się na ochronki innych narodowości. Polscy parafianie bronią się, ale tych spraw nie obroni się ze szczebla parafii polskiej. Gdzie są przywódcy polonijni, następcy ks. Kruszki! Na pewno nie należy powracać do stosunków sprzed 60 lat, kiedy istniały zamknięte getta polonijne, kiedy Polak nie wysadzał nosa poza swoją parafię. Ale trzeba bronić dorobku kilku pokoleń patriotycznej Polonii, która od ust sobie odejmowała i budowała kościoły, klasztory i szkoły, które dzisiaj do niej nie należą. Władze kościelne zabierając kościoły, klasztory i szkoły ufundowane przez Polaków kierują się swoimi potrzebami i mogą mieć rację, że ludność przesiedla się, inne narodowości zaludniają stare polskie parafie. Ale dorobek materialny Polonii nie powinien być zaprzepaszczone. Polonia potrzebuje gmachów, w których koncentrowałoby się jej życie kulturalne, artystyczne i społeczne. Cóż to za sprawiedliwość zabrać Polakom zbudowany przez nich kościół i oddać go innym, którzy do jego powstania niczym się nie przyłożyli. Polonia powinna uzyskać w zamian tereny czy budynki na swoje Domy Kultury. Bogaty jest Kościół w Ameryce, ale jak nikt się nie upomina, o rekompensatę, to nic łatwiejszego, jak innym ofiarować polskie kościoły.

Wymaga starań sprawa udziału przedstawiciela Polonii w rządzie amerykańskim. Pamiętamy jak gorąco i powszechnie zareagowała Polonia w 1965 r., kiedy jedyny przedstawiciel polskiej grupy etnicznej, Gronouski, powołany do rządu przez prezydenta Kennedy'ego, został zdjęty ze swojego urzędu przez prezydenta Johnsona. Kiedy załatwia się takie sprawy? Przed wyborami. Polonijni przywódcy o tym nie myśleli.

Wśród starszego pokolenia Polaków w Ameryce jest wielu takich, którzy chcieliby swoje kości złożyć na ziemi ojczystej, chcieliby mieć zabezpieczenie wypłat emerytur po powrocie do Polski. Wielu spośród nowej emigracji (wojennej i powojennej) z tego uprawnienia nie może korzystać w skutek niedostatecznego okresu przebywania w USA. Do emerytury wystarczy cenzus wieku i 5 lat pracy w Ameryce. Ale do pobierania emerytury za granicą trzeba mieć długi okres zamieszkiwania w USA. Kto pomyślał by tym starym ludziom umożliwić otrzymywanie emerytur w Polsce?

Kto pomyślał o sprawie rozszerzenia donacji publicznych na zakup książek i czasopism polskich, albo o Polsce, do amerykańskich bibliotek i czytelników? O sprawie katedr polonistycznych i lektoratów na uniwersytetach amerykańskich, o zagadnieniu pomocy dla nielicznych polonijnych ośrodków kulturalno-oświatowych? Troszczą się o to niektórzy nasi naukowcy i społecznicy, ale bez udziału ze strony polonijnych wodzów i polityków.

O tych wszystkich problemach głucho było w okresie przedwyborczym. Byłbym rad, by ktoś mógł temu zaprzeczyć i wykazać, gdzie spraw tych broniono na właściwym, wysokim szczeblu politycznej drabiny wyborczej.

A przecież wymieniałem zagrożenia, które dotyczą szerokich kręgów polonijnego społeczeństwa, których pomyślnie dla nas załatwienie nie może się odbyć bez pomocy świata politycznego, bez naszych upartych wysiłków by się nie dać zbyć czymkolwiek. Amerykańscy politycy i publicyści bardzo się liczą z tym co sami nazywają „pression group”. Ale kto nie naciska ten niczego nie osiąga. Po to grupy etniczne w USA organizują się i wybierają swoich przywódców aby mogły wywierać presję na Rząd, Kongres i Senat oraz na władze stanowe i lokalne w celu obrony słusznych interesów swojej grupy. Tych co nie potrafią stworzyć „pression group” kokietuje się przy wyborach komplementami, frazesami albo kupuje za byle posadki.

Nie chciałbym być źle rozumiany ani wywoływać wrażenia, że walka o posady w magistracie lub w powiecie jest dla nas bez wartości. Tak nie jest w stosunkach amerykańskich. W tym kraju droga do zdobywania wpływów politycznych prowadzi przez sięganie po wpływy lokalne, jednakże pod warunkiem, że do tych władz lokalnych wybieramy kandydatów, którzy chcą służyć Polonii i bronić jej spraw. Natomiast bez większego znaczenia będzie ilu „yesmenów” o nazwiskach na „ski” lub „icz” dostanie się na posadki.

Dr M. Szawlewski w swojej pracy „Wychodźstwo Polskie w St. Zjednoczonych” (Wyd. Ossolineum, 1924 r.) pisze na ten temat następująco: — „Polscy politycy nie mają autorytetu u Amerykanów... Mając wyłącznie prawie korzyści osobiste na celu, korzystają z małej krytyczności mas, aby swoje usługi oferować amerykańskim partiom” (str. 200). Szawlewski, znany ekonomista i pierwszy konsul R.P. w New Yorku po odzyskaniu niepodległości, pisał te uwagi w 1924 r. W 25 lat po nim, Leśnicki w „The Polish-American Journal” (Scranton, Pensylwania) pisał pod datą 9 kwietnia 1949 r. m.in.: „Polonii Amerykańskiej brakuje sprężystego i rzetelnego kierownictwa... Amerykanie polskiego pochodzenia są zbyt powolni wobec swoich leaderów, którym często brakuje inteligencji, doświadczenia i kwalifikacji do przewodzenia. Przywódcy tacy są zazwyczaj krótkowzroczni i skłonni do krańcowego egoizmu. Są oni egocentrykami i samochwałami, czym zniechęcają młode i wykwalifikowane siły polonijne do pracy społecznej”. Leśnicki konkluduje: — „Naszego znaczenia nie należy mierzyć miarką posadek z protekcji politycznej, nawet nie miarą lukratywnych posad i interesów, tylko tym jak daleko i w jakim stopniu możemy wpływać na stosunki w naszym mieście, powiecie lub wyżej”.

Rok 1967 nie daje powodów do zmiany tych opinii na korzystniejszą dla nas. Znany na terenie polonijnym działacz adw. A. Mazewski w artykule opublikowanych w Chicago w czerwcu 1966 twierdził, że „przeżywamy kryzys”, że jesteśmy „zjednoczeni ale w bezczynności”, że przyczyną zastoju jest fakt, iż praca polonijna „opiera się na strukturze i metodach działania z XIX wieku” i że „jeśli nie znajdziemy nowych i lepszych przywódców,

to Polonia jako zorganizowana grupa zniknie z powierzchni amerykańskiego życia". A jaki jest program Mazewskiego?

A oto co piszą Polacy w Kalifornii, w swoim piśmie „Nasze Sprawy” (Nr 5 z lutego 1966 r.), które jest organem miejscowego Kongresu Polonii Amerykańskiej. Piszą tam, że sytuacja „jest alarmująca”, „poziom naszych poczynąń społecznych jest żałosny, tematyka bardzo ograniczona. Dlatego też czynniki oficjalne miejskie i stanowe nie dostrzegają naszej obecności jako grupy, z wyjątkiem krótkich okresów przedwyborczych”. Redaktor tegoż pisma dorzuca jeszcze takie gorzkie uwagi: — „Pisanie o sukcesach Polonii jest zajęciem bardzo przyjemnym, pozyskuje człowiekowi przyjaciół, czyni go popularnym. Jednak czasem trzeba się narazić na niepopularność”. Ma rację. Kadzeniem nic nie naprawimy.

Jak głosuje Polonia?

Przed pół wiekiem Polonia oddawała 60% głosów na demokratów, 35% na republikańców i 5% na grupy lewicowe, przeważnie na socjalistów (według M. Szawlewskiego). Demokraci byli pierwszą partią amerykańską, która zdobyła głosy polonijne. Na wpływy tej partii wśród Polonii złożyło się szereg czynników: struktura socjalna naszej emigracji i liberalny stosunek demokratów do spraw emigracyjnych. Ponadto, demokraci pierwsi zaczęli umieszczać nazwiska polskich kandydatów na swoich listach wyborczych, by w ten sposób zyskać sobie polonijnego wyborcę.

Ale republikanie zaczynają naśladować demokratów, wystawiając również polskie nazwiska na swoich listach wyborczych. W sztabach obu partii utwierdziło się bowiem przekonanie, że polonijni wyborcy nie tyle wybierają między partiami i programami, ile kierują się wyborem nazwisk na „ski” lub „icz”. To się może nie podobać „bossom” partyjnym, ale jak inaczej może Polak w Ameryce zamanifestować swój patriotyzm, skoro sam — przeważnie — nie był zorientowany w stosunkach politycznych swojej nowej ojczyzny, skoro przywództwo polonijne dość często kieruje się prywatą i nie przejawia ochoty do społecznych powinności w karierze politycznej. W takich warunkach wyborcy polonijnemu pozostaje tylko głosować na polskie kandydatury, by w ten sposób podkreślić swą więź z grupą etniczną. Jest to raczej manifestacja niż udział w wyborach politycznych. Daje poczucie spełnionego obowiązku patriotycznego a niewiele daje korzyści politycznych.

W czasach, kiedy głównie demokraci wystawiali na listach kandydatury polskie, ten system głosowania „na swoich” dawał partii oczywiste korzyści. Ale sytuacja zmieniła się, gdy republikanie zaczęli stosować to samo. Polonia bowiem przestała głosować na całą listę demokratyczną „*en bloc*” i zaczęła wybierać z obu list wyborczych — Demokratów i Republikańców — kandydatów o polskich nazwiskach, rzucając na nich swoje głosy. Przynajmniej od czasów II Wojny Światowej, niepisany hasłem

polonijnych wyborców było wezwanie: — „Głosuj nie na partie tylko na Polaków”. Moim zdaniem to hasło, które propagują przywódcy polonijni, było pożyteczne w pierwszym okresie zasiedlenia naszej emigracji w Ameryce, lecz w miarę jak element polski wrastał w życie społeczne i gospodarcze Stanów Zjednoczonych, powinna również następować jego aktywizacja polityczna, wynikająca z lepszej znajomości stosunków politycznych i lepszego rozeznania, który z programów wyborczych lepiej służy interesom polskiej grupy etnicznej i dobru ogólnemu. Innymi słowy pora już by sprzągnął się patriotyzm Polonii z rozsądkiem politycznym. Stopień uświadomienia i zorganizowania politycznego grupy etnicznej jest nie mniej ważny od jej liczebności. Siła organizacyjna i mądre przywództwo znaczy więcej niż suma potencjalnych wyborców. Stosunek liczebny polskiej grupy etnicznej do niemieckiej w USA jest jak 1:2 1/2, zaś w Kongresie USA grupa niemiecka posiada obecnie 73 swoich kongresmanów a polska tylko 10-ciu. Irlandzka grupa etniczna jest słabsza liczebnie od polskiej, natomiast w hierarchii Kościoła Katolickiego w USA Irlandczycy rządzą diecezjami, majątkiem i stanowiskami kościelnymi, zaś polscy księża kończą kariery — przeważnie — na probostwach.

Amerykańskich publicystów politycznych bardzo interesuje jak jest zorganizowana grupa etniczna, mniej jej domniemana liczebność. W życiu politycznym liczą się bowiem tzw. „pression group” czyli grupy nacisku. Pod tym pojęciem Amerykanie rozumieją zespół środków jakimi dysponuje dana grupa etniczna dla obrony praw i interesów.

Jakimi środkami nacisku dysponuje polska grupa etniczna?

Polonia, zatomizowana organizacyjnie i pozbawiona przywództwa, nie wchodzi w rachubę sztabów partyjnych najwyższego szczebla jako partner do układów przedwyborczych (poza wyborami prezydenta). Najwyższym szczeblem do rozmów z przedstawicielami Polonii są stanowe i powiatowe władze partyjne, oczywiście w tych stanach gdzie element polski posiada większe skupiska. W takich warunkach trudno jest wymagać a jeszcze trudniej egzekwować obietnice wyborcze. Nie mając autorytetu u przywódców amerykańskich, reprezentanci polonijni skazani są na trzymanie się starego — powiedziałbym gettowego — hasła: głosuj na Polaków, bo w ten sposób podnosisz cenę nazwiska polskiego u obu partii amerykańskich*.

* Żenujące są próby pozorowania autorytetu politycznego. Oto prasa polonijna zapewniała z całą powagą, że kongresman Rostenkowski może dużo zdziałać bo ma wielkie wpływy w Białym Domu ponieważ ...zatrzaszczył się o sadzonki drzew do parku, którym opiekuje się pani Johnson.

Wydanie przez Poczta USA polskiego znaczka millenijnego nazwano w dziesiątkach artykułów „politycznym zwycięstwem całej Polonii” i „historyczną zasługą Kongresmana Pucińskiego”. Nikomu nie przyszło do głowy, że poczta amerykańska każdego roku wypuszcza kilkadziesiąt nowych znaczków pocztowych, bo to jest dobry interes filatelistyczny a, przy okazji, jest to niekosztowna grzeczność i niewiele więcej.

Nie można jednak przeoczyć, że coraz częstsze stosowanie tego hasła daje rezultat odwrotny do zamierzonego. Jeśli bowiem o oddaniu głosu ma decydować tylko polskie brzmienie nazwiska kandydata, to demokraci i republikanie mogą uważać się za zwolnionych od troski o nasze potrzeby i interesy, ponieważ wystarczy, że ich kandydat będzie miał nazwisko na „ski” lub „icz” by się posypały głosy polonijne. Jest to więc dość prymitywny, mało efektywny środek nacisku, jakim posługuje się polska grupa etniczna. Co więcej — jeśli wystarczającą kwalifikacją ma być polskie nazwisko kandydata, to im tańszy Polak, tym lepszy. Najtańsi są „yesmeni” na „ski” i na „icz” więc cały ten system na długą metę — prowadzi do licytacji „in minus”.

Nie mamy więc szczególnych powodów do radości, że nadal operuje się hasłem „głosuj tylko na Polaków”, ale póki Polonia nie wyrobi sobie kierownictwa politycznego, na odpowiednim poziomie, to stare hasło będzie pożyteczniejsze, niż zobojętnienie i marazm, jaki wkrada się w masy polonijne.

Partyjne sztaby wyborcze również kręcą nosem na ten polski sposób głosowania. Oto chicagowski „Sun Times” skarżył się zaraz po wyborach, że „polscy kandydaci otrzymują głosy nie tylko zwolenników swojej partii, którzy głosują na całą listę partyjną, lecz prócz tego dostają głosy swoich współrodaków z innej partii” (tak zwane głosowanie „cross-overs”). „Sun Times” twierdzi, że system głosowania na polskie nazwiska „silnie zaznaczył się w wyborach 8 listopada” i ubolewa z powodu „wzrastającej fali Polish-itis” (tj. poszukiwań za polskimi kandydatami). Osobiście jestem zdania, że jest to przesada, co na innym miejscu wykażę. Ale sam fakt, że amerykańskie pismo nad tym się zastanawia uważam dla nas za korzystny.

Tymczasem — ponieważ w podobnym duchu snuły swoje „gorzkie żale” również inne gazety amerykańskie — więc „Dziennik Chicagowski” z 19 listopada 1966 r. tak im odpowiedział: „Już wystąpiły usiłowania przerzucenia na obywateli polskiego pochodzenia odpowiedzialności za przegraną różnych kandydatów demokratycznych”. Dziennik zaprzecza tym sugestiom, tłumaczy, że broń Boże Polaków za to winić nie należy. „Nie patrzcie tylko na nasze błędy” — czytamy w usprawiedliwieniu. Trudno o lepszy przykład jak nie powinna wyglądać riposta polityczna.

Bo, oto jakaś partia (słusznie lub nie) zauważyła, że polskie głosy zadecydowały o klęsce niektórych jej kandydatów. Ktoś narazie pojął wagę polskich głosów, zrozumiał, że te głosy mogły coś zaważyć na szali wyborczej. Co na to powinna odpowiedzieć polska gazeta? Powinna utwierdzić sztab partyjny w tym przekonaniu. Przytaknąć — tak, Panowie macie rację. Straciliście sporo polskich głosów, bo usunęliście z rządu amerykańskiego jedynego Amerykanina polskiego pochodzenia, Gronouskiego, co nam się nie podobało, bo nie zajęliście wyraźnego stanowiska w sprawie uznania przez Amerykę granicy Polski na Odrze i Nysie, bo to i to i tamto. Niech to będzie dla was lekcją na przysz-

łość, że polskich głosów nie kupuje się za puste obietnice i tanie komplementy.

Taką odpowiedź powinna dać prasa polonijna, bo tak myśli cała Polonia. Ale przepraszać usprawiedliwiać się — za co? Po co? Cóż to za grzech popełniła Polonia, że głosowała na Polaków, którzy, w jej opinii, na poparcie zasługiwali? Bo jeśli narazili się Polonii, to znamy przypadki, że potrafiła się od nich odwrócić.

Dokąd nie wykrystalizuje się polska „pression group” z kierownictwem mającym autorytet u obcych i u swoich, dotąd Polonia będzie się rozglądać głównie za nazwiskami polskimi na listach wyborczych, mimo, że ta metoda do najlepszych wcale nie należy. Natomiast niepotrzebne są sumitacje naszych działaczy politycznych, lękających się nagany partyjnej. Chociaż... „Yesman” musi tłumaczyć się z niesubordynacji, nigdy ze swoich poglądów.

Komu Polonia odmówiła poparcia?

Z polonijnego punktu widzenia, uderzającym zjawiskiem w amerykańskich wyborach 1966 r. była manifestacja nieufności do swoich politycznych wodzów. Ten kryzys zaufania najostreż wystąpił w najliczniejszym ośrodku życia polonijnego, tj. w Chicago i w stanie Illinois, gdzie głosy polskie obliczane są na ponad 700.000. Wystąpił też kryzys zaufania w Pensylwanii, gdzie straciliśmy jednego kongresmana, w New Yorku oraz w Detroit, wymieniając tylko główne okręgi. Przeanalizujmy więc sytuację w największym, chicagowskim ośrodku polonijnym.

Słowo o amerykańskiej reżyserii wyborczej. Role są tak podzielone, że wielka prasa amerykańska zajmuje się głównie popieraniem jednej lub drugiej partii, natomiast liczna, ale o małym zasięgu, prasa obcojęzyczna opiekuje się kandydatami i interesami swoich grup etnicznych, w ramach amerykańskiego systemu politycznego. Sztaby partyjne operują dwupoziomowo — w płaszczyźnie socjalno-ekonomicznej zabiegają o poparcie w zespołach gospodarczych, organizacjach zawodowych, społecznych i t.d. oraz w płaszczyźnie narodowościowej — układając się z różnymi grupami etnicznymi.

W istocie ani demokratom ani republikanom nie zależy, by małonakładowa prasa obcojęzyczna dublowała robotę wielkich dzienników ogólnamerykańskich, radia i telewizji i włączała się do batalii programowej. Od prasy obcojęzycznej i od grup etnicznych oczekuje się mobilizacji ich środowisk na rzecz konkretnych kandydatów, przede wszystkim współrodaków. Pytanie stoi na przykład — którego z polonijnych kandydatów popiera dana gazeta lub organizacja polska i to ogłasza się w naszej prasie. Ogłaszają się również kandydaci innych narodowości, ale za własne i grube pieniądze. W pierwszym przypadku mówi się, że gazeta popiera (albo indorsuje) kandydata a w drugim przypadku pod opłaconą reklamą jest wydrukowane objaśnienie — „to jest

ogłoszenie płatne". Prasa, radio i telewizja są z tytułu prawa obowiązane prowadzić rejestr płatnych ogłoszeń wyborczych.

Z tego podziału ról ustalił się zwyczaj, że prasa obcojęzyczna nie zwalcza swoich współziomków, bez względu na to, z jakiej partii kandydują. Ta robota należy do prasy amerykańskiej. Jeśli z obu partii na ten sam urząd kandydują Amerykanie polskiego pochodzenia to gazeta wybiera sobie jednego, głosi jego walory i apeluje o poparcie dlań, ale nie atakuje drugiego współrodaka, by nie obrazić uczuć narodowych Polonii.

Toteż polonijny czytelnik ze zdziwieniem przecierał oczy, kiedy „organ” Zw. Nar. Polskiego, „Dziennik Związkowy”, wystąpił 4 listopada 1966 r. z artykułem wstępnym, w którym pisał, że „należy nam zwrócić baczniejszą uwagę na wszystkich kandydatów, bez różnicy pochodzenia...”. Czytelnik polonijny zna podział ról w amerykańskiej walce wyborczej. Wiedział do tej pory, że reklama „wszystkich kandydatów, bez różnicy pochodzenia” nie należy do prasy obcojęzycznej; każda niemiecka, włoska, czeska czy żydowska gazeta będzie popierała wybór swoich współziomków i w ten sposób będzie służyć amerykańskiej demokracji w myśl jej zasady — „jedność w różnorodności”. Dziwili się Polacy skąd ten wyskok. Jeden z czytelników postawił w liście do redakcji następujące pytanie: „Pokażcie mi w prasie niemieckiej, włoskiej czy żydowskiej jeden artykuł popierający polskich kandydatów, to wówczas was usprawiedliwię”.

Naturalnie miałyby uzasadnienie taki apel gazety polskiej, by głosować bez różnicy na narodowość kandydata, gdyby doszło do układu politycznego np. pomiędzy Polakami, Czechami i Litwinami w sprawie wzajemnego popierania swoich kandydatów. To byłoby działanie politycznie uzasadnione i wyważone. Ale takie jednostronne oświadczenie uznano za ukryty atak pisma polonijnego na polskiego kandydata, którego krępowano się wprost zaatakować. Tak to rozumiała większość Polonii, zwłaszcza, że w tym samym czasie wyborcy polscy w Chicago otrzymali pocztą, do domów list jakiegoś *ad hoc* „Komitetu Polsko-Amerykańskiego” popierającego kandydata obcej narodowości przeciwko kandydaturze Polaka — E. Kucharskiego (do władz lokalnych).

Czego się bała wyraźnie postawić gazeta polska, to uczynił ów Komitet pod którego wezwaniem figurowały podpisy trzech polskich kongresmanów: D. Rostenkowskiego, R. Pucińskiego i J. Kluczyńskiego, podpis jednego redaktora naczelnego tutejszej gazety polskiej i 16 podpisów działaczy polonijnych różnego automatu. Nie trzeba opisywać jak na to zareagowała Polonia. Wystarczy powiedzieć, że E. Kucharski, któremu dawano przed wyborami tylko 36% szansy, zyskał dzięki temu atakowi nań sympatię całej Polonii, zebrał milion głosów (dokładnie 999.217 głosów) i zwyciężył przewagą 100 tysięcy głosów swojego groźnego przeciwnika. Niefortunni członkowie omawianego Komitetu chcieli pomóc swojej partii a w rezultacie przyczynili się do klęski jej murowanego, zdawałoby się, kandydata. Niechcący, przy-

czynili się do wybrania Polaka. Nie powinno się podcinać gałęzi na której się siedzi. Przecież oni sami za chwilę będą apelowali do solidarności narodowej, żądając głosowania na siebie.

Ten milion głosów — w większości polskich — mówi więcej niż może wyrazić pióro publicysty. Można tylko dodać, że Kucharski dwukrotnie przegrał wybory w 1962 i 1964 r. Nigdy więc nie był faworytem Polonii.

Wymowa cyfr

A jak ustosunkowała się Polonia do kongresmanów Rostenkowskiego, Pucińskiego i Kluczyńskiego, którzy niefortunnie zaangażowali się w zwalczanie współrodaka? Wszyscy oni zostali ponownie wybrani do Kongresu, co pozwoliło twierdzić, że Polonia nie wzięła im za złe ataku na Kucharskiego. Mnie jednak fascynuje ten milion głosów zdobytych przez Kucharskiego (nie jestem jego sympatykiem politycznym) i biorę do ręki szczegółowe obliczenia z okręgów wyborczych, by rozwiązać zagadkę zwycięstwa tych polonijnych kongresmanów, którzy wyraźnie narazili się Polonii.

Kongresman D. Rostenkowski (D.) wygrał wybory uzyskując 94 tys. głosów zaś jego republikański przeciwnik J. Leszczyński uzyskał tylko 63 tys. głosów. Niby duży sukces. Ale... właśnie ale... Rostenkowski już był kongresmanem, miał poparcie całej partii, jego okręg nazywano „twierdzą” demokratów a wszystkie przepowiednie wróżyły mu druzgoczące zwycięstwo. Toteż republikanie z góry nie liczyli na sukces i wystawili swojego kandydata raczej *pro forma*. Podali nazwisko autentycznego szofera chicagowskiej taksówki, którego przedtem nikt nie znał z pracy społecznej lub politycznej. Ów pan Leszczyński zgodził się kandydować, ale realnie oceniając swoje szanse nie wydał ani centa na akcję wyborczą i nie tracił nadaremno czasu na spotkania z wyborcami. Nie mógł więc zrozumieć jak to się stało, że aż 63 tysięcy osób oddało na niego swoje głosy. W sztabie republikańców zaś mówią, że gdyby mogli przewidzieć, iż Rostenkowski zaangażuje się w wystąpienie przeciwko Kucharskiemu, to by dali odpowiedniego kandydata na ten okręg i lekko wybory wygrali.

Kongresman J. Kluczyński wygrał wybory z przewagą 19 tys. głosów, gdy w 1964 w tym samym okręgu miał przewagę ponad 30 tys. głosów. Zanotował więc również ubytek głosów polonijnych, nie tak wielki jednak, prawdopodobnie dzięki autorytetowi swojego brata, sędziego Kluczyńskiego, o którego nominację na sędziego federalnego walczyła Polonia chicagowska przez cały ostatni rok i doznała zawodu ze strony senatora Duglasy, który tę kandydaturę utracił, wbrew obietnicom dawanym Polakom.

Kongresman R. Puciński ubiegał się o ponowny wybór w tym samym okręgu i miał za przeciwnika tego samego kontrkandydata J. Hoellena co w 1964 r. Przed dwoma laty zwyciężył go

przewagą 31 tysięcy głosów a w 1966 r. miał już tylko 3 tys. głosów przewagi. Okręg wyborczy p. R. Pucińskiego zaludniony jest przez element polski, niemiecki i żydowski. Sprawdzając wyniki głosowania z poszczególnych dzielnic tego okręgu widzimy, że p. R. Puciński przegrał wybory w dzielnicach czysto polskich — w Cragen, Jefferson Park i Portage Park gdzie zdobył ok. 15 tys. głosów mniej, niż jego przeciwnik. Natomiast w dzielnicach zamieszkałych przez ludność niemiecką i żydowską, tj. Albany Park i Rogers Park, R. Puciński zyskał nad swoim przeciwnikiem 18 tys. głosów. W sumie, dzięki głosom nie polskim zdobył przewagę 3 tys. głosów (całość wyszła 105 tys. dla Pucińskiego i 102 tys. dla Hoellena).

Czwarty kongresman polski z Chicago, E. Derwiński, który nie podpisał listu przeciwko Kucharskiemu zdobył 125 tys. i miał przewagę 77 tys. głosów nad swoim polskim przeciwnikiem J. Rybackim.

O zwycięstwie trzech kongresmanów polonijnych w Chicago można powiedzieć, że było to zwycięstwo z zadatkiem na przyszłą klęskę, gdyby lekcja z wyborów 1966 r. poszła w zapomnienie.

Przeprowadzając analizę polonijnych wyników wyborczych nie mogłem pominąć nazwisk ani wniosków, które odbiegały od tradycyjnego tonu samouwielbienia z jakim spotykamy się w kręgach działaczy polonijnych. Znam dorobek pracy kongresmanów Rostenkowskiego, Pucińskiego i Kluczyńskiego. Nie wszystko z ich działalności aprobuje, ale darzę ich szacunkiem. Chciałbym, aby zrozumieli, że skończył się bezpowrotnie „okres korzystania z małej krytyczności mas polonijnych” — na co skarżył się przed 50 laty M. Szawlewski. Dzisiejszy wyborca polonijny już się orientuje w stosunkach politycznych swojego kraju, na ogół wie czego wymaga i zamiast „yesmenów” na „ski” lub „icz” szuka kandydatów zdolnych jego grupie etnicznej zapewnić wpływ na rządy w mieście, stanie lub kraju — podobnie jak to jest udziałem innych narodowości, składających się na społeczeństwo amerykańskie.

Polska szachownica polityczna, posiada za dużo uwarunkowań czysto personalnych, za dużo zawiści i prywaty, która przejawia się w poszukiwaniu li-tylko korzyści osobistych w życiu publicznym lub traktowaniu stanowisk społecznych jako swojej dożywotniej własności. Trzeba zrozumieć, że masy polonijne coraz głębiej tkwią w życiu całej Ameryki, że bezpowrotnie znikły staro-gettowe bariery i obyczaje. Polonia potrzebuje odnowy swoich kadr kierowniczych, potrzebuje nowych, młodych, zdolnych ludzi, pracujących ofiarnie dla dobra społecznego i z wizją przyszłości; potrzebuje dynamicznego kierownictwa, które nie ułęknie się powiedzenia ogółowi prawdy o tym, że stare formy organizacyjne z czasów getta już się przeżyły a nowych nie zbudowano.

Stany Zjednoczone są wolnym krajem. Obywatel USA może krytykować swojego Prezydenta i jego rząd, administrację federalną i stanową, może mu się nie podobać głowa Kościoła i postę-

powanie hierarchii różnych kościołów. Każdy w Ameryce może się spotkać z krytyczną oceną jego działalności publicznej, z wyjątkiem... przywódców polonijnych. Jeśli polonijny prezes „X” lub polonijny kongresman „Y” zostanie za jakiś czyn czy wypowiedź skrytykowany, to obrażony jest majestat Królowej Polski, zhańbione dobre imię narodu polskiego, popełniony czyn zdrady narodowej, prawdopodobnie z podszeptów lub za pieniądze najgorszych wrogów Polski, którym krytyk haniebnie się wysługuje, aby w ten sposób rozbić jedność polonijną i zasiał ziarno niewiary do swoich opatrznosciowych przywódców. Mochnackiego „terroryzm nierozumu” trwa tu w swojej najdoskonalszej postaci.

Zbudowana jeszcze w XIX wieku struktura organizacyjna Polonii amerykańskiej posiadała dwa ogniwa. Pierwsze ogniwo stanowiły różne organizacje parafialne, działające w zasięgu wpływów polskiego kleru i polskiej parafii. Ich nadbudową było Polskie Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie. Drugim ogniwem były organizacje lokalne, zwane gminami polskimi i skupiały Polaków mieszkających w sąsiedztwie (getta). Nadbudową tego ogniwa był Związek Narodowy Polski. Do tych ogniw nawiązują inne centralne organizacje polonijne.

Ale żyjemy już w drugiej połowie XX wieku. Parafie czysto polskie znikają i ustępują miejsca parafiom mieszanym. Likwidują się getta polskie, w których poczęły się gminne organizacje polonijne. Więc te obie stare struktury organizacyjne trzeba odłożyć do lamusa i pomyśleć o bardziej nowoczesnych formach zachowania więzi przez polską grupę etniczną w USA. Nie należy do pesymistów i jestem przekonany, że Polonia amerykańska, ulegając naturalnym procesom integracyjnym społeczeństwa tutejszego, pamięta o swoim polskim pochodzeniu, pragnie w każdym pokoleniu zachować żywą więź z narodem polskim i jego kulturą, odczuwa praktyczną potrzebę utrzymywania łączności ze swoją grupą etniczną.

Życie nie potwierdziło przypuszczeń, że poszczególne narodowości składające się na społeczeństwo w Stanach Zjednoczonych stopią się jak w tyglu. Okazało się, że jest inaczej, że występuje wśród nich potrzeba nawiązywania do tradycji i kultury kraju swojego pochodzenia. Skłaniam się ku hipotezie prof. Chałasińskiego, że emigranci w pierwszym pokoleniu mają powody do zamykania się w gettach językowych i kulturowych, w drugim, zrodzonym na obczyźnie, odchodzą od języka i tradycji przodków, starając się jak najsilniej zespolić ze społeczeństwem amerykańskim, co jest warunkiem ich awansu społecznego, zaś w trzecim pokoleniu, które posiada już ugruntowane poczucie swej „amerykańskości” rodzi się pragnienie wykazania własną tradycją kulturową, odradza się zainteresowanie krajem pochodzenia.

Polonia amerykańska w dzisiejszej postaci to przede wszystkim drugie i trzecie pokolenie emigrantów, których nie da się wtłoczyć w stare ramy organizacyjne ani poddać słabemu kierownictwu. Wybory amerykańskie 1966 r. były tego dobrym potwierdzeniem.

Wybory w stolicy polonijnej w Chicago

Pamiętnym wydarzeniem w życiu Polonii były wybory na mayor m. Chicago, przeprowadzone 4 kwietnia 1967 r. Polonia w skali ogólnoamerykańskiej reprezentuje ok. 3% wyborców, zaś w Chicago jest najliczniejszą grupą polską i reprezentuje ok. 20% wyborców. Stąd jej ambicje do rządzenia w mieście.

W rb. kandydatem Demokratów był dotychczasowy, energiczny mayor Daley, Irlandczyk z pochodzenia. Alternatywa więc dla Polonii była następująca: — wystawić odpowiedniego kontrkandydata od Republikanów albo zrobić układ polityczny z Daley'em. Według „Dziennika Chicagowskiego” z 7. 4. 67., Polonia miała odpowiedniego kandydata, znanego ogółowi. „B. Adamowski — czy kto chce czy nie — musi być uważany i uznany za najwybitniejszy umysł polityczny w Partii Republikańskiej, w powiecie i w mieście”. Jasno, wyraźnie było napisane.

Lecz o dziwo, kandydatem republikańskim na mayora m. Chicago zostaje Polak J. Waner-Wojnarowski o którym „Dziennik Związkowy” z 7. 4. 1967 r. pisze, że jest „mało znany ogółowi”. Niepowodzenie temu kandydatowi przepowiadał również „Dziennik Chicagowski” z 28 marca rb. pisząc: — „Eksperci polityczni są zdania, iż sytuacja Wanera jest rozpaczliwa, że narazi ona również Polonię na dużą kompromitację polityczną”. Tu trzeba wyjaśnić, że Republikanie, po zatwierdzeniu kandydatury Wanera-Wojnarowskiego, spostrzegli się, iż jest to słaby kandydat, bez szansy na zwycięstwo, wobec czego wstrzemięźliwie finansowali jego kampanię wyborczą.

Na temat tej wstrzemięźliwości Republikanów „Dziennik Chicagowski” z 27 marca 1967 r. pisał: — „Jest to tragizm jednostki, która w najlepszej wierze i z najlepszymi intencjami postawiła się do dyspozycji swojej partii a w rezultacie stała się igraszką w rękach klik partyjnych manipulantów, którzy z całym cynizmem i bez cienia skrupułów zrobili z niej przysłowiowego kozła ofiarnego”. W tych warunkach, cytujemy dalej: — „Gdy istnieje sytuacja beznadziejna”... gdy... „republikanie wmanipulowali swojego kandydata w rolę kozła ofiarnego, jak też chcą wmanipulować ogół wyborców polskiego kandydaturę Daley'a”.

Wynik wyborów był następujący: Daley dostał wybrany 789 tys. głosów a Polak Waner dostał tylko 272 tys. głosów, nie zyskując poparcia u ogółu Polonii.

Oczywiście, że sporo winy spada na Republikanów, którzy mając kandydata z autorytetem i znanego, B. Adamowskiego, wyznaczyli słabego Waner-Wojnarowskiego. Republikanie bronią się jednak twierdząc, że tego kandydata narzuciła im Polonia (!).

I tu niespodzianka. Okazało się (czym się publicznie nie pochwalono), że to wydawcy „Dziennika Chicagowskiego” byli inicjatorami wniosku podpisanego przez 25 osób, domagającego się wystawienia kandydatury Wanera i oni właśnie poszli na czele delegacji z tym żądaniem do Republikanów, twierdząc, że on jest najlepszym kandydatem Polonii.

Jak to? — nasuwa się pytanie. Przecież „Dziennik Chicagowski” zapowiadał, iż Waner-Wojnarowski „narazi Polonię na dużą kompromitację polityczną” (28. III. 67). Tenże „Dziennik Chicagowski” oskarżył Republikanów, o „cynizm bez cienia skrupułów” (27. III. 67). I tenże sam „Dziennik Chicagowski” twierdził, że B. Adamowski jest „najwybitniejszym umysłem politycznym u Republikanów”.

Niestety, to wszystko prawda. Ten sam „Dzien. Chicagowski” w osobach swoich wydawców, wysunął kandydaturę Wojnarowskiego, po czym umył ręce i poparł Daley’a, oskarżając innych o cynizm.

Wojnarowski jest bogatym przedsiębiorcą i podobno hojnym. Demokraci również nie żałowali środków na wybory..

Nie dziwny się więc ambitnemu p. Wojnarowskiemu, że uważa się za zdradzonego przez... Republikanów również.

A dla nas, jest to smutny dowód głębokiego kryzysu w stosunkach między masami polonijnymi i przywództwem Polonii.

Edward PUACZ

Polski misjonarz wśród Hotentotów

Jako małe dzieci marzyliśmy o dalekiej i jakże wówczas egzotycznej Afryce. Ja chciałem mieć złoty piasek a moja siostra Marysia pióra strusie. Pisaliśmy o to do naszego stryja który był misjonarzem gdzieś w Afryce, w Heirachabis.

Zamiast złotego piasku stryj Stach czasem przysyłał nam w liście fotografie pustyni porośniętej krzakami, na której był widoczny wóz z budą, zaprzężony w 6 par mułów. Otrzymywaliśmy też zdjęcia kościółka na misji z gromadą czarnych dzieci.

Po przeszło pół wieku losy wojny zagnały mnie do Afryki południowej, tej wymarzonej krainy złota i strusi. I odbyłem z żoną pielgrzymkę do Misji w Heirachabis gdzie leży pochowany nasz stryj.



Stanisław Poraj-Królikowski urodził się we Lwowie 14 listopada 1866 roku jako syn Feliksa i Joanny z domu Michalskiej. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił na lwowską Politechnikę lecz wkrótce warunki finansowe zmusiły go do przyjęcia pracy w Lwowskiej Dyrekcji Kolei Państwowych.

W roku 1889 powziął decyzję poświęcić się życiu duchownemu i wyjechał do Szwajcarii z zamiarem wstąpienia do Zakonu Ojców Kapucynów. Za namową przyjaciół zmienił jednak swoją decyzję i we Francji, w Troyes, wstąpił do Zgromadzenia ks.ks. Salezjanów, gdzie po ukończeniu nowicjatu w roku 1894 został wyświęcony na księdza. Dzięki swym specjalnym zdolnościom administracyjnym pracował naprzód w Zakładzie im św. Bernarda w Troyes, następnie w szkole na wyspie Naxos w Grecji, a w roku 1895 został wysłany jako rektor do szkoły prowadzonej przez księży Salezjanów w Walmer, hrabstwo Kent, w Anglii.

W okresie tym zajmuje się sprawami Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, odprawia msze św. i udziela porady duchownej nielicznym Polakom którzy odwiedzali Misję. Jednak zajęcia rektorskie zmuszają go do oddania się całkowicie pracy wychowawczej w Walmer.

W Księdze Pamiątkowej Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, wydanej w roku 1944, na stronie 14 czytamy:

„W momencie założenia Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, kaplica znajdowała się wciąż jeszcze przy Globe Road a nabożeństwa w niej odprawia ks. Stanisław Królikowski. Dnia 25 sierpnia 1895 zostaje odprawione tam ostatnie nabożeństwo niedzielne a następnie kaplicę likwiduje się. Co się stało z księdzem Królikowskim nie wiadomo. W każdym razie nie spotykamy więcej o nim wzmianki”.

Na stronie 16 w tym samym wydawnictwie czytamy:

„Rok 1895. Dnia 21. 4. 1895 ksiądz Bronikowski ostatni raz odprawia nabożeństwo a następnie niespodziewanie wyjeżdża i pozostawia kaplicę bez opieki. Od dnia 2 czerwca 1895 do dnia 25 sierpnia 1895 nabożeństwa odprawia i posług religijnych udziela ksiądz Stanisław Królikowski. Po jego odejściu kościół przy Globe Road zostaje zlikwidowany a rzeczy przeniesione do SS. Nazaretanek przy Mill Road”.

W roku 1904 ksiądz Królikowski uzyskał obywatelstwo brytyjskie w ten sposób unikając obowiązku służby wojskowej w Austrii.

Na prośbę swego krewnego, księdza biskupa Teodorowicza, za zgodą władz Zgromadzenia wyjechał do Lwowa gdzie objął kierownictwo Seminarium duchownego. Niestety rozwijająca się choroba płuc uniemożliwiła mu dalszą pracę a lekarze przepowiadają mu najwyżej kilka miesięcy życia. Wyjeżdża do Włoch gdzie w Albano, w zakładzie księży Salezjanów po mału przychodzi do zdrowia.

Zgromadzenie księży Salezjanów założone w roku 1871 przez księdza Ludwika Brisson, w roku 1882 uzyskało od papieża Leona XIII zatwierdzenie swych reguł pod warunkiem, że członkowie Zgromadzenia poświęcą się pracy misyjnej „w heretyckich i pogańskich krajach”, i zostało podporządkowane św. Kongregacji Propagandy Wiary w Rzymie.

W roku 1882 ksiądz Jan Maria Simon został wysłany jako

pierwszy misjonarz ze Zgromadzenia księży Salezjanów do Afryki, celem przejścia misji w Pella, a w roku 1894 po wyświęceniu na biskupa, mianowany Wikariuszem Apostolskim w Pella.

Ze względu na wzrost pracy misyjnej, w roku 1908 Kongregacja Propagandy Wiary utworzyła nową Prefekturę Apostolską w Heirachabis, podporządkowując jej trzy misje na terenie niemieckiej Płd. Zach. Afryki: Heirachabis, Warmbad i Gabis. Pierwszym Prefektem Apostolskim Wielkiego Kraju Namaqua został mianowany ksiądz Królikowski, który w czasie swego pobytu we Włoszech powrócił do zdrowia.

Z podróży do Heirachabis zachowały się listy pisane z drogi do matki w których tak opisuje wrażenia:

„Dziś rano (14. 7. 1908) przyплыliśmy do Capetown, a jutro rano płyniemy dalej a raczej bliżej, gdyż jedziemy do Port Nolloth, 36 godzin jazdy przed Cape Townem, lecz tam duże statki nie stoją. Nasz statek odpływa już o 5 rano więc dziś wieczór po kolacji idziemy na statek, gdzie będziemy spali spokojnie.

Cape-Town ładne miasto, zupełnie europejskie i bardzo mili ludzie. Miałem dla nas razem 24 skrzyń i kufrów, na cle nie otwierali, jako księdzu zupełnie wierzyli i oclili tylko to, co im powiedziałem, swoją drogą prawdę. Ksiądz Biskup tutejszy ogromnie łaskaw, sam dla mnie chodził do banku aby złożyć i zmienić moje pieniądze i dał mi list do właściciela tego hotelu, katolika. Hotel wspinały, GEORGE we Lwowie wobec niego to dziura. A co najlepsze, że od księży katolickich, misjonarzy i siostr nie chcą ani centa za całe utrzymanie z wiktem. Właśnie spotkałem nasze dwie siostry z mojej Misji, które tu przyjechały do doktora okulisty. Są już dwa tygodnie w hotelu i jeszcze będą tydzień i to wszystko za darmo. Jestem zupełnie zdrow, podróż morską bardzo dobrze mi zrobiła. Dr Borzecki mówił mi jeszcze w zimie, że gdyby było możliwe to by mi radził odbyć dłuższą podróż morską, gdyż nie ma nic lepszego na płuca.

W czwartek rano będę w Port Nolloth a potem mam 8 godzin jazdy koleją do O'Okiep i trzy godziny wołami do Matyaskloof gdzie zostawię Siostry. Tam może zatrzymam się dwa dni i tam czekają na mnie listy od naszego Biskupa. Prawdopodobnie stamtąd pojadę do Niego do Pella, 5 dni wołami, no i nareszcie do mojej misji w Heirachabis. Z Pella 8 dni wołami i będzie koniec.

Tutej pełna zima lecz widać to po tym, że dni są krótsze jak i u nas w zimie i noce chłodniejsze, lecz jest zupełnie ciepło jak u nas w lecie. Jest to właściwie, jak tu nazywają „sezon deszczowy”, gdyż w lecie nie ma deszczy i wskutek gorąca jest tak mało zieleni”.

W następnym liście pisanym już z Pella, ksiądz Królikowski tak opisuje swoją dalszą podróż:

„W zeszły wtorek 28 lipca wyjechałem z Matyaskloof o 10 rano. Ksiądz Biskup polecił jednemu z naszych Ojców towarzyszyć mi w mej pierwszej podróży przez pustynię. Wagon kryty jest ciągniony przez 8 mułów i jest dwóch ludzi do powożenia. Boer do lejców i Hottentot do bata. We wagonie jedzie się na leżąc gdyż nie ma siedzeń. Mielśmy materace, poduszki, skóry i koce do okrycia. I wszelkiego rodzaju zapasy: 3 beczki wody do picia, 2 flaszki koniaku, 6 flaszek piwa za 6 centów, 10 funtów surowej baraniny, 1 udo ba-

ranie już upieczone, kawa, herbata, mleko kondensowane, sery i konfitury a więc wspaniałe pożywienie.

Jechaliśmy aż do piątku w południe. Naturalnie śpi się w ubraniu. Trzy razy dziennie stawaliśmy na popas, zapalali ogień i przygotowywali jedzenie. Główny odpoczynek na noc był od 10.30 do 4.30 rano. Czas był bardzo ładny, noce zaś ciepłe. Dnie są gorące ale ranki przed wschodem słońca, aż do 7.30 bardzo zimne. Jednym słowem podróż przyjemna i nie bardzo męcząca. Jedzie się prawie 3/4 drogi noga za nogą z powodu ogromnych piasków. Czasem koła grzęzną aż do połowy w piasku. Nic nie widać, ani ludzi ani zwierząt, tylko zupełnie nagie góry i wokoło jak oko sięga — morze piasku. Pustynia pokryta małymi, szarymi krzakami które są bardzo dobre do palenia, a w razie potrzeby służą jako pożywienie dla wołów i mułów.

Pella jest siedzibą naszego Biskupa, Ojca Oblata który jest przełożonym części angielskiej naszych misji. Piękna oaza w pustyni, kościół, nasz dom i Sióstr, szkoła i tp. a wszystko zbudowane przez naszych Ojców. Nawet sami robili cegły. Jutro z Księdzem Biskupem jadę do ostatniej misji w części angielskiej nad rzeką Orange, granicy naszego terytorium. Jak długo zostanę w Pella nie wiem, gdyż Ksiądz Biskup chce ze mną jechać dalej, aby oddać mi misję niemieckie, razem trzy, ale jeszcze nie wiem czy będzie mógł pojechać. Poczta stąd odchodzi i przychodzi co dwa tygodnie. Urząd pocztowy jest u nas i przez nas prowadzony. Jestem zupełnie zdrow i wiele zyskałem na wadze. Jak tak dalej pójdzie to będę kolosem jak przyjadę do Lwowa”.

W roku 1914 z chwilą wybuchu wojny, pomimo że był obywatelem brytyjskim ksiądz Królikowski pozostał na misji, na której zostali jedynie zakwaterowani żołnierze niemieccy z pobliskiego garnizonu w Ukamas. Dopiero gdy w kwietniu 1915 wojska Unii Płd. Afrykańskiej pod dowództwem generała Botha rozpoczęły działania wojenne, zakończone zajęciem całej niemieckiej Płd. Zach. Afryki, ksiądz Królikowski razem z innymi członkami misji oraz koczującymi w pobliżu Hottentotami wycofał się do pobliskiego Keetmanshoop i tam 12. 4. 1915 był obecny gdy burmistrz miasta, Herr Bruno Müller, poddał miasto wojskom Unii.

Po zakończeniu działań wojennych pozwolono mu powrócić na Misję którą zastał całkowicie ograbioną. Nie uszanowano ani ornatów ani obrazów kościelnych.

W roku 1922 szczep Bondelswart koczujący w pobliżu Gabis zbuntował się przeciwko lokalnej administracji, która nie chciała dać swojej zgody na powrót do szczipu jego przewodcy Abrama Morris'a. W roku 1906 poprzednia władza niemiecka wydalila Morris'a do Unii, skąd powrócił bez zgody Administratora.

Tereny zajmowane przez Bondelswart zostały okrążone przez wojsko i policję Unii, lecz przed rozpoczęciem akcji, pan Hofmeyer, administrator Południowo-Zach. Afryki wysłał superintendenta Noothout wraz z księdzem Królikowskim do szczipu, z żądaniem wydania Morris'a, celem ukarania go przez sąd.

Ksiądz Królikowski dwukrotnie wyjeżdżał do Bondelswart, starając się nakłonić ich starszych do zaniechania walki z prze-

ważającym przeciwnikiem. Następnie wycofał się ze swojej roli pośrednika a rebelia została krwawo stłumiona.

Rolę księdza Królikowskiego w rewolcie opisał bardzo barwnie R. Freislich w ostatnio wydanej książce pt. „The last Tribal War”.

Książd Królikowski tak pisał do rodziny:

„3 czerwca 1922. Od trzech tygodni mamy znowu wojnę w mojej Prefekturze, tym razem nasz rząd występuje przeciwko naszym Hottentotom i to właśnie w rejonie gdzie mam trzy misje: Warmbad, Gabis i Heirachabis. Koło Gabis zaczęły się potyczki, ja dwa razy jeździłem do naczelnika Hottentotów aby wojny uniknąć lecz niestety nie udało mi się. Taka wojna może potrwać parę lat, ostatnia wojna Niemców z Hottentotami trwała 3 lata a przy końcu Niemcy mieli 25.000 żołnierzy a krajowcy tylko 2.000 ludzi i tak długo się trzymali... 19. 12. 22 (ostatni list przed śmiercią) ... U nas teraz bardzo złe czasy, wielka bieda tak dla krajowców jak i Europejczyków. Wczoraj po przerwie 18 miesięcy mieliśmy trochę deszczu lecz to nie wystarczyło. Bydło marnieje, barany giną jak muchy...”.

W ciągu lat choroba płuc robiła swoje postępy i Msgr Królikowski często miewał krwotoki, lecz nie przestawał w swej pracy misyjnej.

23 stycznia 1923, po silnym krwotoku, mając przecucie bliskiej śmierci zdał swojemu pomocnikowi ks. Ederowi agendy i niezafatwione sprawy. Zmarł 26 stycznia po otrzymaniu Ostatnich Namaszczeń i został pochowany na cmentarzu misyjnym wśród Hottentotów dla których pracował przez 15-lat.



Korzystając z dorocznego urlopu, postanowiłem wraz z żoną odwiedzić Misję w Heirachabis.

Po wyjeździe z miasta jesteśmy na National Road z Johannesburga do Cape Town. Ruch samochodowy bardzo ożywiony, toteż nic dziwnego że Afryka Południowa procentowo ma najwyższą ilość wypadków samochodowych na świecie. Według statystyk urzędowych, w roku 1964 na drogach zginęło 4981 osób a 45.618 osób zostało rannych.

Prawie każda mijana miejscowość ma jakieś historyczne znaczenie: Miasto Klerkdorp założone w roku 1839 było pierwszym osiedlem Burów w Transvaalu. We Wolmeranstad jest pierwszy dom zbudowany w Transvaalu przez białych obecnie uznany jako pamiątka historyczna.

Na nocleg zatrzymujemy się w m. Blumhof tak nazwanej od Jana Bluma, przewodcy bandy grasującej w okolicy — na szczęście przed laty.

Następnego dnia rano przejeżdżamy przez Kimberley, słynne z kopalni diamentów i z oblężenia miasta przez wojska Burów w latach 1899-1900. Zwiedzamy „The Big Hole”, kopalnię diamentów która jest największą i najgłębszą kopalnią wykopaną ręką-

mi ludzkimi. Wykop ma około 15.000 stóp średnicy i pokrywa obszar 28 akrów. Z kopalni tej w ciągu 44 lat wydobyto 15 milionów karatów diamentów, lecz w roku 1915 z powodu wyczerpania złoża diamentów unieruchomiono ją.

Dojeżdżamy do Hopetown, gdzie w roku 1867 znaleziono największy wówczas diament, „The Star of South Africa”, który miał 831 1/2 karatów.

W Hopetown musimy niestety opuścić tarmak i do Prieskijechać drogą żwirowaną. W istocie droga niezła ale monotonna, a na przestrzeni prawie 100 mil nie ma żadnej miejscowości a co gorzej stacji benzynowej. W Prieska jesteśmy z powrotem na tarmaku i po 160 milach dojeżdżamy do położonego nad rzeką Orange Upingtonu, gdzie nocujemy.

Nazajutrze jest niedziela 29 sierpnia. Kierownika Misji w Heirachabis, ks. Tempera uprzedziłem listownie, że przyjedziemy około 10 rano więc trzeba się spieszyć. Po wyjeździe z Upingtonu, droga prowadząca do Południowo-Zachodniej Afryki nie jest tarowana, żwir i często bardzo zdrażliwy nawiany piasek. Mile uciekają zwolna, lecz jest ich niewiele, do granicy tylko 80. Przy drodze widzimy małą tablicę z napisem „SWA Frontier-NAKOB”. Jeszcze 33 mile i wreszcie widzę tabliczkę z napisem „HEIRACHABIS”. Więc jesteśmy na miejscu.

Widać z daleka wieżę kościoła, wiatraki wodne, budynki wśród zieleni lecz naokoło kamienista pustynia, porośnięta gdzieniegdzie kępami trawy i krzaków. Z wieży kościelnej powiewają chorągwie w kolorach papieskich, a przed głównym budynkiem misyjnym widzę tłum odświętne ubranych ludzi. I ku mojemu zdziwieniu — mały samolot typu CESNA. Śmiejąc się mówię do żony: Ale nas witają.

Wychodzimy ze samochodu i idziemy ku Misji. Naprzód podchodzi do nas ksiądz Temper, witając mnie serdecznie w śpiewnym języku Schuberta i Straussa. Rodem z Puchau w Dolnej Austrii ocenia mój wiedeński akcent jeszcze jako dobry.

Za nim widzę fiolety biskupie. Wiem że jest to Ksiądz Biskup E. J. SCHLOTTERBACK O.S.F.S. obecny Wikariusz Apostolski z Keetmanshoop, gdyż tak obecnie przemianowano dawną Prefekturę Apostolską Wielkiego Kraju Namaqua. Od miesiocy jestem z nim w kontakcie listownym i Ksiądz Biskup uprzejmie dał mi szereg informacji o mym śp. stryju oraz o Wikariacie, tak że witamy się jak starzy znajomi.

Dowiaduję się, że Ksiądz Biskup przed swoim odlotem do Rzymu na IV. Sesję Soboru postanowił odwiedzić jedną ze swych największych Misji, no i jak mi sam oświadczył, przy tej okazji spotkać się ze mną. Pilotując sam awionetkę otrzymaną w darze od wiernych w Ameryce, może w ten sposób szybko odwiedzać misje, rozrzucone na przestrzeni około 100.000 mil kw. Przylatując do Heirachabis zaoszczędził mi żmudnej jazdy 260 mil do Keetmanshoop, którą to przestrzeń przeleciał w niespełna 2 godziny.

Poznaję jeszcze dwóch członków Misji: księdza Ferdynanda

WOSKA oraz brata Hugo. Witam się ze Siostrą Przełożoną Jeanete Agnes, O.S.F.S. Szwajcarką, która ma do pomocy na Misji 4 siostry zakonne, dwie Austriaczki oraz jedną kolorową i jedną Hottentotkę, które ukończyły seminarium już w S.A.

Tegoż rana, Ksiądz Biskup bierzmował 90 chłopców i dziewcząt z okolicy. Wszystkie dzieci czysto ubrane w białe sukienki i ubranka. Nie do wiary. Dzieci Hotentotów, którzy przed laty chodzili prawie nago po pustyni.

Po przywitaniach, idziemy z żoną na z dala widoczny cmentarz. Za ogrodzeniem są dwie kwatery, jedna dla zmarłych członków misji, a druga gdzie chowają kolorowych i Hottentotów.

Widzę skromny grób z kamiennym krzyżem, na którym jest umocowana tablica z napisem — ku mojemu zdziwieniu — po holendersku:

Hier Rus

eerwarde Vader Stanislaus Krolikowski O.S.F.S.
gebore 14 November 1866 — oorlede 26 Januarie 1923

Obok drugi grób z napisem:

Hier Rus

eerwarde Vader Matias Eder O.S.F.S.
gebore 31 Januarie 1892 — oorlede 18 Januarie 1956

Ksiądz Eder był długoletnim pomocnikiem a następnie sukcesorem Mgr Królikowskiego, jako Prefekt Apostolski Wielkiego Kraju Namaqua.

Odmawiamy krótką modlitwę i myśli moje biegną do dalekiego Lwowa, którego stryj nasz, mimo swych marzeń, już nigdy nie zobaczył. I nasuwa mi się pytanie — czy ja kiedy zobaczę Ukochane miasto Lwów?



W chłodnym refektarzu misyjnym, przy godnym posiłku przygotowanym przez Siostry, słucham z zainteresowaniem opowiadań obecnych na temat „Starego Prefekta” der Alte Prefekt jak go obecni nazywają w potocznej mowie. Nie ze względu na Jego wiek, lecz ponieważ był on Pierwszym Prefektem który mieszkał przez 15 lat na Misji.

Po śmierci jego, Prefektem Apostolskim został zamianowany przez Rzym ks. Eder, lecz kiedy w roku 1930 Prefekturę w Heirachabis przemianowano na Wikariat Apostolski w Keetmanschoop, Wikariuszem mianowano ks. Józefa Klemana, który później został biskupem, a Ksiądz Eder został na Misji w Heirachabis, jedynie jako jej kierownik.

W roku 1956 Wikariuszem Apostolskim został mianowany Ksiądz Biskup E. J. SCHLOTTERBACK, O.S.F.S., rodem z Fildelfii, wychowany w szkołach gdzie miał kolegów Polaków i dlatego znający kilkanaście słów polskich.

Wikariat Apostolski Keetmanschoop, jak mnie objaśnia Ks.

Biskup, obejmuje 108.146 mil kwadratowych na których mieszka 12 tysięcy wiernych. Na misjach pracuje 28 księży Salezjanów oraz kilkanaście Sióstr Salezjanek, które prowadzą 15 szkół powszechnych z 1650 uczniami oraz 20 domów charytatywnych, w których opiekują się 1300 wiernymi, Hottentotami i kolorowymi.

Najwięcej ciekawych wspomnień miał ksiądz Woska, rodem z Wiednia, który przyjechał na misję w październiku 1923, więc w kilka miesięcy po śmierci Starego Prefekta. Zajmuje się on jedynie sprawami religijnymi, odprawia Msze święte oraz przygotowuje do święceń młodych kleryków, gdy tacy zostaną przysłani na Misje jako przyszli misjonarze.

Brat Hugo, Czech z urodzenia, jest na misji 30 lat. Będąc z zawodu budowniczym mimo swych 68 lat osobiście zajmuje się nadzorem i budową budynków misyjnych.

Najmłodszym z tego zespołu jest ksiądz Temper, lat 58, który na misji w Heirachabis jest tylko 9 lat lecz w Płd. Zachodniej Afryce od 22 lat. Jest on odpowiedzialny za administrację Misji.

Gdy w roku 1908 Mgr Królikowski przybył na Misję zamieszkał w małym domu, w jednym pokoju, mając za sąsiada ks. Edera. Nauk udzielali na ganku przed domem. Kazania i nauki były głoszone po niemiecku i holendersku, następnie tłumaczone na język Nama przez tłumacza Hottentota.

Po południu zwiedzamy zabudowania misyjne, szkołę która się mieści w dawnym kościółku oraz szpitalik prowadzony przez Siostry Salezjanki. No i gospodarstwo, gdzie dla własnego użytku hodowane są kury, świny i krowy. Jest też własna piekarnia i wędzarnia a dla potrzeb miejscowych — lokalny sklepik.

Przed wieczorem pomagamy Księdzu Biskupowi w wystartowaniu jego awionetki, ku ucieście dzieciaków z pobliskiej osady Hottentotów.

Wieczorem idziemy na nieszpory. Hottentoci mają wrodzony dar harmonii i zdolności wokalne. Z przyjemnością słuchamy ich śpiewów w języku Nama. Objaśniają nas, że nabożeństwa i kazania w ciągu jednego tygodnia są wygłaszane w języku Nama a w następnym tygodniu w języku holenderskim. Za czasów administracji niemieckiej był taki sam porządek z tą różnicą że zamiast w języku holenderskim modlono się po niemiecku. Ks. Temper mi mówi: „Jesteśmy misją katolicką więc musimy bardzo się liczyć z administracją”.

Cichy, spokojny wieczór. Siedzimy na werandzie, w nowym obszernym Domu misyjnym, gdzie mieszkają księża oraz przejezdni goście. Ksiądz Woska, godny i przemyśły typ księdza-misjonarza, opowiada nam jak to ongiś bywało. Jak na Misji nie było elektryczności ani ciężarówek.

Na zakończenia dnia ksiądz Temper zaprasza mnie do swej kancelarii farmerskiej, prowadzonej oddzielnie od biura Misji i krótko ale treściwie zaznajamia mnie z pomocą planów i wykazów z historią Misji.

Ksiądz Biskup Simon w historii swego życia w Płd. Zach. Af-

ryce wydanej pt. „Biskup Hottentotów, wspomnienia z lat 1882-909” opisuje jak w roku 1896 zgłosił się do niego w Pella niejaki Wheeler, Anglik, mieszkający od lat w Heirachabis, który z powodu złego stanu zdrowia musiał zaprzestać dalszej gospodarki i chciał wyjechać z Afryki. Zaproponował on sprzedaż swoich dwóch farm: Heirachabis i Nabas, łącznie 100.000 akrów za 7.500 dolarów. Po długich pertraktacjach, 15. 8. 1896 podpisano akt kupna obu farm za 6.500 dolarów, zapłaconych przez Zgromadzenie Ks. Salezjanów we Francji. W ten sposób posiadając prawo własności księża Salezianie uzyskali prawną podstawę swego bytu w Płd. Zachodniej Afryce, należącej wówczas do Niemiec.

Farmy były dzierżawione 6 miejscowym farmerom, którzy za małą opłatą mieli doglądać pastwisk i źródeł wody. Misja mieściła się w małym domu zajmowanym uprzednio przez Wheelera. Z czasem zbudowano kościółek mogący pomieścić jedynie niewielką grupę wiernych.

Jednym z pierwszych kierowników Misji w Heirachabis, do roku 1907 był ks. Malinowski, Polak, który za prowadzenie rokowań między zrewoltowanym szczepelem Hottentotów a niemiecką administracją otrzymał od cesarza Wilhelma niemiecki Order Korony i Order Czerwonego Orła.

HEIRA w języku Nama znaczy guma, CHABIS znaczy miejsce, czyli Heirachabis oznaczało „miejsce gumy”; pochodzi to od licznych drzew gumowych z których Hottentoci, nacinając odpowiednio pień, otrzymywali gumę dostarczaną następnie do Misji. Większe ilości gumy wywożone do pobliskiego Upington i sprzedawane hurtownikom.

W roku 1882 Herr Luderitz, kupiec z Bremy, osiedlił się w miejscu zwanym obecnie Luderitz-Bay, i sprowadził z Persji i z Kaukazu barany-karakuły, których hodowla w ciągu następnych lat stała się największym źródłem dochodu dla miejscowych farmerów.

Celem uzyskania kapitału obrotowego, w latach 1923-25 sprzedano farmę Nabas, około 40.000 akrów, zostawiając jedynie farmę Heirachabis. Rząd mandatowy Płd. Zach. Afryki uważa Heirachabis za farmę i stosuje do niej wszystkie przypisy o rolnictwie. Zarządził, że wszystkie farmy muszą być ogrodzone płotem drucianym. Musiano wybudować 105 mil parkanu drucianego, co kosztowało 22.000 funtów. Aby pokryć ten wydatek, sprzedano dalszych 12.000 akrów, tak że obecnie Heirachabis ma tylko 47.000 akrów, na których hodzi się 1.200 baranów. Zbudowanie około 30 pomp wodnych kosztowało też wiele. Farma ma własną elektrownię, warsztaty oraz trzy ciężarówki. Ale najważniejszy majątek to barany-karakuły. Ksiądz Temper, który musiał przejść specjalny kurs hodowli karakułów, pokazywał z dumą karty tożsamości oraz *pedigree* swych ulubieńców, które kosztowały czasem do 300 funtów. Karakuły to największy majątek nie tylko Misji lecz i całego Wikariatu, gdyż co roku po zakończeniu rachunków i zapłaceniu podatków ksiądz Temper część dochodów Misji przekazuje do Wikariatu, który w miarę

potrzeby wspomaga inne Misje oraz używa funduszków na cele Zgromadzenia.

Następnego dnia po wczesnej mszy świętej i śniadaniu żegnamy miłych gospodarzy dziękując im za serdeczne przyjęcie jakie nam zgotowali. Ostatnia wizyta na cmentarzu i ruszamy w powrotną drogę do Johannesburga.

Po przyjeździe do domu licznik na samochodzie wykazał do datkowych 1.800 mil. Ot, taka mała afrykańska wycieczka.

R. KRÓLIKOWSKI

Johannesburg, grudzień 1965.

Powyższe wspomnienie o polskim misjonarzu wśród Hotentotów — którego pamięć i osiągnięcia do dziś żyją w Afryce Południowej — nasunęły nam dość smutne refleksje na temat zmarnowanych możliwości polskiej akcji misyjnej.

Jeszcze na początku XX wieku Kościół Polski był bardzo dynamiczny i „uniwersalny”. Polscy księża szli nie tylko z emigracją zamorską, ale można ich było spotkać w akcjach misyjnych na całym świecie — od Chin do Afryki.

W okresie niepodległości wielki wysiłek w akcję misyjną włożył ks. Kardynał Hlond i jego działalność na tym polu zaczynała, bezpośrednio przed wojną, dawać bardzo obiecujące wyniki.

Niestety, po drugiej wojnie światowej zostały one prawie całkowicie przekreślone. Powodem tego był nie tylko rząd komunistyczny, który z przyczyn doktrynalnych, a przede wszystkim z braku inteligencji, nie próbował nawet naśladować już nie tylko polityki rządu francuskiego z okresu prześladowań religijnych we Francji — kiedy to nawet Combes rozumiał ogromne znaczenie roli zakonów i akcji misyjnych — ale nawet polityki Związku Sowieckiego, który umie wykorzystywać prawosławie dla swoich celów.

Zaniedbano rolę Kościoła wśród emigracji, gdzie na wielu terenach parafia jest główną, jeśli nie jedyną, więzią społeczną; zaniedbano Afrykę, Amerykę Południową czy Azję, gdzie w swoim czasie, np. w Wietnamie, było olbrzymie pole do działania dla polskich misjonarzy. Winę ponosi tu również polska hierarchia kościelna, ograniczająca się do wąsko pojętego terytorium polskiego.

Jewtuszenko i inne sprawy

Chociaż w dwumilionowym i prozaicznym Melbourne nie było czasu na reklamę tej *impromptu* zorganizowanej imprezy, ponad 7.000 ludzi przyszło do Festival Hall'u by zobaczyć i usłyszeć rosyjskiego poetę Jewtuszenkę. Czyżby tylu było zwolenników poezji w Melbourne? Skądże. A jak było, postuchajcie!

Jewtuszenko przybył do Australii na zaproszenie organizatorów Czwartego Adelajdzkiego Festiwalu Sztuki. Wprawdzie Królowa-Matka uprzejmie zapew-

niała mieszkańców Adelajdy, że ich festiwal to jedno z ważniejszych wydarzeń w dziedzinie kultury i sztuki w skali światowej, jednak trzeba przyznać że adelajdzkie festiwale, zupełnie drugorzędne oczywiście, poprawiają się stale i może kiedyś z nich będziemy mieli pociechę. Główną atrakcją ostatniego festiwalu był występ Jewtuszenki i przyjazd London Symphony Orchestra, co już samo w sobie świadczy o braku jakiegoś zdecydowanego charakteru i oblicza.

Na festiwal w Adelajdzie, jako prywatny widz, wybrał się również p. Reimer, prezes melburneńskiej Kadimy. Tam wpadł mu do głowy pomysł ściągnięcia Jewtuszenki do Melbourne. Każda sprawa ma oczywiście swoją podszewkę i dopiero znając ją, rozumie się lepiej wszystko. Zarząd Kadimah składa się z bundowców i syjonistów, nie brak też tu tzw. progresistów, co jest miejscowym eufemizmem na sympatyków komunizmu, ale sympatyków bardzo osobliwych gdyż wyjątkowo zamożnych i wolących pozostawać tu i robić świetne interesy, niż wracać do Polski czy Rosji, choć do tego rzekomo wzdychają od lat. W każdym razie przekrój polityczny Kadimah nie jest jednakowy. A że ambicją obecnego prezesa jest utrzymanie się na tym stanowisku jak najdłużej, i w grę wchodzi jak wszędzie koterie i kontredanse wpływów, musiał on wykazać się czymś co spodobałoby się wszystkim, zapewniając mu tym samym dalszą kadencję. Takim pociągnięciem było sprowadzenie Jewtuszenki i „sponsorowanie” jego recitalu w Melbourne. Tym bardziej, że i Izrael stara się o jakąś normalizację stosunków z Rosją Sowiecką, które to normalizowanie jest znowu innym eufemizmem.

Lecz byłoby nieuczciwie twierdzić, że tylko te momenty tu zagrały. Żydzi chcieli przede wszystkim zamanifestować swój szacunek dla poety, który w czasie antysemickich wybrzyków Chruszczowa miał odwagę napisać przepiękny poemat „Babi Jar”, zaczynający się od słów: *Nad Babim Jaram pomnika niet.* (W wąwozie Babi Jar pod Kijowem Niemcy zamordowali 20.000 Żydów ukraińskich; po wojnie zaistniała kontrowersja czy wystawić tam pomnik pamięci Ofiar. Oficjalne czynniki sowieckie chciały w napisie pominąć, że chodzi o Żydów, chciano to przedstawić jako pomnik ku czci pomordowanych ofiar nazizmu, bez wymieniania Żydów. Najpiękniejszym pomnikiem jest właśnie wspomniany poemat Jewtuszenki). Toteż nic dziwnego, że z tych 7.000 osób w Festival Hall'u prawie 80 procent stanowili polscy Żydzi. Polacy żydowskiego pochodzenia, czy też Żydzi z Polski, bo tu jakoś niektórzy bracia-Żydzi potrafią i chcą te rzeczy rozdzielać.

Poza naszą publicznością, która z książek uznaje tylko telefoniczne i czkowe, było też trochę Żydów pochodzących z innych krajów, trochę Rosjan, szukających pretekstu, by podreperować dumę narodową i zapomnieć o okresie Stalina, była też — o dziwo — garstka Australijczyków — studentów, sympatyków komunizmu książkowego, młodych poetów — i trzech panów z ambasady sowieckiej w Canberze. (Poznaje się ich dziś po złotych zębach i najgrubszych teczkach).

Wieczór zaczął się z opóźnieniem, bo sami organizatorzy byli zaskoczeni tymi tłumami, jakie wałyły i wałyły, pomimo że za bilety trzeba było płacić po £ 2 i £ 1, czyli po pięć i dwa i pół amerykańskich dolarów. Konferansjer wieczoru oczywiście zapewniał, że w Jewtuszence odnajdujemy przedłużenie tradycji i linii Shelleya i Byrona z Keatsem, co, o ile nie jest przesadnym komplementem wobec gościa, jest oczywistym nonsensem i braniem publiczności za analfabetów. Potem zza rzędu kwiatów (plastykowych) ukazała się znana (tu) aktorka Dame Judith Anderson; następnie na podium weszła majestatyczna Rachela Holzer w purpurowym szalu i czarnej sukni; otrzymała olbrzymie brawa, bo to niezwykła recytatorka (choć po polsku recytuje jedynie prywatnie, bo nie chce) i szanowana postać. Dalej był sydneyjski aktor Allan Edwards i komunistyczny pisarz Frank Hardy, bohater kilku procesów o zniesławienie, pisarz tendencyjny, ale dobry majster, dlatego

też przekłada się go w Polsce. Potem znowu brawa, ale żywsze, bo oto wchodzi Madame Krugerskaja, oficjalna tłumaczka sowiecka, biedactwo ledwo dorastające do mikrofonu, którego nikt dla niej nie zniżył. Ta była w czarnej staromodnej sukni z koronek, na twarzy zażenowany uśmiech na nogach rozklapane buty. (Potem kupiła kilka nowych par). No i w końcu wszedł ON, bożyszcze tego wieczoru (Franz Fiszer nazwałby go królem tego pogrzebu) sam Żenia Jewtuszenko. Brawa rosły i rosły, a płowowłose dryblas w czarnych półbucikach, popielatych skarpetkach i w szarych dobrze zaprasowanych spodniach, udających pomięte dzinsy i w niebieskiej koszuli sweterkowej w dwa pionowe długie granatowe pasy, oczywiście bez krawata, wszedł na scenę. Już to samo wejście było majstersztykiem dobrze zagranej bezpośredniości. Oto zamiast, jak inni, dreptać poza rzędem sztucznych fikusów i rododendronów i wejść na scenę — gdzie znowu z wyjątkiem Judith i Rachel wszyscy kłaniali się mniej lub więcej po fryzjersku — dryblas Jewtuszenko WLAZŁ na scenę, odchyliwszy sztuczne kwiaty i dawszy dużego susa ponad wazonami z ziemią. JUŻ przyciskał ręce do piersi, uśmiechając się bezpośrednio i skłaniając głowę nad wysokim mikrofonem, do którego taka Krugerskaja musiała bidulka wspinać się na palce i wyciągać ładną zresztą szyję.

Recytację zaczął Hardy, oczywiście zaciśniętą pięścią podkreślając pasażę godne, jego zdaniem, podkreślenia. Był to właśnie *Babi Jar* po angielsku. Koncert recytacji, umiaru i przeżycia oraz modulacji głosu dała dopiero Rachel Holzer w tym samym *Babim Jarze* w jidysz. Była to najlepsza recytacja wieczoru. Bo choć mówiący to samo później po rosyjsku Jewtuszenko to dobry recytator i aktor, a przecież często nadużywa głosu, nadużywa r, skandowania oraz onomatopeji.

Jakie refleksje nasuwały się nam na tym wieczorze? Przede wszystkim uderzający był cerkiewny zaśpiew tej recytacji. Drugą rewelacją była jej muzyka i rytm: w takich *Simbirskaja jarmarka* wprost słyszało się grę harmonszki w ludowych piosenkach. Myślę, że na naszych oczach ludowość* wraca do poezji, względnie poezja wraca do swych źródeł. Poezja cerebralna, czy hermetyczna potrafi być piękna, ale tylko w lekturze: w recytacji nie ma szans. Poetów i rodzaj poezji wybieramy za młodu, potem starzejemy się nie zmieniając wiele obiektów tego zachwyty: ten nastrój trwa w nas do trumny.

Inną refleksją była następująca konstatacja: Poeci zwykle rodzą się przed swoim czasem, są prekursorami — jak Norwid czy Eliot — często nie docierającymi do współczesnych. Jewtuszenko urodził się w swoim czasie, żyje w nim i dla niego tworzy. Oprócz tego na korzyść tego autora zagrało wiele innych czynników: bunt po stalinowskim trzęsieniu ziemi, odwilż, jego perepalki z Chruszczowem-kulturoznawcą (choć o wazelinarstwie owego Jewtuszenki mówi się też wiele), zagrały jego sympatie prożydowskie, na pewno szczere, jego podróże, wygląd, i dlatego magiczne oddziaływanie na wielu, chcących w nim widzieć ucieleśnienie jakiejś mitycznej lewicowości, która tam idealistyczniej się pali w człowieku, im więcej porośł w tłuszczy dobrobytu kapitalistycznego w nudnym kraju. Gdyby w Rosji nie było tego fermentu jaki wzrasta, nie znano by na Zachodzie Jewtuszenki, tak jak nie zna się lepszych od niego: Wozniesińskiego, Achmaduliny i Winnokurowa. Gdyby nie był Rosjaninem i nie było sprawy Pasternaka, a nawet filmu „Doktor Żiwago” — wszystko byłoby inaczej. Gdyby nie napisał *Babiego Jaru*, gdyby nie drukowano go po pismach studenckich, nieraz uroczych, ale częściej głupich pepinierach idealistycznej lewicowości — nie byłoby na melburneńskim wieczorze 7.000 ludzi, a może tylko 200. Jewtuszenko miał szansę i wspaniale umiał ją wykorzystywać, gdyż te wszystkie momenty poli-

* *Folksinging*.

tyczno-aparycyjno-ciągutowo-telewizyjne zagrały na jego korzyść. Co nie przekreśla faktu że jest dobrym, ale nierównym, choć autentycznym poetą, ale czy zostanie na tak długo w literaturze rosyjskiej jak Cwietajewa, Pasternak, Achmatowa, Jesienin, Błok i inni? Na razie płynie na fali powodzenia swego „ambasadorstwa” i łącznika pomiędzy Wschodem i Zachodem — co *per saldo* opłaca się panom na Kremlu, gdyż im to w jakimś stopniu bardzo odpowiada. Na wszelkie zarzuty nieodmiennie pada nazwisko: Jewtuszenko!

Żegnając się z publicznością Jewtuszenko wyraził przeświadczenie, że jego wizyta w Australii nie pójdzie na marne, jeśli kiedyś w tej samej sali jakiś poeta australijski zbierze taką samą ilość słuchaczy. Było to powiedziane grzecznie, lecz i złośliwie. Bo w Festival Hall'u w Melbourne, jak i w wielu innych miastach i hallach Zachodu będą dalej cieszyły się powodzeniem raczej mecze zapasnicze, bokerskie; trudno tu liczyć na poetę, na którego korzyść będzie grać tyle pozapoetycznych składników.

Po wieczorze autorskim odbyło się przyjęcie w Hotel Savoy, gdzie Jewtuszenko, tym razem w krawacie i schludnie, po mieszczańsku ubrany, pił *szampanskawo*, całował się z dubeltówki z tuzinami produktów naszej cywilizacji, złudzeń i nieporozumień, a na wszelkie pytania odpowiadał (ma się ten trening, żalosna konstatacja) unikając już takich gaff jak w Paryżu, czy w Niemczech, że mu niby kapitaliści pozmieniali tekst jego biografii. Oto kilka próbek odpowiedzi:

Co sądzi o Tarsisie? — „Człowieku, jak ja kogoś zapraszam do swego domu, to nie rzucam mu pod nogi skórek od banana, aby się pośliznął”.

Co sądzi o Tercu i Arzaku? — „Macie tu niezły szampan. Poproszę jeszcze o kieliszek”. — Pasternak? — „Dobry poeta, jego wiersze są lepsze niż przereklamowany 'Doktor Żiwago'. Są tam strony całkiem słabe”. — Iwinskaja? — „Prasa wiele poprzekreślała, coś tam było ze szmuglowaniem pieniędzy, ten szampan jest nadzwyczajny, to naprawdę australijski?” — Czy słyszał o nowej książce Iwanowa wydanej przez „Kulturę”? — „Iwanowów w Rosji dużo, znaczy się takich nazwisk. Znałem jednego takiego, grał na skrzydle w Dynamo, ale chyba nie o tego chodzi. Świetny szampan”.



No więc Jewtuszenko wyjechał. A my czekamy i czekamy, czy ta sama publiczność, która się tak jego poezją i osobą entuzjazmowała, pokaże, iż nie leci na modę i snobizm, że naprawdę potrafi się zachwycić prawdziwą poezją i jej potrzebuje? Ilu z tych 5.500 polskich Żydów obecnych wówczas na sali zna najnowsze poezje Wierzyńskiego i Miłosza? Ilu z nich płaci składki do Kadimy, czy innych organizacji kulturalnych polskich albo żydowskich? Ilu z nich pomogło wielkiemu poecie piszącemu w jidysz, Mosze Zalcmanowi, kiedy się tu męczył i zdychał z głodu knocąc paski, zanim nie prysnął do Izraela, gdzie z trudem wylądował na jakiejś posadeczce?

— Ech, Jedruś, a czy wśród Polaków jest lepiej? O czym donoszę, panie redaktorze, że kulturalnie u nas coraz gorzej.

Andrzej CHCIUK

Manneken-pis

„A to czasy takie, że nie tylko mądrzy radzą, ale i dudkowie teraz andory pieprzą, uczciwszy uszy WMci”.

(Z listu J. O. ks. Mości Pana Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotki)

Zacznijmy od samego początku. Tak będzie najprościej. Otóż przed niespełna rokiem jeden z wydawców niemieckich przesłał mi do oceny „Dancing w kwaterze Hitlera” Andrzeja Brychta. Powiem szczerze, że tekst ten istotnie wywarł na mnie pewne wrażenie, i to nie tyle dzięki zaletom literackim, które bynajmniej nie są oszałamiające, co z uwagi na niektóre aspekty natury pozaestetycznej a więc właściwie ubocznej. Zaciekał mnie jako dokument obyczajowy i poniekąd socjologiczny, przesycony uczuciem zawiści jeśli nie wręcz nienawiści społecznej. I to gdzie? W Polsce dzisiejszej, gdzie problem ten, zwłaszcza w młodym pokoleniu, któremu zagwarantowano na papierze równy start życiowy, w zasadzie nie powinien istnieć. Poczułem nawet sympatię do tego skazanego na komunikację rowerową polskiego krewniaka Martina Edena, którego złota młodzież, wywodząca się z nowej, uprzywilejowanej klasy, z tryumfalnym pianiem klaksonu wymija na szosie na włoskich lambrettach. Nie zdziwił mnie też jego bałwochwalczy, kompleksowo-obsesyjny kult samochodu, głównie marki Mercedes — zjawisko w krajach, które jeszcze nie zaznały koszmaru pełnego rozkwitu motoryzacji, zrozumiałe i wybaczalne; natomiast stropiła mnie w tym opowiadaniu obecność podskórniego nurtu rasistowskiego, przejawiającego się m.in. w zafascynowaniu pra-plemiennymi atawizmami w rodzaju: „Wara obcym od naszych kobiet!”. Podobne hasło głosi dziś w Niemczech zachodnich

skrajnie nacjonalistyczne stronnictwo NPD, występujące przeciwko Niemkom, romansującym z włoskimi czy hiszpańskimi robotnikami sezonowymi; czyżby więc pojęcie *Rassenschaude* jeszcze nie leżało w lamusie adolfińskich pamiątek?

Nieco słabsze, bo jakby rozgadane i z własnej chwackości zadowolone, wydawało mi się inne opowiadanie tegoż autora: o wycieczce do dawnego kacetu w Oświęcimiu. Coś tu nie wyszło. Nie można być jednocześnie epigonem Borowskiego i Hłaski. Znacznie lepsze wyniki osiąga Brycht, gdy rezygnując z pokus brzuchomówstwa, własnym głosem opowiada o tych marginesach specyficznej egzotyki społecznej, której jest żywą i autentyczną częścią. W samorodności i prymitywizmie cała jego siła. Pretensjonalna ambicja posługiwania się jakimś tam „filtrem intelektualnym” gotowa jeszcze tę Andersenowską dziewczynkę z zapalkami przemienić w wielkomiejskie czupiradło. Są ryby, które świetnie się czują w przybłoconych stawkach; przeniesione do czystej wody w akwarium — giną. Jakże trafnie — na przykład — utożsamił się Brycht — narrator nowelki „Relacja” z tym osobliwym i tak dobrze sobie znanym światkiem, w którym ludzie przestając być ćwierćinteligentami, jeszcze nie osiągają wyżyn półinteligencji.

Tak czy inaczej dwa pierwsze opowiadania Brychta oceniłem życzliwie. Choćby i z tej przyczyny, że w Niemczech zachodnich ukazuje się co roku przeszło 18 tysięcy nowych książek, z czego co najmniej jedną trzecią stanowią zwykłe śmieci; pomyślałem więc sobie, że nie będzie dziury w niebie, jeśli książka jednego ze zdolniejszych hłaskoidów w kraju, nota bene zawierająca akcenty dla niemieckiego czytelnika dość cierpkie, ukaże się po niemiecku. Ostatecznie mam na sumieniu co najmniej dwa tuziny książek autorów krajowych, wydanych na zachód od Łaby, który to wysiłek, nawiasem mówiąc, przypisują sobie urzędnicy nad Wisłą. Tyleśmy różnych wielbłądów, pomyślałem, przepchnęli przez ucho igielne, to i tego dromadera przeciągniemy za uszy. Tak się też stało.

Przypominam sobie jeszcze, że jeden z czołowych luminarzy naszej literatury, zapytywany przez swego niemieckiego tłumacza, co sądzi o twórczości Brychta, odparł żartobliwie:

— Mętliczek-pętliczek. Ale *besser Brycht als nicht...*

Kalambur niezły, choć niecałkiem gramatyczny. Po niemiecku należałoby powiedzieć: *Lieber Brycht als nichts* (Lepszy Brycht niż nic).

Natomiast pewien ceniony, nie tylko nad Wisłą, harfiasz Apolina, gdym go zagadnął o Brychta, ściągnął czoło w harmonijkę:

— Przedziwna postać, bardzo swojska. Właśnie osmarował jakąś młodą znajomą Ślązacczkę, pakując do swej nowelki jej imię, nazwisko, rysopis i dokładny adres.

Znajomy dziennikarz z Warszawy, który bodaj wszystkie kryteria swych ocen zwykł był opierać na doświadczeniach ubiegłej wojny, rzekł mi w paryskim bistro:

— Nie radził bym ci znaleźć się z nim w jednej celi...

To bodaj wszystko, co przed rokiem wiedziałem o Brychcie. Dzisiaj zaś wiedza moja o tym niezwyklej rodaku wzbogaciła się na tyle, że mógłbym już zostać jego biografem lub co najmniej jednym z wybitniejszych brychtologów po tej stronie wawozu.



Opowiadano mi kiedyś w rodzinie o pewnym dalekim krewnym, straszliwym kłótniku i niewyżytym grabarzu, który obok kałamarza miał na swym biurku hebanową szkatułkę w kształcie trumienki. Gdy mu się ktoś naraził, a zdarzało się to dość często, z miejsca wypisywał nazwisko śmiałka na karteluszkę. Po czym nazwisko to po trzykroć przekreślał. Następnie karteczkę wkładał do czarnego pudełeczka. Zamykając wieczko, mówił z niezdrowym błyskiem w oku:

— Pochowaliśmy gagatka! Na wieki wieków, amen!

Otóż to: gdyby nie wzgląd na opinię publiczną (instancję skąd inąd dość nieuchwytną i raczej zawodną, lecz na niedelikatność uczuć i niestosowność towarzyską niezmiennie uczuloną), mógłbym właściwie o Brychcie napisać wspomnienie żałobne. Dlaczego żałobne? Przecież ten „Mannekenpis literatury polskiej” żyje, kwitnie, pęcznieje i pączkuje, tryska radością życia, strzyka swym mini-intelektem na lewo i na prawo; okaz zdrowia, można wiedzieć, kawał chłopca, pączek w maśle.

Może tam on i żyje (w sensie fizjologicznym), ale dla mnie ten ulubieniec policyjnych bogów przestał istnieć, i to w kwiecie wieku. O czym z żalem donoszę. A jak się stało, opowiem.

— Czytał pan co ten *simplificateur terrible* po powrocie z krótkiej podróży do Monachium powypisywał w warszawskiej „Kulturze”? — pytają mnie kibice.

— W warszawskiej „Kulturze”? — udaję zdziwienie. — Nie czytałem.

Oczywiście że czytałem. Narkoman słowa drukowanego, czytam co popadnie. Na widok mrowiska czcionek oblizuję się z łakomstwem mrówkojada.

— Powinien się pan z nim rozprawić! — zagrzewają mnie dobrzy znajomi. — To ćwierć-hłasko rozzuchwalone najechało na pana aż w dwóch odcinkach swych reportaży, a pan co? Milczy?

— Czym najechało? — pytam grzecznie. — Czołgiem czy hulajnogą? Niechący czy na umyślnie?

— Żarty żartami — oburza się przyjaciel — ale tego wy-

bryku nie można pozostawić bez odpowiedzi! On nie tylko na ciebie ten zakalec upichcił-nabrychcił! — „Pobłażliwość dla naśladowców Al Capone — powiedział burmistrz Chicago — wcale nie jest przejawem wyższości moralnej czy cywilizacyjnej, jest oznaką słabości. Półświatka dobrocią nie ugłaszczesz. Liberalowie żyją krócej!” A więc przejedź się po nim! Po szwoleżersku! Zrób go na szaro. Bez komeraży! To łobuzeria rusticana!

— Czy warto? Czy wypada? Z igły robić widły!

— Warto! — zachęcają mnie sangwinicy z zasadami. — Załatw go profilaktycznie i prewencyjnie! Ze względów wychowawczych. W formie przestrogi dla pozostałej fauny brychtoidalnej. Milczeć nie wolno, bo *qui tacet, consentire videtur*!

Odrywacie mnie, mili podżegacze, od znacznie ciekawszych zajęć. Małoż to mam kłopotów na głowie? Po czterdziestce trzeba się śpieszyć. Ślęczę po nocach nad powieścią o naszej znakomitej emigracji pojałtańskiej; dla braci Helwetów wykańczam uczony traktat o współczesnej liryce polskiej ze szczególnym uwypukleniem roli Przybosia; przygotowuję program telewizyjny o naszym prezydentobójcy, Leonie Czołgoszu ze Żnina; zagłębiam się — każdy ma swoje *hobby* — w pożółkłych dokumentach pewnej południowotyrolskiej rodziny, od przeszło dwudziestu pokoleń osiadłej w wiosce Schenna, rodziny która od pięciuset lat bez przerwy zajmuje się stolarstwem (ileż mamy przykładów podobnej zasiedziałości i ciągłości tradycji rzemieślniczej w naszym, tak obcesowo przez historię traktowanym, kraju?), a kości swych stolarzy składa skrzętnie w grobowcu rodzinnym od r. 1447; uczę wreszcie mego brzdąca czytać i pisać po polsku, by mógł w przyszłości odróżnić polszczyznę Brychta od polszczyzny Parandowskiego...

— Chwileczkę! — słyszę na to. — Powieść nie zająć, nie ucieknie. Szwajcarzy na klucz do Przybosia też mogą poczekać. Nie wykręcaj się, zły ptaku, konfekcyjną teleramotą o rodaku-prezydentobójcy, która nam z pewnością chwały za granicą nie przysporzy. Ani grobowcem tyrolskich stolarzy w którym i tak ci bezpieczeństwa kości złożyć nie pozwolą. Cóż nas obchodzi jakaś zakichana wioska w południowym Tyrolu? Nie masz lepszego tematu? Małym synkiem, do elementarza Falskiego ponoć tak bardzo tęskniącym, też nam oczu nie zamydlisz!

A jakże: jakiś żartowniś, zniecierpliwiony moim milczeniem, przesłał mi już nawet wierszyk domowego wypieku; jeśli się trafi nie domyślał w założeniu swym — satyryczny:

„Prędzej Gomułka huknie na Ulbrichta
niż Nowakowski na Andrzeja Brychta”.

Już to żadna niezdrowych emocji widownia, ci nasi kochani polscy Meksykańczycy, łaknie walki kogutów. A ja się ociągam i hamletyzuję. Jak bym nie umiał, czy nie chciał, przezwyciężyć wewnętrznego oporu lub zdrowego instynktu. Jakby mi sam dajmonion doradzał: „Nie dajmy się zwariować! *Take it easy!*”. Wiercie mi, nie chcę nikogo kokietować dobroduszością. Mówię szczerze i bez cienia obłudy, jak na przesłuchaniu w pewnej instytucji o ambicjach poznawczych na ul. Rakowieckiej w Warszawie — mnie tego bobaska po trzydziestce, tego cherubinka ze scyzorykiem w kamizelce — mimo wszystko — czegoś żal, ja go nawet rozumiem, i naprawdę wolałbym nie wkładać kartki z jego nazwiskiem do hebanowej skrzyneczki na biurku.

*„Make little weeping for the dead, for he is at rest;
but the life of the fool is worse than death”*

— czytam w angielskim kancjonale. Jako żywo: Eklezjasta się nie myli.

Bądź sprawiedliwy! Na dziecię systemu się zżymasz? Zżymaj się lepiej na system, który je stworzył! W rzeczy samej: ja już się z takimi wisusami kiedyś stykałem. W tamtym, obozowym, wcieleniu. Jednego z nich, pomnę, nazywaliśmy z nabożnym lękiem „Twardym Felkiem”. Drugiego zaś, na sąsiednim bloku, „Kwiatem Hawajów”. Mnie się ta sylwetka duchowa i postawa życiowa, ten swoisty humorek, pewne gesty, gierki, chwytły wydają dziwnie znajome... (Początki manii prześladowczej?) Uśmiechnięci pupilkowie panów stworzenia, ważne kółko w maszynie. Barczyści, rubaszni, eleganccy. W drelichach przez krawca na miarę szytych. Ci co posiedli pośpieszną wiedzę o życiu: świat jest dżunglą; duże zwierzęta zjadają małe zwierzęta; spać z otwartymi oczami, z nożem w rękawie; unikać słabych, trzymać z silnymi; tyle zysku, co w pysku. Być może, że próba moralnej oceny tej prominenecji polega na nieporozumieniu: oni nie byli moralni lub niemoralni; po prostu dwa tysiące lat nie dotarły do ich świadomości, praca wieków poszła na marne. Powojenne sądy w niedostatecznej mierze uwzględniały porażkę, poniesioną nie tylko przez oskarżonych. Może należałoby pomyśleć o eschatologii? (Wspomnienie nocnego szeptu na pryczy; teolog przerażony podejrzeniem, że świat koncentracyjny przy całym perfekcjonizmie swego systemu nie mógłby tak doskonale funkcjonować, gdyby nie ciche przyzwolenie... mocy nadziemskich. — „Gesta Dei per SS?” — roześmiałem się, rozzłoszczony).

Barczyści, uśmiechnięci pupilkowie. I jak się tu potykać z takimi? Dyskutować? Przekonywać? Po co?

Przypominam sobie przyjazne rady dwóch światłych ludzi, których miałem przyjemność poznać bliżej na obczyźnie: towarzysza niedoli z lat odrutowanych, Stefana Badeniego i Zygmunta Nowakowskiego, którego — nawiasem mówiąc — jeden z antagonistów obdarzył niegdyś niebardzo podłym przydomkiem „budzika u barłoga emigracji”; są bowiem ludzie, których cudze tęsknoty do heroizmu śmieszą do łez...

— Wystrzegać się polemik jak ognia! — przestrzegał mnie w listach z Dublina pan Stefan, ten nasz polski Don Fabrizio z kart Lampedusy. — Trudno o bardziej jałowe zajęcie. Pozornie *ad rem*, w istocie zaś *ad personam* spór się toczy. *Personalia sunt turpia*. Jakże się przy tym łatwo nabawić nieuleczalnego nałogu pieniactwa. „Polemititis”! Już w staroateńskich teatrach wyśmiewano pieniaczy. Niechaj nerwica żurnalistyczna naszego wspólnego znajomego, prof. S., będzie dla pana przestrogą!

— Nie odpowiadać na zaczepki! — huczał dzwon Zygmunta (ale jakoś sam się do tych wskazań nie stosował; wiadomo: drogowskaz nie potrzebuje chodzić). Nie pisywać „listów otwartych”. Ani gromkich epistoł do redakcji. Nie wyjaśniać. Nie prosić. Nie zaprzeczać. Nie protestować. Żadnego tam „Panu X. w odpowiedzi”. Skarg do sądów koleżeńskich ani grodzkich nie wnosić. Sekundantów nie fatygować. Znana przykreść towarzyska — patrz, Bożewicz, na nas z nieba! — jaka się przydarzyła Puszkiniowi 8. 2. 1837, powinna człowieka myślącego, a i tacy zdarzają się między pisarzami, raz na zawsze uprzedzić do pojedynków. Na gazeciarskie zwadki i połajanki „szkoda czasu i nerwów”. Więcej olimpijskiego spokoju i szambelańskiego gestu. Nie rozmieniać się na tyńfy i szelągi, to tyfus dla pisarza. Z wyniosłością, jaka cechuje naprawdę wolne i niezależne duchy, nakryć się ogonem pogardy. Duszę pańszczyźnianych unikać. Pamiętajmy, że co najmniej połowa mieszkańców tej planety nie czytała zaczepki naszego adwersarza i nie wie o co chodzi. Dopiero lektura naszej odpowiedzi nasuwa jej podejrzenie, że „coś tam musiało być na rzeczy, skoro jegomość irytuje się i zaprzecza”. Zresztą jest typ napastnika, który tylko czeka na replikę lub *dementis*. Niczym narkoman na morfinę lub masochista na porcję batów. Po co mu sprawiać tę przyjemność? A któż wie co się naprawdę kryje w kulisach takiego zajazdu? Może to pojedynek ze związany? Może kazano naszemu *vis-à-vis* zagrać rolę zbójnika? Może mu nasz kontratak jest do czegoś potrzebny i łotrzyk modli się o ripostę? Może chce chadzać w glorii męczennika? Może chce nadstawić swój skołtuniony czerep pod głaskającą dłoń możnego Samarytanina? „Przytulcie, pocieszcie, wynagrodzcie — wróg nabił mi guza”. Kto go tam wie? Po co więc grać jego grę? Czy nie mądrzej — zaczepnika zignorować? Jakież

człowiek rozsądny, udając brytana, rzuca się na czworakach w pogoń za kundlem, wystrzępiającym mu mankiet u nogawki? Groteskowe byłoby to widowisko! Wystarczy taką psinę delikatnie, samym koniuszkiem buta, odrzucić w pokrzywy.

— Chwileczkę! — zapytają zniecierpliwieni czytelnicy. — Sprawca już ujęty, wyrok zapadł, pochówek w toku, a ciągle jeszcze zbrodni nie znamy. A cóż on w końcu takiego zbroił, ten Brycht nieszczęsny, żeby go żywcem w hebanowej grzebać szkaluće?

Cierpliwości! Zaraz wszystko wyjaśnimy, i wbrew pierwszej zasadzie wyższej szkoły polemiki: „Poglądy przeciwnika należy streszczać w sposób możliwie dla niego niekorzystny” rzecz przedstawimy bezstronnie, znacznie bezstronniej niż na to zasługuje. Bez parafrazy i emfazy. W tym przypadku wystarczą same fakty, a jest ich aż za wiele.

Otóż Andrzej Brycht, bokser i zawadiaka, a przy tym szybkopis z talentem (jest w naszym społeczeństwie, w dziedzinie estetyki ukształtowanym w kulcie „talentyzmu”, jakaś wręcz irracjonalna sympatia nie tylko do alkoholików, ale i do tych „słodkich rozrabiaczy”, którzy wybijają komuś oko, łamią nos lub wbijają „majcher w bebech”, a później z seraficznym uśmiechem zabierają się do pisania nowelek „prosto z życia”) w pierwszej połowie grudnia ub. roku przybył na krótki reporterski rekonesans ze ściśle określonym zadaniem, do którego — o dziwo — nie potrzebna mu była (takie to teraz „dziennikarstwo”) znajomość języka obcego. Prawdą jest, że otrzymał zawczasu formalne zaproszenie od monachijskiego wydawcy, który, jak się już rzekło, nie bez mojego w tej sprawie współudziału (*mea culpa!*) nosił się z zamiarem ogłoszenia jego opowiadań po niemiecku. W odróżnieniu od niektórych innych, nie mniej od naszego Tarzana znakomitych pisarzy i myślicieli, bez trudu uzyskał od władz paszport na wyjazd służbowy za granicę, chociaż zaledwie półtora miesiąca przedtem wszczęto przeciwko niemu... E, dajmy spokój! Po co rozbierać naszego cudusia do bielizny?

Tak czy owak, jeszcze przed wyjazdem z Warszawy ten nasz istny wybrycht natury rozmawia z kim należy, klepią go — Sitwo, ojczyzno moja! — na drogę po ramieniu, i otrzymuje ponętne zamówienie na cykl reportaży z wrażeń metropolii nad Izarą. Aż dziw, że pofrunął samolotem pasażerskim, w biały dzień, a nie zrzucano go pod osłoną nocy na spadochronie. Jubel po wykonaniu zadania byłby jeszcze większy. Jeszcze przed wbiciem kolana w walizkę pojętny telepata wiedział dobrze czego po nim oczekują zleceniodawcy. Ma się ten pomyślny pod czupryną! Grunt to dar wczuwania się w intencję, odczytywanie życzeń, domysłność, nieomyślność przeczuć.

A więc — „baśka pracuje, radarek gra” — (mówiąc brychto-
wą polszczyzną) — trzeba zdemaskować emigrandę. Tych niesfor-
nych akowców, kacetowców, łagierników, paździenikowców,
którzy brużdżą przeciw gipsowym popiersiom, ryją i knują. War-
to by więc, jak za czasów J.W.S., pokazać, że to zwykli najmici,
szalbierze, wykolejeńcy, życiowe rozbitki, ostatni zlew. Rozszy-
frować ich konszachty z sierotkami po Hitlerze i odwetowcami.
To *junctim* jest konieczne. Na tym się cała konstrukcja opiera.
Nieźle by było odsłonić kilka „dramatów życiowych” z morałem:
„Tak to zawsze zdrajcom bywa”. Już w Piśmie świętym łotr
Judasz się wiesza. Dajmy na to: studentki polskie, które z mi-
łości do kosmetyków wyrwały się na Zachód niczym ćmy do
lampy, lądują ostatecznie w domu publicznym w Monachium,
dozorowane — oczywiście! — przez emerytowanego ludobójcę
z SS. A bieżący płci męskiej — dobrze im tak, dezterterom! —
gniją w przytułku dla bezdomnych lub żebrzą na bruku —
horribile dictu! — szykanowani na tym śmietniku historii przez
niemiecki związek zawodowy żebraków ulicznych...

(Nie wytrzymuję i otwieram nawias: coś się tutaj naszemu
jasnowidzowi pokiełbało; kompletna dezynteria umysłowa! Sue?
„Tajemnice Paryża”? Hugo? „Dzwonnik z Notre-Dame”? Tyr-
mand? „Zły”? Wolę już uszminkowanych żebraków z „Opery
za trzy grosze” Brechta od tych wyssanych z palca emigrantów-
żebraków z operetkowego trzy po trzy Brychta!)

Nie dość tej poruty — „baśka pracuje, radarek gra” —
Andrzejek powinien czknać, nie: czknać — to za mało; powi-
nien po fornalsku ująć zadarty nochal w dwa brudne paluchy
i — prysk! — na Wolną Europę. By kmiotki-roztropki, kawiarniane
snobki i różne jełopki zaprzestały słuchać tej Wolnej Europki.
By czytelnik w ludowej macierzy raz jeszcze się dowiedział,
tym razem od naocznego świadka, od Daniela który zajrzał do
jaskini lwów, że w tej fabryczce fałszywej nadziei roi się od
farbowanych listów, stręczycieli dusz, łowców zbłąkańców
i chronicznych niezadowolenców, fałszerzy politycznego bilonu.
Toteż manierą à la Mr. Kiczkok — żeby było sensacyjniej! —
czas zdemaskować ich James Bonda. Nakryć go przy brudnej
robocie: jak przy pomocy nożyczek przygotowuje taśmę dźwiękową
podstępem uzyskanego wywiadu z rzekomymi antykomunistami
(każde dziecko wie, że takich w naszej ojczyźnie nie ma!). Dobro-
duszna, szatańskiej zasadzki nieświadoma włókniarka z Pabianic
mówi o Witaszewskim „kocham”, a to niecne łapsidło — łaps
za nożyczki! — i wycina z taśmy sylabę „ko”... Tak się fałszuje
prawdę o wizerunku duchowym naszych przywódców! Albo —
inny pomysł tego typu: w głębi dekoltu redaktorki działu kobie-
cego coś się srebroży! Medalik z Częstochowską? Nie! To aparat

podśluchowy, normalne wyposażenie wszystkich współpracowników tejże rozgłośni.

(Widać w jakim świecie żyje i w jakim środowisku się nasz sensatuńcio obraca, skoro wyobraźnię jego zaludniają podobne akcesoria.

A swoją drogą, niewesoła ta degrengolada: w greckiej mitologii na Europę rzucał się byk z niebios rodem; tym razem wystarcza drobny osiołek).

Co więcej: — „baśka pracuje, radarek gra” — obraz Niemiec zachodnich, zwłaszcza młodego pokolenia w tym kraju, ukazać należy w czarnych a raczej w brunatnych farbach, by nie było wątpliwości nad którą połową Niemiec warczą złowrogo czarne hufce Belzebuba, a nad którą szybują śnieżnopióre anioły. Recepta niezawodna: Kiesingerland — płacz i zgrzytanie zębów, Ulbrichtland — radość wiekuista. Godzi się więc uwydatnić zapiekłą nienawiść młodych Niemców, zwłaszcza studentów uniwersytetu monachijskiego, do wszystkiego co polskie.

(A żeby ci. brzydko było! Kulą w płot! Najbardziej propolskie środowisko w całej Europie zachodniej!)

Wykazać pokrewieństwo duchowe między młodymi, którzy by chcieli prehitlerzyć samego Hitlera a rozpasanym żołďactwem amerykańskim, dopuszczającym się okrucieństw w Wietnamie. Ujawnić i słowem wysmagać istnienie wspólnego frontu Waszyngtonu-Bonn przeciwko PRL i NRD, choćby na przykładzie wyświećlanego w NRF dreszczowca szpiegowskiego „made in Hollywood”, w którym pewną starszą panią z Polski i grupę przywiązanych do swego ustroju obywateli NRD przedstawiono w sposób niekorzystny, natrzęsając się przy tym z żołnierzy sowieckich, a te rzeczy bołą.

Przy sposobności warto by uderzyć w niezawodny klawisz sarmackiego klawikordu: „Obcy nas zohydżają!”, co pogłębi w społeczeństwie, tak bardzo przez rządzących pożądaną, psychozę otoczenia i obnaży wreszcie haniebny mechanizm trockisto-syjonistycznej i yankeso-neohitlerowskiej zмовy przeciwko naszemu krajowi. Teologia polityczna sarmatokomuny, jak każda teologia, bez diabła obejść się nie może.

Lecz najważniejsze: „baśka pracuje, radarek gra” — trzeba zadenuncjować stypendystów, dziennikarzy, literatów, naukowców-niemcoznawców, którzy przed pamiętnym grudnia 1966, a więc przed a.B.n. (przed erą Brychta) podróżowali, niczym pijane dzieci we mgle, po NRF i nie umieli dostrzec, że król jest nagi. Nie umieli czy też — nie chcieli? Skorzystawszy ze szczodrych łapówek amerykańsko-bońskich, skrzeczącą pospolitość tego kraju woleli oglądać przez różowe okulary w złotej oprawce. O hańbo, o nowa Targowico, w zamian za jurgielt w postaci

kontraktów autorskich, honorariów, życzliwych recenzji, diet, duszerów, szampitra, samochodów, nagród literackich, rozgłosu i sławy.

I dopiero on pierwszy, zgrzebny, prostolinijny, bezinteresowny, przejrzał na wylot tę grę nikczemną. On, Andrzej Nieprzekupny, nadpatriota i nadpolak, nie dał sobie zatkać ust kneblem ze szczerzego złota. Za co należy mu się duża buźka od wdzięcznych rodaków i rodaczek. On pierwszy rznie prawdę prosto w oczy.

Tak. Tego to właśnie po naszej „żywej torpedzie” oczekiwano. I taki sobie „gryplan” nasz antybohater za wczasu, bo jeszcze w drodze na okęćkie lotnisko, w mózdzku układał.

Dobra nowina. *Happy-end*. Wszystkie niepobożne życzenia swych możnych guwernantek, bez pudła przeczone, nasz smętny niefrasobliwiec spełnił co do joty, z pilnością prymusa, ogłosiwszy na łamach warszawskiej „Kultury” dłuższy cykl pt. „Raport z Monachium”. (Tytuł, przyznaję trafny: po powrocie ze zwia-du poza linię nieprzyjaciela trzeba złożyć raport swemu dowódcy).

A cóż z tego wszystkiego nasz rezolutny chałturek przelał na papier? Bigos. Myśliwski? Hultajski? Z pewnością nie hultajski, bo to smaczna potrawa, jeśli wierzyć braciom Honwedom. Czegoż w tym kociołku nie ma! Oczywiście nie ma kultury, nie ma literatury pięknej, nie ma substancji myślowej. Jest w nim natomiast nieudana próba groteski obyczajowej (oj, poczytałby sobie mistrza Gombrowicza czy Mrożka! Ale nasz pisarz najwidoczniej w ogóle niczego nie czyta!); sporo płyciutkich, naskórkowych impresyjek turystyczno-politykierskich (advocatus Brichti: nie przesadzaj, surowy sędzio, reportaż — to nie studium naukowe!), nacechowanych osłupiającą wręcz ignorancją (o ile wnikliwiej pisują o NRF aż za chętnie — jak na mój anty-rapallowski smak — uwijający się po tym kraju pisarze sowieccy!); nie mało erupcji szowinizmu, ciemnogrodzkiego bełkotu i frazesu hurra-nacjonalistycznego, tak modnego ostatnio w Ubekistanie, i wprost żenującej ekshibicji patriotycznej, natrętnie manipulującej akcentami martyrologicznymi a niekiedy stojącej na poziomie gazetek ściennych, wywieszanych w koszarach WOP’u; coś z ducha comicsów, coś z brukowego romansu, drukowanego w odcinku przez prasę bulwarową; nieco drapieżnej opisowości typu naturalistycznego, tzw. „oko ze zgryzem” — to jeszcze z całej tej brychtiady najlepsze; w sumie — bolesny to werdykt! — wręcz klasyczny przykład dla uczniów szkół dziennikarskich jak *nie* należy pisywać reportaży. Bo czyż można nazwać reportażem niedbały zlepek dezinformacji, mitomańskich przywidzeń, majaczeń, sztubackich żartów, przekreślonych plotek, pomówień, ćwierć-pół i całych

nieprawd, a nawet — trudno nie użyć tego słowa — nieuczciwości? Szkoda, że nasz przyszły laureat nagrody państwowej (dadzą mu ją, zobaczycie!) nie czytał we wczesnej młodości książki Karla Maya „Winnetou, czerwony gentleman”! Nie jest chyba przejawem szczególnej uczciwości ani dżentelmenerii, jeśli się, na przykład, z własnej inicjatywy przychodzi w odwiedziny do prywatnego mieszkania przebywającego na emigracji kolegi po piórze, który lata wojny spędził w obozach i więzieniach Trzeciej Rzeszy, jeśli mu się nie skąpi w oczy czułych słówek, a po powrocie do Warszawy, podstępnie, za jego plecami, wbrew faktom i prawdzie, z wyraźnie złą wolą, pisze w swym „reportażu” — z całym spokojem zmyślając osoby i ich wypowiedzi, że się właśnie w jego mieszkaniu zetknęło z tymi właśnie z palca wysanymi postaciami, którymi — jakże by mogło być inaczej! — są jacyś brunatni troglodyci, nie ukrywający swej nienawiści do Polski. A cały ten niesumienny zabieg tylko po to, aby w tym urojonym braterskim kręgu emigrantów i odwetowców autorowi „Raportu z Monachium” mogły się wydobyć z piersi gromkie słowa: „Nienawidzę ich, brzydzę się nimi, tacy jak oni nie mają prawa istnieć!”

Zabawne przy tym, że tę bardziej niż skromniutką lampkę wina — bez udziału obcych! — sprytnieńki manipulant faktów, prawdopodobnie w chęci „podniesienia sobie sufitu” w środowisku twórczym w Warszawie, awansował w swej relacji do rangi *party*, omal przyjęcia, wydane na jego cześć z udziałem niemieckich pisarzy i krytyków literackich. Marzyciel! Podobnie jak roztropny Canaletto, który w swoich obrazach najchętniej wkomponowywał własną osobę w nienajgorsze sfery (raz się nawet wypędzłował w poufałym sąsiedztwie samego monarchy), tak i nasze sakramencko ambitne brychciatko-arrywiatko posiadało, jak widać, sztukę ukazywania własnej postaci w sposób dla siebie niezmiernie życzliwy, co mu się zresztą chwali.

Może nieco mniej chwali mu się, że u pani domu — jak pisze — dostrzegł „twarz konia”, co również jest nieprawdą. *Licentia chuliganica!* Ten nieco zaskakujący w swej formie przejaw galanterii udało mi się jednak szczęśliwie zażegnać: żonie, od dziecka wychowanej za granicą, wyjaśniłem, że w Polsce, w kraju kawalerzystów, przyrównanie kobiety do konia jest jednym z największych komplementów, jaki zna język Sienkiewicza, Żeromskiego i Brychta.

Ale na tym nie koniec kłopotów z wiarogodnością autora „Raportu z Monachium”! Zdziwiło mnie jeszcze absolutnie nieprawdziwe twierdzenie, że u mnie (akurat u mnie!) miał się zetknąć z jakimś Krakowskim (ani chybi: Krakauerem), który podczas okupacji niemieckiej miał zniszczyć w Warszawie kolum-

nę Zygmunta (!). Tenże wydumany przez Brychta Herr Krakovsky zapytuje — czarny humorek, można powiedzieć — czy już „złożono” tę kolumnę, którą on niegdyś „rozłożył”...

Wyobrażam sobie ten dreszcz oburzenia, jaki przechodzi przez czytelników „Stolicy” i patriotyczną młodzież szkół średnich miasta stołecznego Warszawy, gdy czyta, że taki brunatny stwór bywa u polskiego emigranta!... (O to, zdaje się, głównie naszemu kieszonkowemu makjowelikowi chodziło). Sądzę jednak, że nie potrzebuję zapewniać czytelnika, że ta brychtowa brechta zełgana jest od „a” do „z”, i to nieudolnie. Podobnie jak inne, równie absurdalne i całkowicie zmyślane twierdzenie, że u mnie (akurat u mnie, oszalał jegomość czy co?), na *party* — której nie było! — goście mieli sobie z zachwytem (!) opowiadać o pewnym lokalu rozrywkowym w Paryżu, gdzie przy gorącym aplauzie widzów wyszydza się co wieczór męczeństwo ofiar hitleryzmu, i to w ten sposób że pół nadzy atleci w czarnych czapkach z trupimi główkami smagają batami pół nagie dziewczęta w kacetowych pasiakach. Sadystyczny *strip-tease* kończy się zwycięstwem bezbronnych więźniarek. Uroda ich nagości sprawia, że w oprawcach z SS budzą się czuli na piękno mężczyźni: rzucają baty w kąt i padają przed tryumfującą kobiecością na kolana... (Jakże zgniły jest ten Zachód!)

Cóż na to powiedzieć? Pióro wypada z ręki. Po pierwsze: historyjka ta rzuca światło na pewne zahamowania czy wręcz zakłócenia u naszego fantasty. Powinien się udać do neurologa. Przy dzisiejszym stanie wiedzy lekarskiej uleczenie tzw. *pubertas in permanentia* nie powinno nastęrczać większych kłopotów. Po wtóre: gdyby podobny „spektakl kacetowy” rzeczywiście miał miejsce, do lokalu wpadliby z grubymi łaskami b. członkowie Ruchu Oporu plus jakiś lotny patrol młodzieży komunistycznej czy gaullistowskiej. I całe to kabotyńskie bractwo, łącznie z orkiestrą, choreografem i właścicielem lokalu zamieniono by w powidła.

Niełatwo mi też pojąć po jakiego licha ten klituś-bajduś włożył mi w usta niedorzeczne „*j'accuse*” pod adresem Hłaski, że stał się już pisarzem... izraelskim. Cóż za nonsens! Może szło mu o „ilustrację prosto z życia”, która by udowodniła słuszność starego morału: „Tak to, narodzie chrześcijański, skończył człek beapański”? Czyżby apokaliptyczna wizja dna, na jakie stoczyć się musi pisarz nieobrzezany, bieżeniec-psiajucha, gdy opuszcza samowolnie lechickie pola, lasy i łąki (Polak — pisarzem izraelskim! Koltun się na głowie podnosi!) miała przerazić wszystkich ludzi pióra, którzy chcieliby, jak Hłasko, znaleźć się na Zachodzie?

Domyślam się natomiast dlaczego maestro Brichtolini napisał w swym „reportażu”, że jestem „czerwony” i że z tego tytułu

mam mieć kłopoty z Amerykanami. Z dobrego serca tak napisał? Nie sędzę. A jednak, jeśli mnie Andrzejek nie wyda, przyznam mu się, że w rzeczy samej, jak wielu polskich emigrantów politycznych(jako żywo, ciągle jeszcze są tacy!), współpracuję z Amerykanami, uważając ich, mimo wszystko, za bez porównania mniejsze zło od niektórych innych państw na wschodzie i zachodzie. Nie ma się czego wstydzić. Ostatecznie nie wszyscy muszą być zwolennikami orientacji prosowieckiej. Z żadnym tam jednak wywiadem, jak utrzymuje pewien zawodowy antyemigrant w naszej pięknej Warszawie, nie „kuszuję”. Chociaż myślę sobie nieraz, że aura „przygody” i „romantyzmu” (mało się to człowiek nachodził do kina?), jaka się ponoć unosi nad tym fachem i łatwość z jaką mocarstwa wymieniają między sobą „spalonych” asów, mogłaby mnie i zachęcić do popełnienia podobnego harakiri, aliści, jak słyszę, literatów — co za pech! — od pewnego czasu już tam nie przyjmują: są za mało zdyscyplinowani i zbyt rozmowni... Wracając jednak do tej dziecinnej intryżki i niewinnego donosiku, wplecionego w tekst „Raportu z Monachium”: niewypał, życzliwy Andrzejku! McCarthy dawno już nie żyje, nawet duch jego nie straszy, w epoce modnego obecnie „budowania mostów” „czerwonym” exulom na Zachodzie żaden tam „proces czarownic” nie grozi. To już raczej w pewnym kraju, położonym w Europie wschodniej, niebezpiecznie jest dzisiaj uchodzić za zbyt „czerwonego”... (Na życzenie służę nazwiskami).

Ale czas już najwyższy, żebym się na mego adwersarza choć nieco uniósł, więc się unoszę. Otóż pisarzowi, szanowny panie Brycht, jak się to szumnie powiada, „włodarzowi zmyśleń artystycznych”, „burmistrzowi snów niezamieszkałych”, „alchemikowi najosobliwszych aktów kreacyjnych”, wolno, oczywiście, zniekształcać rzeczywistość, ignorować świat empirycznie postrzegalny, rozumiać się z prawdą (cóż jest prawdą?), błagować, bajdurzyć fikać antysemantyczne koziołki, szybować na niebie surrealizmu, kąpać się w morzu najczystszej fikcji; wolno mu, pamphleścić, maczać pióro w jadzie, w occie, w wątrobie własnej (ale chyba już nie w wątrobie Prometeusza skowanego); wolno mu, cynikowi, bluźnić i wyszydzać wszystkich i wszystko, ze sobą włącznie; wiele, bardzo wiele mu wolno — artystyczna jakość dzieła niejedno usprawiedliwia, — ale czy wolno mu w publikacji, której sam nadaje charakter nie jakiejś tam fikcji artystycznej, nie jakiegoś tam wzlotu w przestworza nadrealizmu, lecz wiarygodnej informacji naocznego świadka i dokumentu-zeznania kategorii *bona fide*, hołdować nieuczciwości? Czy wolno mu składać fałszywe świadectwo, i to dla przypodobania się władzy?

Ale po co się kusić o ocenę moralną i potrząsać wielkimi słowami jak „lojalność”, „prawda”, „etyka”? Wystarczy skrom-

ne pytanie: jaką właściwie wartość *poznawczą* dla czytelnika polskiego, tak bardzo wyczulonego na tematykę niemiecką, może na przykład mieć zawarty w „reportażach” Brychta opis potężnego pochodu studentów uniwersytetu monachijskiego, gromko manifestującego na rzecz programu neohitlerowców z NPD, skoro w świetle faktów było akurat odwrotnie: ci młodzi ludzie maszerowali w pochodzie protestującym *przeciwko* NPD. Różnica, jak się wydaje, dość istotna. Być jednak może, że relacja z *takiego* pochodu byłaby komuś w Warszawie nie na rękę. Więc lepiej już ulec złudzeniu optycznemu...

Z niesumiennym sprawozdawcą mam na pieńku i o to, że w usta młodego intelektualisty, znanego ze swych sympatii dla Polski (lektor wydawnictwa Hanser, Krüger) uważał za stosowne włożyć wiązanekę całkowicie zmyślonych andronów (to ulubiony chwyt Brychta) właśnie temu lewicowcowi, nieprzejednanemu przeciwnikowi rasizmu w każdej postaci, nasz lekkomyślny „reporter” każe ronić łzy nad... zanieczyszczaniem rasy niemieckiej przez włoskich robotników! (Zdumiewające zresztą, że wszyscy rozmówcy Brychta — jeśli wierzyć jego koszałkom-opałkom — mają do niego bezgraniczne zaufanie; w minutę po zawarciu z nim znajomości wyplakują mu się w kamizelkę, otwierają przed nim serca, wygłaszają dłuższe monologi, składają deklaracje, zwierają mu się ze swych duchowych perypetii, — jakby od lat czekali na nadejście tego duszpastucha).

Po co to wszystko? Komu to potrzebne? Długo, bardzo długo trzeba będzie sklejać porcelanę rozbitą przez niefrasobliwe słońtako, i to gdzie? W sklepach znanych ze swej wypróbowanej propolskości! (Zresztą tylko z takimi Niemcami nasz turysta stykał się w Monachium; inne spotkania, zwłaszcza te „szokujące” i naiwnie zdemonizowane, po prostu sobie wydumał. O czym zaświadczyć mogą towarzyszący mu dwaj tłumacze — Brycht nie zna języka niemieckiego, on się go tylko „domyśla” — którzy w charakterze Wergiliusza odbyli z nim wędrowkę po dantejskich kręgach monachijskiego piekła).

Wiemy, że polityka rządu w Bonn powstrzymując się przed uznaniem zachodnich granic naszego państwa, przyczynia się do podtrzymywania w społeczeństwie polskim nastrojów antyniemieckich. Wiemy, że w Niemczech zachodnich nie brak sił antypolskich. Z pewnością nie należy ich bagatelizować. Ale i nie diabolizować. Do zagadnienia należy podchodzić rzeczowo i poważnie, jak to zresztą czynią liczni niemcoznawcy w kraju. Nasuwa się pytanie, czy brychtowa metoda zdzierania głosu, pośpiesznych uogólnień, fingowania antypolskich wystąpień, wypowiedzi i publikacji (mój Boże, jakby nie było *autentycznych* pod dostatkiem!), rozdawanie sierpowych na oślep, z przepaską ignorancji

na oczach, nie oddaje przypadkiem niedźwiedziej przysługi sprawie obrony naszych interesów narodowych i państwowych? Gdybym był redaktorem osławionej „National- und Soldaten-Zeitung” czy niemniej szowinistycznego „Schlesiera”, życzyłbym sobie, by niemcoznawstwo w Polsce składało się z samych Brychtów.

Warto by może dorzucić jeszcze i taką uwagę, że ataki Brychta na emigrantów polskich w Monachium, broniących interesów swego kraju w szczególnych warunkach, bo nie na własnej ziemi (łatwiej jest nieraz być Polakiem nad Wisłą niż nad Izarą), z polskiego punktu widzenia pozbawione są większego sensu. Chyba, miły Andrzejku, że chodzi tutaj jedynie o efektowny pokaz możliwości hydraulicznych w kolorze tęczy. Jak ten, demonstrowany przez chłopca-fontannę na brukselskim placu. Tylko po co tej czynności nadawać charakter polityczny?



A może czytelnika zainteresuje jak naprawdę wyglądało moje spotkanie ze wschodzącą gwiazdą literatury polskiej?

A więc zjawił się któregoś dnia ów dryblas o z lekka prosiaczkowatej urodzie i knajackim uśmieszku, przedwcześnie otyły, w dęciaku, wcięty w pasie, elegant z Woli, postać z ogródkowego teatryku, w sakpalcie (co mi z miejsca przypomniało, że niedawno naszego domu w Bydgoszczy rozbił kiedyś namioty cyrk Medrano i w tym cyrku występował jeden linoskoczek i ten linoskoczek był również mistrzem trapezu i miał na sobie takie śmieszne palto i to palto nazywaliśmy „palto mortale”), a z tego sakpalta zaraz na progu wyjął butelkę siwuchy, potrząsnął nią radośnie w rękawiczkach *peccari* i powiedział, że bardzo, bardzo się cieszy, zawsze o tym marzył, żeby poznać mnie osobiście i oto marzenie jego spełniło się, i zapytał czy też mam taki kapelusz jak on, a jeśli mam, to niech pokażę... Potem wziął mój kapelusz w bokierskie łapki, zmiął go i powiedział: „Zobaczymy, he-he, czy się rozprostuje, bo mój, jak go zmiąć to sam się po chwili, he-he, rozprostowuje”. Mój się sam po chwili nie rozprostował, z czego przybysz w sakpalcie bardzo się ucieszył, i zauważył, że jego dęciak, chociaż w kraju, na ciuchach, kupiony, nie mnący jest i nie łamliwy, wody nie przepuszcza, ale wódkę może, gdy do głowy uderzy; już nie mówi się teraz w ojczyźnie głowa, lecz „baśka”, a rozum — to „radarek”.

— W okularach mi pewnie lepiej, co? — mówił dalej, różowy obwarzanek pod nosem nie zamykał się na moment; monologista na przyśpieszonym obrocie — wyglądam poważniej, mógłbym ich nie nosić, ale je noszę, nie to żebym bez okularów nie widział, bo widzę, tylko trochę gorzej, ale, jak mówią, he-he,

pisarz bez okularów, to z przeproszeniem jak dziewczucha bez... o, pardon, przepraszam, żoneczka, widzę, się zbliża, rączki całuję, kwiateczki są, „warzywa”, jak się to u nas mówi na kwiatki, bo to śmieszniej; nie, nie na cmentarzu zerwane, jak to niektórzy robią, ale w kwaciarni kupione...

I popłynął bełkot, wartki jak górski potok, rozpryskany, rozbulgotany, beztroski, z chichotkiem, z radosnym: „No, to siup w ten głupi dziób!”. Bełkocik o sobie, o sobie i tylko o sobie, bo wszystko inne mniej ważne. A więc: przydałyby mu się mareczki na samochód, na BMW, ale wiele, mareczek; co tu zrobić żeby zarobić; powinno mu się pomóc i coś wykombinować, bo wóz dla niego to wszystko, nie przesadza, o nie, bez wozu nie ma życia; ale biedny nie jest, radę sobie daje, przyjaciół ma, i to ho-ho jakich koleśiów, ale powie prawdę: pisarzy to właściwie dzisiaj w Polsce poza nim i może jeszcze Andrzejewskim nie ma, no bo kto? „wapniaki” się kończą a obsusiańce albo świata nie znają, w pierdlu nie siedzieli albo mowy nie czują, a mowa najważniejsza, więc, owszem, chodzi mu po głowie powieść wielotomowa, coś lepszego od Dostojewskiego, chociaż ten Dostojewski, niech go cholera, zagrania ma nieliche, dobry pisarz; w domu pisarzy, w Oborach się zamknie, koło garażu, gdzie kiedyś tego dziadźkę Grzymałę ulokowali, i tam mu chyba z dwanaście tomów wyskoczy, dwanaście to dobra cyfra, jest dwanaście miesięcy, dwunastu apostołów; to mu przypomina, że kiedyś na ringu dwanaście rund się naparzał, jak ci Murzyni w Ameryce, ale co to za boks teraz w Polsce, ducha chłopaki nie mają: iskra i zapłon, to we wszystkim najważniejsze; a w ogóle to już niejedno przeżył, żonaty był co najmniej dwa razy a teraz dziewczynę ma pierwsza klasa, i w karnej kompanii, na kopalni, na Śląsku wpierdol dostał niewąski, o przepraszam, ma nadzieję że pani tego nie słyszy; więc siedział tam, ale nie za politykę, co się tam do polityki mieszać, i tak świata nie zmienisz, lepiej się jak wesz na grzebieniu nie miotać, ale siedział za coś innego: kawalerska zabawa ze szkłem tłuczonym na twarzy bliźniego; no, a w śląskim kiciu radia po kryjomu w stolarni słuchali, lepsza zgrywa była, razem z klawiszami; takie już jego kosmate szczęście, że zawsze mu się coś przydarzy co na literaturę zakrawa, na przykład ta heca z Mieciem, a tak, zadarł z nim; jak się stało, zaraz opowie, bo to ciekawa historia; zaczęło się przy bufecie, jednemu gościowi, co się stawiał, ale innym postawić nie chciał, szczękę rozluźnił, któż mógł wiedzieć że to kumpel generała jeszcze z leśnej epopei, przecież takich szczegółów biograficznych człowiek na twarzy nie ma wypisanych; gorzej że ten chamuś, co wycisk dostał przy bufecie, skarżył się później po całej Łodzi a nawet z tą skargą do Warszawy jeździł, że nie tylko szczęka mu wysiadła, ale i żąb

mądrości do którego on szczególnie był przywiązany, pękł na dwoje, przez co ból był podwójny, on jeszcze teraz kłapacz nosi na druciku, ale po co tak dokładnie incydent ten opisuje? — po to, że kiedy rocznica bitwy o gajówkę się zbliżała i generał różnych zbawidowców dekorować przyjechał, pierwsza rzecz — o przyjaciela z lasu zapytał jak mu leci i tak dalej, a tu przyjaciela nie ma, w szpitalu się zrasta, i tylko puste miejsce na scenie; więc się zdziwiony do adiutantów nachyla i o wyjaśnienie prosi, a oni mu raportują: „pisarz jeden, dobrze zbudowany, szczękę mu rozmeblował!”, tak generał przybladł na tę wiadomość i rzekł do otoczenia: „już ja wiem jaki to pisarz, znam ten charakter pisma, on się Brycht nazywał!” A później, takie już jego szczęście, dziennikarzowi z Paxu nogę złamał w tańcu, i dwa patyki, jakie od nich za opiekę nad młodą prozą co miesiąc otrzymywał, sam Bolcio z budżetu wykreślić kazał, ale on nie zginie, baśka pracuje, radarek gra; a gdyby tak przyszło mu do głowy zostać na Zachodzie, to co by tu robił; języka żadnego nie zna, szoferakiem by został; ach, to też musi opowiedzieć: kłopoty z cenzurą! więc nowełczkę napisał, cholernie ciekawą: o ekshumacji grobów, bo teraz ziemię u nas ryją i bohaterów liczą, jak się chłopaki ze szpadelkami do lasu zapuścili, w nocy to było, księżyc świecił, więc żeby im smutno nie było, po litrze wypili i piosenki harcierskie śpiewali, a potem dla rozgrzewki, bo zimno się nad ranem zrobiło, bić się zaczęli i jeden drugiego — ciach! — szpadlem po głowie, ale coś za mocno go uderzył, bo później ciało w krzakach schować musieli, takie różne przygody z życia wzięte, ale nie wiadomo czy tę nowelkę wydrukują, podobno żołnierzy Września obraził, bo chłopcy się na mogile pobili, a to jest, mówi pan Wieczorek, niedopuszczalne, żeby w takim miejscu jeden Polak drugiego Polaka; gdyby Szekspira czytał, to by zauważył, że tam też grabarze występują, ale co tam z takimi „wapiakami” dyskutować, — groch o ścianę! — a czy o tym już mówił jak wetknął Grochowiaka do swej „Wycieczki do Oświęcimia” — zabawna historia; trudno, trzeba znajomych unieśmiertelnić; aha, jeszcze sobie coś ciekawego o sobie przypomniał, to trzeba opowiedzieć, otóż pewnego razu...

O sobie, o sobie, o sobie. I tak do późnej nocy — szumi potoczek, szumi! pieni się monolożek, pieni; dudni woda, dudni w tej Brychtowej studni; miało być wesoło, a jest coraz nudniej...



Nie potykałbym się z tym dwunożnym symptomem (czego — chyba stało się już dostatecznie jasne), gdyby nierzetelnym reportażom Brychta nie nadano w Kraju olbrzymiego rozgłosu.

Myślę, że pierwszy polski kosmołazik nie będzie miał u nas podobnej prasy. Na polecenie tzw. czynników (znam tę sprawę dość dokładnie, ale nie warto zanudzać czytelnika szczegółami) raport Brychta przedrukowała prasa prowincjonalna i kilka czasopism. „Głos Koszaliński” (moja ulubiona lektura; redaktor naczelny: Zdzisław Piś, popularny „Zdzisio-Pisio”) najgłośniejsze zadał w fanfarę, że oto Brycht zerwał maskę ze zbrodniczej gęby wroga, demaskując przy tym pseudopolaków w służbie imperializmu anglosaskiego! (Piś, Pisiu, piś, co masz napisać jutro, napisz dziś. Co ma pisać, nie utonie!) Puszczono w ruch radio i telewizję. Hurra, *habemus prophetam!* Posypały się listy pochwalne do redakcji „Kultury”. Nobla dla Brychta! Zapowiedziano wydanie książkowe bałamutnych reportaży, które — oczywiście! — wejdą w skład lektury szkolnej. Ino patrzeć jak obrotny kompozytor napisze muzykę do Brychta, jak go przerobią na film, na scenę, na balet, na pieśń dożynkową. Już go dygnitarze cytują na akademiach państwowych i zjazdach kombatanckich. Mają go z kolei wysłać do Wietnamu, jako męską Warneńską, by opisał bestialstwa Amerykanów.

O jednym jednak głucho: żeby nasz niemcoznawca miał wyruszyć z misją „demaskatorską” do wschodnich Niemiec. I tutaj mu silnych wrażeń nie zabraknie. Choćby takich: przekrada się w nocy człowiek przez zasieki. Ale już go dostrzegli. Już go złapali w dwa reflektory. Zanim oparł materac o druty, trafili go z tyłu. Całą serią. Zwinął się w kłębek. Leży w kałuży krwi. W samym sercu Europy.

Taniocha? Może. Ale przynajmniej nie zełgana.

Wysłać Brychta do Ulbrichta! Ale po co? Przecież on tam nic zdrożnego nie dostrzeże...



A jednak wewnętrzny *advocatus* tego huncwota do ostatka nie daje mi spokoju. Ten nieznośny nałóg: chętniej się wsłuchiwać w argumenty cudze niż własne! Ta naiwna wiara, że motywy są ważniejsze od postępków! A może ja Brychta krzywdzę? Może intencje jego są bardziej złożone i odczytałem je uprzedzonym okiem? Może należałoby się posłużyć interpretacją bardziej relatywistyczną? — Za mało szans dla mojego mandanta — słyszę probrychtowską cząstkę głosu sumienia — *In dubio pro reo!* — Wątpliwości? Jakie? — A choćby taka, wcale nie błaża: czy można wymagać od niedojrzałego i nieokrzesańca, który miał niewiele ponad dziesięć lat, gdy na pobojuwisku wybuchła „nowa rzeczywistość” a wojna ciągle jeszcze żyła w ludziach dalej, którego kształtował a pewnie i zniekształcał okres szczególnych ciś-

nień i spustoszeń w życiu społecznym i umysłowym; którego młodość przypadła na lata dezintegracji obyczajowej i moralnej, aby w trzydziestym drugim roku życia błyszczał zaletami bohaterów Conrada i miał mentalność inną niż brychtowską? — Ale inni mają! — Może nie miał warunków, potrzebnych pisarzowi do osiągnięcia niezależności sądów? Nie każdemu jest dane posiadać wiedzę o złożoności zjawisk tego świata. Nie łudźmy się, że twarde doświadczenia życiowe podnoszą horyzonty umysłowe. Należy się obawiać, że ten rodzaj umysłowości, jaką reprezentuje „homo brichtiens”, nie jest w naszych warunkach politycznych bynajmniej odosobniony; co więcej: niepokoi mnie myśl, że jest on nie tyle produktem współczesności co określonych tradycji rodzimego partykularza. A co do antyemigracyjności Brychta: jest to sprawa złożona i chyba wymykająca się spod sądów wartościujących, formułowanych w sposób kategoryczny. Podobnie jak cierpkie uwagi o dyspozycyjności młodego pisarza. Oburzenie moralne niewiele tutaj wyjaśnia. A może napisał swój raport na ochotnika, bez fluidów z zewnątrz, z pełnym przekonaniem o słuszności swych racji? — Więc co? Całą parą wstecz? Całego „Antybrychta” przekreślić i może wyściskać go jeszcze za rozkoszne merdanie piórem przed władzą? Za benefis demagogii i nierzetelności dziennikarskiej? — Oceniasz go z perspektywy emigracyjnej! — Trudno, żebym go oceniać z perspektywy antyemigracyjnej! — O tertium *datur*! Hasło: „Kto nie z nami, ten przeciwko nam!” niedobre wywołuje reminiscencje. Drogi między krajem a emigracją rozkojarzyły się... — Jakim „krajem”? Nie pasujmy tego skryby na „vox Poloniae”! — A może on wie o nas tylko tyle, ile wie, ile w niego wpojono, a więc serdecznie mało, i dlatego chciałby „brzydkich emigrantów” unicestwić? Może więc nie tyle talencik życiowy i względy koniunkturalne, co po prostu zwykła *niewiedza* dyktuje mu okrzyk „Nienawidzę ich! Ci ludzie nie mają prawa istnieć”? — Spóźniony pogrobowcze Oświecenia! Łudzisz się, że wystarczyłoby takiego Brychta oświecić, a straciłby nagle ochotę do pisania nierzetelnych tekstów! „Twardy Felek” na naszym bloku miał magisterium z historii sztuki... — Te skojarzenia są krzywdzące; tonem swoim przypominają „Raport z Monachium”. Powstarcie: byłoby nawet dziwne, gdyby w społeczeństwie niemal od ćwierć wieku żyjącym poza praktyką autentycznej demokracji, niewybredny „syllogizm”: „kto oponuje przeciwko ustrojowi czy państwu, staje się wrogiem Polski” nie miał wycisnąć jakiegoś tam śladu na mniej krytycznych umysłach. „Nie to mnie zasmuciło, że ludzie tam nie są wolni — pisał Francuz podróżujący po zesłowieczonej Rosji — lecz to że nawet o tym nie wiedzą”. — „Przynosimy wam wolność! — zawołał oficer amerykański, wpadając pod koniec tej wojny do zdo-

bytej wioski na prawym brzegu Renu. — Wolność? — zdziwili się oswobodzeni bauerzy. — Pierwsze słyszymy, że nie byliśmy wolni”. Mówił mi niedawno rozgoryczony Hiszpan w Paryżu: „Jest w naszym kraju sporo studentów i robotników, którzy gotowi są do poświęceń, miliony zaś interesują się jedenastką piłkarską „Real Madrid”. Co jednym ciąży, do innych jakby nie docierało. Ot, kwestia świadomości!” — Do czego zmierzają te przypowieści? — Więc może i Brycht przypuszcza, że żyje w najlepszym ze światów, a kto zakłada sprzeciw w kwestiach dla jego rozumu niedosiężnych, jest w jego mniemaniu „zdrajcą” i „wrogiem”. Zapytywany, co sądzi o Kuroniu i Modzelewskim, młody starzec pogardliwie wydał wargi: „To wariaci! Zle im było? Siedzieliby lepiej na dupie!” — Podobne wydęcie warg już gdzieś widziałem: u młodego Niemca, fabrykanckiego synka, salonowego komunarda w Hamburgu. „Daniel i Siniawskij? — wzruszył ramionami aż mu kołnierzyk modnej zamszowej marynarki wjechał pod beatlesowską peruczkę. — Dwadzieścia lat. powinni im wlepić! Przecież to kontrrewolucjoniści!” — Nie widzę w tym okoliczności łagodzących dla naszego dryblasza w sakpalcie. Wręcz przeciwnie: zasłużył na dożywotni pobyt w hebanowym pudełku. To stałe powoływanie się obrońcy na młody wiek i kiełbie pod czupryną. Młodość! Młodość! Egzaltacje na punkcie młodości, która jest zapłatą samą w sobie i premiować jej za ten przywilej nie potrzeba, wydają mi się — podobnie jak kult bicepsa i tężyzny — faszyzmem podszyte.

Niestety, autora „Raportu z Monachium” uwolnić się nie da. Praworządność na to nie pozwala. Niesumiennosc, demagogia, składanie fałszywego świadectwa — są to grzechy niewybaczalne. Wsadźmy go więc do tego drewnianego czyścica i domu poprawy — aż do odwołania. Niech tam grzesznik na razie siedzi i rozmyśla nad względną (bo tylko materialną, ale nie moralną) opłacalnością pisywania nieuczciwych artykułików dla przypodobania się władzy. Ulubieńcy bogów usychają młodo.

Jeśli jednak napisze wartościową, artystycznie dojrzałą książkę, może liczyć na przedterminowe wypuszczenie na wolność. A nawet na ufundowany przez emigrację nowy dęciak.

Trudno: sameś tego chciał, zuchwalcze! Przekreślamy twoje nazwisko po trzykroć. Wkładamy je do hebanowego pudełeczka w kształcie trumienki. Zamykamy wieko bez jednej łyżki w oku. A na czarnym drzewie niepoświęconą kredą — innym ku przestrodze — umieszczamy napis:

„Hier liegt der Brycht begraben! Tu leży Brycht pogrzebion!”

Tadeusz NOWAKOWSKI

Psychologia więźnia

W odczycie na ten temat w Warszawie, Józef Piłsudski mówił 24 maja 1925 r., że

„w Polsce więzienie jest stałym, codziennym jak gdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski”.

Szczęśliwie, było to wówczas tylko poetyką licencją; rzeczywistością stało się dopiero po 15 latach. Dopiero po 1939 już nie dziesiątki, setki czy tysiące Polaków, jak za czasów zaborczych, lecz dziesiątki i setki tysięcy zapoznać się miały „jako z rzeczą codzienną” z życiem więziennym i obozowym, zarówno w Rosji jak Niemczech.

„Rzeczy codzienne” z reguły nie są ciekawe, toteż stosunkowo niewielu polskich więźniów z tego okresu uważało za właściwe utrwalić na piśmie swoje przeżycia i opisać losy. Na palcach policzyć można relacje, które, prawdopodobnie, posiadać będą wartość trwałą, bądź to jako osiągnięcia artystyczne, bądź źródłowe dokumenty historyczne, polityczne, socjologiczne czy psychologiczne. Osobiście pod tym względem najwyżej bodaj stawiam relację obywatela polskiego, która dotąd nie została ogłoszona w języku polskim. Mam na myśli dra Juliusza Margolina, który został aresztowany w Pińsku w czerwcu 1940 i przeszło 5 lat spędził w sowieckich więzieniach i obozach pracy; jego, wydaną po francusku, książkę omawiałem w swoim czasie w „Kulturze” (Nr 11/37 z listopada 1950).

Wydane w 1965 *Wspomnienia** prof. Władysława Wielhorskiego pisane były przed przeszło ćwierć wiekiem: „na pokładzie okrętu 'Duchess of Atholl'”, którym to statkiem w kilka miesięcy po zwolnieniu z sowieckiego więzienia autor jechał z Rosji do Anglii. Nie były wówczas przeznaczone do druku i, jak czytamy w „Uwadze wstępnej”, celem ich było

* Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego. Władysław Wielhorski: *Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej*. Nakładem księgarni „Orbis”, Londyn, str. 143, twarda okładka.

„pozostawienie rodzinie i przyjaciołom, którzy w okresie wojny byli daleko ode mnie, wiernego obrazu wewnętrznych przeżyć, jak również doświadczeń, zaczerpniętych ze świata otaczającego. Starałem się przede wszystkim o odtworzenie prawdy jak najbardziej rzetelnie i wyraziście, zachowując proporcje w poszczególnych zainteresowaniach takie, jakie zajmowały w mej świadomości”.

Z niektórych uwag i dopisków (np. na str. 20 i 37) wynika, że autor przeglądał pisane przed laty wspomnienia przed oddaniem ich do druku, prawdopodobnie jednak nie poczynił w nich istotnych zmian. Miało to swoje zalety i wady: książka zachowała charakter ściśle osobisty i „rodzinny” i nie zostały z niej usunięte niektóre drobne usterki (jak np. nazwanie „okrętem” statku pasażerskiego lub wzmianka o „miejscowym języku kaukaskim” [!] w Baku); ponieważ zaś z biegiem lat poszczególne „proporcje” uległy znacznym zmianom, nabrała w pewnym stopniu charakteru „anachronistycznego”.

W szczególności *Wspomnienia* kategorycznie zaprzeczają zdaniu wypowiedzianemu przez Piłsudskiego w roku 1925. Wbrew dość powszechnemu wśród Polaków po roku 1945 uważaniu więzienia za „rzecz codzienną”, dla prof. Wielhorskiego znalezienie się w więzieniu w Wilnie „w piątek, 12 lipca 1940” oraz pozostawanie za kratami „równo 62 tygodnie (14 miesięcy i jeden tydzień)” stanowiło wstrząs zupełnie wyjątkowy. Aczkolwiek, odmiennie od większości polskich więźniów, nie przeszedł on przez obóz przymusowej pracy, zaś z owych 62 tygodni prawie 50 pozostawał w Wilnie, gdzie — niekiedy — otrzymywał od rodziny paczki oraz znajdował się przez pewien okres pod stosunkowo liberalniejszym od sowieckiego reżymem litewskim, ostatnie zaś 5 tygodni w Gorkim spędził w warunkach „po-amnestyjnych” — pod jego piórem warunki w więzieniu NKWD wyglądały absolutnie nie do zniesienia:

„Pokój miał 40 metrów sześciennych pojemności. Mury ociekały wodą i pokryte były grzybkami zielonawym. Zarodniki jego unosiły się w powietrzu; miało ono ostry, gorzkawy zapach. Kaloryfery były zawsze rozpalone; atmosfera łaźni; czterech więźniów. Całą dobę pali się lampa elektryczna. Okno światła nie przepuszcza, gdyż jest poniżej poziomu ulicy. Trzy rzędy szczelnych szyb i hermetycznie zatrzaskujące się drzwi. ... Przeżycia nasze podobne być musiały do tego, co odczuwają ludzie w zatopionej łodzi podwodnej” (str. 26) „... nie mogłem przetrwać... dłużej niż 46 dni. Płuca moje cielesne nie zdołały dłużej oddychać mieszaniną pary wodnej, azotu, bezwodnika węglowego, gazów, dobywających się z kału ludzkiego, gdzie tlen stanowił tylko drobną domieszkę” (str. 51). „Żarówka elektryczna, jedyne źródło światła przez całą dobę, raziła mi boleśnie źrenice. Nie wolno tu było nocą zawiązywać oczu chustką, jak na Łukiszkach. Kazano nam również trzymać ręce na wierzchu podczas snu... W ciągu pierwszych tygodni spałem też bardzo niewiele. Rachunek dni zagubiłem rychło po przyjściu do celi. Następnie traciłem stopniowo poczucie wszystkiego, nawet własnego istnienia” — „Człowiek po przejściu ciężkiej choroby z gorączką i maligną — mało co o niej pamięta później; podobnie i ja w tym wypadku mam we wspomnieniu niemal jedną chwilę przeżyć piekielnych i zdaje mi się, że nie mogło to nigdy trwać półtora miesiąca” (str. 55).

Że warunki pobytu w więzieniu NKWD w Wilnie odtworzone zostały nie tylko wyraziście, lecz i rzetelnie, świadczy fakt, że wielu więźniów postra-

dało tam następnie życie; wśród nich był również ostatni Rektor USB, Stefan Ehrenkreutz. Byli jednak i tacy, którzy zdołali je przetrzymać; gdy zaś, po roku 1945, wiadome się stało jak potworne było bestialstwo sowieckich i hitlerowskich oprawców i jak wielką wytrzymałość ich ofiar, styl opisu indywidualnych doświadczeń uległ z reguły pewnemu stonowaniu.

W czerwcu 1941, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, więźniowie z Wilna zostali wywiezieni do Rosji. Opisując swoją 10-ciodniową podróż do Gorkiego nad Wołgą, autor określa ją jako

„'piekielną' bez przesady, a to ze względu na pragnienie i na głód, na gorąco, zaduch, brud, na towarzystwo, na bezsenność przymusową i na męczarnie, wynikające z niemożności wyciągnięcia ciała” (str. 87).

Podobną podróż, w tym samym czasie i w analogicznych warunkach, odbyłem z Wilna do Krasnojarskiego kraju na Syberii; trwała dni 24. Opisałem ją przed laty w „Kulturze” (Nr 11/37).

Po zwolnieniu z więzienia autor przez 3 tygodnie pozostawał „na stanowisku urzędnika sowieckiego pod Wiatką” „w charakterze agronoma do celów inspekcji ekonomiczno-rolniczej kołchozów”. Pomimo to, że — jak sam pisze — „za krótko widziałem wieś sowiecką, by móc sobie wyrobić pojęcie jakiegokolwiek w tej sprawie” (metod organizacji pracy w kołchozach) w „Przedmowie” do książki czytamy, że

„gdy, po uwolnieniu, zostaje doradcą fachowym kołchozu, znajdujemy w pamiętniku szereg bystrych spostrzeżeń na temat rolnictwa sowieckiego, jego organizacji, metod pracy, sprzętu rolniczego i t.d.”.

Moim zdaniem, książka jest bardziej interesująca i oryginalna w przedstawieniu „wiernego obrazu wewnętrznych przeżyć” autora, niż „doświadczeń, zaczerpniętych ze świata otaczającego”. Uderza w niej swoisty mistycyzm oraz otwartość w ujawnianiu tendencji masochistycznych.

Już w samym fakcie aresztowania i trafienia do sowieckiego więzienia — jak pisze autor —

„mieści się zagadka psychologiczna, której nie potrafiłem dotychczas rozwiązać. ... Jest dla mnie tajemnicą, jakimi pobudkami kierowany, odniosłem wieczorem Jagminom klucz od zatrasku i postanowiłem nocować w domu (czego, jak wielu innych Wilnian w owym czasie, z reguły nie robił)... Jest w tym punkcie coś tajemniczego, rzekłbym, niepokojącego dla mnie zawsze, wielekroć do tej chwili wraca myśl. Jakaś przesłona zjawia się wówczas w świadomości i muszę ją omijać. Przeniknąć — nie potrafiłem. Fakt pozostaje faktem, że położyłem się wieczorem, we czwartek, 11 lipca 1940 r. najspokojniej spać we własnym pokoju, wbrew logice postępowania całego ubiegłego tygodnia” (str. 19).

Tajemnicze „siły wyższe”, które spowodowały trafienie autora do więzienia, dawały mu tam dodające otuchy znaki:

„Pierwszy miesiąc samotności w celi pozostał w pamięci jako najcięższy z całego czasu uwięzienia i bodaj jeszcze trudniejszy do przetrwania, niż pobyt w celi inkwizycyjnej w podziemiach... w przeddzień przeniesienia mnie z tej paki trumiennej, 10 sierpnia, gołąbek jakiś uronił do okna białe piórko. Okazało się ono dobrym zwiastunem. Nazajutrz byłem już w celi zbiorowej” (str. 29).

„Gdy dochodziłem — w przeświadczeniu własnym — do krańca odporności, gołębek rzucił do okna poza kratę białe piórko, i... okazało się ono symbolem dobrej nadziei... Poczułem się wyprowadzony z grobu i wrócony życiu... Po raz wtóry przeżywałem takie samo uczucie 6 marca 1941... Poczułem się, jak człowiek wydobyty z zatopionej łodzi podwodnej, który uprzednio pogodził się już z faktem, że umiera... Ale nim serce bić przestało, ręka niewidzialna przeniosła mnie z podziemi NKWD i pozwoliła stopniowo odzyskać siły” (str. 120).

Po raz trzeci, zdaniem autora, dobroczynna interwencja „sił wyższych” nastąpiła 21 października 1941, gdy po zwolnieniu z więzienia i po porzuceniu pracy w charakterze „urzędnika sowieckiego” pod Wiatką jechał w głąb Azji w nieznaną:

„Stałem u kresu wyczerpania *konstytucyjnego*. Zasoby energii chemicznej ustroju kończyły się. I oto znów, jak przedtem, nim wszedłem na drogę ostatecznej zguby,... wdała się znów moc niewidzialna w moje życie...” (str. 120).

Chodziło o to, że prof. Wielhorski przejeżdżał przez Kujbyszew tego samego dnia gdy przybyła tam z Moskwy polska Ambasada z prof. Kotem na czele:

„prof. Stanisław Kot przyszedł osobiście zlustrować nasz transport... wyrwał mnie tylko jednego i pozostawił, by leczyć i karmić. ... Od młodości czułem się zawsze pod opieką sił wyższych. Świadomość tego stanu występowała silniej, lub słabiej, zależnie od przeżywanych stanów ducha i ewolucji jego. Ale nie gasła nigdy. W czasach które opisuję, przekształciła się w stan niezachwianej pewności” (str. 120).

Nie jest dla mnie jasne, czy i w jakim stopniu ów „stan niezachwianej pewności” znajdowania się pod specjalną opieką „sił wyższych” wpływał na kilkakrotnie ujawniony we *Wspomnieniach* pozytywny stosunek prof. Wielhorskiego do cierpienia i bólu:

„Najłatwiejsze przeżycia moje na śledztwie, to było właśnie kopanie nogami; wprawiało nawet — nim zemdlałem — we wściekłość, a równocześnie jakby w jakiś gorączkowy humor”. „Cierpienia, ani fizycznego, ani duchowego, nie boję się. Nawet — nie jest to przesada — lubię je” (str. 30). „... cierpienie, którego się tak lęka zwierzęca natura, czynna w każdym z nas — jest największym dobrodziejem człowieka... W twardej praktyce codziennej tego cierpienia, odbywanej w więzieniu, nie tylko polubiłem je. Tego za mało. Miałem pociąg do cierpienia, nawet fizycznego, od młodości. Zdołałem bowiem odnaleźć na dnie jego, trudno uchwytny dawniej, lecz przecież pociągający czar i wdzięk radości... Obecnie radość ta uderzyła z dna duszy, jak strumień wezbrany, i stawała się przeżyciem coraz trwałszym i potężniejszym” (str. 50).

Rzadko spotykamy się w druku z podobną otwartością i szczerością i, z tego punktu widzenia, książka prof. Wielhorskiego stanowić może cenny przyczynek do badań nad istotą nieznaną — Człowiekiem.

Komunikat

OGŁASZA SIĘ SUBSKRYPCJĘ

na tom wierszy ALEKSANDRA WATA

pt. „CIEMNE ŚWIECIDŁO”

książka — 240 str. dużego formatu — zawierać będzie:
wiersze nowe z lat 1962-67, oraz wybór wierszy dawniejszych.

Subskrybentom egzemplarze (podpisane przez autora) będą rozesłane
w lipcu br.

Cena w subskrypcji: F 15 (dol. 3,00; 20/-).
(cena księgarska będzie wyższa)

Zgłoszenia i przedpłaty — do 15 czerwca br. — przyjmuje:
Librairie „Libella”, 12, rue Saint Louis-en-l'Isle, Paris, 4°.

Nadesłane nowości wydawnicze

LESZCZA (Jan). *Konie drewniane*. Poezje. Str. 48. Rysunek na okładce Krystyny Sadowskiej. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1967).

ŁAKOCIŃSKI (Zygmunt). *Magnus Stenbock w Polsce*. Przyczynek do historii szwedzkich zdobyczy w czasie wojny północnej. Str. 143 i 3 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław, 1967, cena 25 zł.).

Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945. Opracowali: Władysław BARTOSZEWSKI i Zofia LEWINÓWNA. Str. 634 i 2 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, 1966, cena zł. 75).

Walka trwa. Światowy Zjazd Polski Walczącej w Londynie w dniach 19-21 maja 1966 r. Sprawozdanie pod redakcją Adama Ciołkosza. Str. 176. Nakł. Egzekutywy Zjedn. Nar., Londyn).

GOMBROWICZ (Witold). *Bakakaï*. Contes, traduits du polonais par Georges Sidre, Allan Kosko, Brone. Str. 288. (Wyd. Denoël, Paris, 1967, cena F. 19,00).

L'affaire Siniavski-Daniel. Traduction, notes et dossier établis par Nadine et Pierre Forgues. (Christian Bourgois éditeur, Paris, 1967, cena F. 20,00).

SZYMAŃSKI (Leszek). *On the Wal-laby Track*. Str. 166. Okładka i rysunki na okładce Krystyny Sadowskiej. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn, cena 20/-; w opr. 25/-).

MACIEJEWSKI (B.M.). *Karol Szymanowski. His Life and Music*. Przedmowa Felixa Aprahamiana. Str. 148. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn, 1967, cena 18/-).

- GILSON (Miriam) and ZUBRZYCKI (Jerzy). *The Foreign Language Press in Australia 1848-1964*. Str. 233. (Wyd. The Australian National University, Canberra, January 1967, cena dol. aust. 6,90).
- The Israel Year Book*, 1967. Str. 291. (Wyd. Israel Yearbook Publications, Ltd. in Cooperation with the Economic Department of the Jewish Agency, Tel Aviv, 1967).
- CZAPSKI (Josef). *Unmenschliche Erde*. Przełożył z polskiego Willy Gromek. Str. 468. Mit einem Vorwort von Manès Sperber. (Wyd. Kiepenheuer und Witsch, Köln-Berlin, 1967).
- LIPSKI (Leon). *Piotruś*. Ein Apokryph. Str. 156. Przełożył z polskiego Oskar Jan Tauschinski. (Wyd. Luchterhand Verlag, Neuwied und Berlin, 1967).
- SINJAVSKIJ (Andrej). *Pensieri improvisti*. Str. 109 et 3 nlb. (Wyd. Jaca Book, Milano, 1967, cena 800 lirów).
- Nello spirito del Concilio*. Scambio dei messaggi tra l'Episcopato polacco e l'Episcopato tedesco. Introduzione di Witold Zahorski. Str. 16. (Roma, 1967).
- TERTZ (Abraham). *Lubimov*. Estudio preliminar de D. Porzio. Con un apéndice sobre et caso Siniaevski-Daniel. Str. 348 et 8 nlb. (Lumen Editoria, Barcelona, 1967).
- MACKIW (Theodore). *Prince Mazepa, Hetman of Ukraine, In Contemporary English Publications, 1687-1709*. Str. 126. (Wyd. The Ukrainian Research and Information Institute, Inc., Chicago, 1967, cena dol. 3,00).
- PONEDIŁOK (Mykoła). *Witaminy*. Humorystyczni obrazky po toj i po sej bik Okeanu. Str. 333. (Wyd. J. Seredniaka, Buenos Aires, 1966).
- POHIDNYJ (Mykoła). *Marijka Łebidka — Lisowa Kwitka*. Malunki Borysa Kriukowa. Str. 32. (Wyd. J. Seredniaka, Buenos Aires, 1966).
- Smichowyna*. Krapli dla dobroho humoru z liaboratorii Borisa Kriukowa. Str. 191. (Wyd. J. Seredniak, Buenos Aires, 1966).
- Kalendar-Almanach Miłła* na 1967 rik. Str. 128. (Wyd. J. Seredniaka, Buenos Aires, 1966).
- KLENOWSKIJ (Dm.). *Stichi. Izbranoje iz szesti knig i nowyje stichi 1965-1966*. Str. 213. (Wyd. Inter-Language Literary Associates, Monachium, 1967).
- TERC (Abram). *Fantastyczeskije powiesti. Sud idiot. Ljubimow. Cztotakoje socjalistyczeskij realizm*. Str. 454. (Wyd. Inter-Language Literary Associates, Monachium, 1967).
- BJENKOVSKI (Zbignjev). *Vidim i Opisujem*. Wybór i przekład Petar Vujicic. Str. 93 i 3 nlb. (Wyd. Prosveta, Beograd, 1966).
- Encyclopedia of Philosophy*, New York. Wyd. Collier-Macmillan, 1967, zawiera w tomie I na str. 62-63 biografię Kazimierza AJDUKIEWICZA, zaś w tomie IV na str. 361-363 biografię prof. Tadeusza KOTARBIŃSKIEGO.
- BERGER (L. dr). *Studies in Israel Development Thought*. Str. 24. (Odbitka z „The Israel Year Book”, 1967).
- RUDZINSKI (Aleksander W.) *Soviet-type Audit Proceedings and their Western Counterparts*. Str. 287-330. (Odbitka z „Law in Eastern Europe”, No 13).
- DANIEC (Jadwiga Irena). *The Bronze Door of the Gniezno Cathedral in Poland*. Str. 56. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. XI, No 4, Autumn, 1966, New York).
- DRZEWIENIECKI (Walter M.). *The Polish Armed Forces in World War II Exhibit*. Str. 65-84). (Odbitka z „Niagara Frontier”, Buffalo and Erie Historical Society, Autumn 1966).

DATA	POLITYKA
16-4-67	Po 8 miesięcznej przerwie ponownie ukazał się w Zagrzebiu miesięcznik <i>Praxis</i> , uważany za najbardziej opozycyjne pismo wychodzące legalnie w kraju rządzonym przez komunistów.
17-4-67	Przemawiając na VII Zjeździe wschodnio-niemieckiej partii komunistycznej Ulbricht zaproponował, by kanclerz NRF Kiesinger spotkał się z premierem NRD Stoph'em.
18-4-67	W Warszawie ogłoszono urzędowo, że prezydent de Gaulle przybędzie do Polski z wizytą oficjalną w połowie czerwca.
19-4-67	Pisarz jugosłowiański Mihajlo Mihajlov skazany został, w drugim procesie, na karę 4 i pół lat więzienia, pod zarzutem wrogiej działalności propagandowej.
20-4-67	Samoloty amerykańskie zbombardowały siłownię w północno-wietnamskim porcie Haiphong. Zapowiedziano jednocześnie znaczne wzmocnienie bombardowań Północnego Wietnamu.
21-4-67	Armia grecka przejęła władzę w kraju. Premierem mianowany został prokurator generalny C. Kolias. Aresztowano wielu działaczy lewicowych m.in. b. premiera Papandreou.
22-4-67	W wyborach do parlamentów krajowych skrajnie prawicowa zachodnio-niemiecka partia Narodowych Demokratów NPD zdobyła po cztery miejsca w Nadrenii-Palatynacie i Szlezwig-Holsteinie.
23-4-67	Wybory parlamentarne w Jugosławii określane są przez prasę zachodnią jako najbardziej demokratyczne w systemie komunistycznym. W większości okręgów wyborcy mogą głosować na więcej niż jednego kandydata.
24-4-67	Prezydent Johnson przeprowadził w Bonn rozmowę z kanclerzem Kiesingerem, która, zdaniem reporterów, dotyczyła przede wszystkim traktatu o nierozpowszechnianiu zbrojeń nuklearnych.

KULTURA I NAUKA

W Bibliotece Narodowej we Lwowie otwarto wystawę poświęconą twórczości A. Fredry.

Na Festiwalu Filmowym w Oberhausen w NRF filmy polskie otrzymały 3 nagrody: dokumentalny — „Nie pożylem długo” Bednarczyka, rysunkowy — „Wszystko jest liczbą” Schabenbecka i telewizyjny — „Proszę mnie ogolić”.

W ciągu 20 lat Ministerstwo Obrony Narodowej PRL wydało 4 tys. tytułów o łącznym nakładzie 8 milionów egzemplarzy.

Kanada zwróciła się do „Filmu Polskiego” z propozycją nakręcenia 40 półgodzinnych filmów kolorowych opartych na klasykach światowych, wśród których wymieniono Prusa i Sienkiewicza.

Amerykański uniwersytet Fairleigh Dickinson wydał specjalny numer *Przeglądu Literackiego* poświęcony w całości współczesnej literaturze polskiej.

RÓŻNE

Stany Zjednoczone zgodziły się, by część pożyczki zaciągniętej przez PRL w wysokości 9,5 mil. dol. wydać na naukę języka angielskiego w Polsce.

Papież mianował ks. arcybiskupa Wojtyłę konsultatorem „Consilium de Laicis”.

Pierwszy kanclerz NRF, Konrad Adenauer, zmarł w Rhoendorfie nad Renem w wieku lat 91.

Wielka manifestacja antywojenna w Oświęcimiu z udziałem 200 tys. osób.

Czechosłowacja podpisała ze Zjednoczoną Republiką Arabską porozumienie o współpracy wojskowej.

Zachodnio-niemiecka firma Keller-Knapich przenosi swą całą produkcję maszyn do pisania z Augsburga do Plovdiv w Bułgarii.

Kosmonauta sowiecki pułk. Komarow poniósł śmierć w katastrofie kabiny kosmicznej „Sojuz 1”.

DATA	POLITYKA
25-4-67	W Karlowych Warach rozpoczęła się konferencja europejskich partii komunistycznych, bez udziału Jugosławii, Rumunii i Albanii. W skład delegacji PRL wchodzi: Gomułka, Kliszko, Starewicz i Werblan.
26-4-67	Kancelarz NRF Kiesinger zaapelował do prezydenta Johnsona o przyznanie Niemcom większego głosu w sprawach wspólnej obrony.
27-4-67	Rząd francuski zwrócił się do Zgromadzenia Narodowego o przyznanie mu prawa zarządzania gospodarką przy pomocy dekretów, do 31 października br. Ma to na celu przygotowanie kraju do zwiększonej konkurencji partnerów Wspólnego Rynku, po całkowitym zniesieniu ceł w EWG.
28-4-67	Przemówienie gen. Westmorelanda, Naczelnego Dowódcy Sił Amerykańskich w Wietnamie, w Kongresie Amerykańskim, w którym uzasadniał konieczność prowadzenia akcji zbrojnej w Wietnamie, spotkało się z owacyjnym przyjęciem.
29-4-67	Kraje Europejskiego Zrzeszenia Wolnego Handlu udzieliły poparcia brytyjskiej decyzji ubiegania się o członkostwo Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.
30-4-67	W Mariańskich Łaźniach w Czechosłowacji obraduje sympozjum filozofów katolickich i komunistycznych zorganizowane łącznie przez zachodnio-niemieckie Stowarzyszenie Świętego Pawła i Czechosłowacką Akademię Nauk.
1-5-67	Przedstawiciele Chin Komunistycznych opuścili demonstracyjnie trybunę honorową w czasie uroczystości 1-majowych w Moskwie, gdy marszałek Greczko oskarżył Chiny o utrudnianie Rosji przesyłania pomocy Wietnamowi.

KULTURA I NAUKA

Nowa sztuka Hochhutha pt. „Żołnierze” została odrzucona przez Radę Narodowego Teatru Brytyjskiego ponieważ sugerowała, że Churchill odpowiedzialny jest za śmierć gen. Sikorskiego.

W Londynie sprzedano na licytacji obraz Picassa z „niebieskiego” okresu za 190 tys. funtów. Jest to najwyższa cena osiągnięta przez jakikolwiek obraz malarza XX wieku.

Polska operetka „Łoża Królewska” (muzyka T. Dobrzańskiego, libretto Z. Skowroński, J. Słotwiński i T. Fangart) odniosła duży sukces w Leningradzie i została nadana w ogólnokrajowym programie telewizyjnym sowieckiej.

Witold Gombrowicz zdobył nagrodę „Prix International de Littérature” w Garmartha za książkę „Kosmos”. Nagroda wynosi 20.000 dol.

RÓŻNE

Córka Stalina Swietłana oświadczyła w Ameryce, że nie może wrócić do Rosji, ponieważ wierzy w Boga, a nie w komunizm.

Czechosłowacka agencja prasowa Cete-ka skrytykowała komunikat Tass'a o śmierci Komarowa za lakoniczność i brak szczegółów.

H. Szafrński wybrany został 1-szym sekretarzem warszawskiego wojewódzkiego Komitetu partii, na miejsce zmarłego M. Jaworowskiego. 62 letni Szafrński był kandydatem R. Strzeleckiego.

Angielska firma wydawnicza Longmans zamówiła u pracownika BBC, 28-letniego N. Bethell'a, biografię Gomułki. Będzie to pierwsza biografia Gomułki w formie książkowej.

Polska Centrala Handlowa „Polimex” zawarła z francuską firmą ENSA kontrakt na budowę fabryki nawozów sztucznych we Włocławku. Jest to największa transakcja Francji z krajem Europy Wschodniej. Jej wartość określa się na 60 mil. dol.

DATA	POLITYKA
2-5-67	Rząd brytyjski ogłosił oficjalnie, że zamierza wszcząć starania o przystąpienie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.
3-5-67	Stany Zjednoczone i Wielka Brytania postanowiły zmniejszyć swe siły zbrojne w Niemczech Zachodnich o 40.000 żołnierzy i ponad 100 samolotów.
4-5-67	W Waszyngtonie ogłoszono, że amerykańskie Kolegium Szefów Sztabów z przewodniczącym gen. Wheelerem na czele, sprzeciwiało się decyzji zmniejszenia garnizonów w Niemczech.
5-5-67	Zapowiedź francuskich Związków Zawodowych ogłoszenia strajku generalnego 17 maja, jako protestu przeciw intencji rządu zarządzania gospodarką przy pomocy dekretów.
6-5-67	Na froncie wietnamskim Amerykanie po zaciętych walkach opowują rejon wzgórz, dominujących nad główną drogą zaopatrzenia wojsk komunistycznych z Północy na Południe.

KULTURA I NAUKA

Ilja Ehrenburg oświadczył na zebraniu publicznym w Moskwie, że specjalna komisja Związku Pisarzy Rosyjskich zaleciła opublikowanie powieści Pasternaka „Doktor Żiwago”. Wypowiedział się również za zwolnieniem Siniawskiego i Daniela.

Jacek Kuroń, współautor głośnego „Listu Otwartego”, został zwolniony z więzienia.

Francuski tygodnik *Jours de France* poświęcił całą stronę K. Pendereckiemu porównując jego twórczość do twórczości Bacha. „Pasja Św. Łukasza” jest wydarzeniem w historii muzyki współczesnej.

Tegoroczne nagrody *Kultury* otrzymali: Lidia i Adam Ciołkoszowie za „Historię Socjalizmu w Polsce” i Piotr Guzy za „Krótki Żywot Bohatera Pozytywnego” oraz Jerzy Stempowski za całokształt twórczości.

Sukces Sławomira Mrożka w Paryżu. *Théâtre de Lutèce* od dłuższego czasu wystawia *Tango* w reżyserii Laurent Terzieffa. *Tango* było uprzednio grane z wielkim powodzeniem w Düsseldorfie w *Schauspielhaus*, który z tą sztuką wystąpi 9 i 13 bm. w *Théâtre des Nations*. Reżyseria E. Axera, dekoracje Starowiejskiej.

RÓŻNE

Z okazji Roku Turystycznego Rumunia zniosła wszystkie wizy wjazdowe dla turystów załatwiających wyjazdy przez biura turystyczne. Turyści indywidualni mogą otrzymywać wizy na granicy.

Londyński *Daily Telegraph* zamieszcza fotografię gen. Wołkowickiego na tle tablicy pamiątkowej Katynia oraz artykuł przypominający zamordowanie oficerów polskich.

Delegacja Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych, pod przewodnictwem Stefana Korbońskiego, została przyjęta w Departamencie Stanu przez dyr. Biura Wschodniej Europy, dr R. Lisle. Omawiano m.in. sprawy wymiany handlowej i kulturalnej.

Komunistyczna Partia Włoch zorganizowała Kongres poświęcony twórczości Antonio Gramsci z okazji 30-lecia jego śmierci. Gramsci, znany filozof i publicysta, był wybitnym działaczem włoskiego ruchu robotniczego i założycielem Komunistycznej Partii Włoch. Włoska partia zaprosiła na Kongres również przedstawicieli PZPR sugerując nazwiska prof. A. Schaffa, prof. B. Suchodolskiego, prof. Br. Baczko i Karola Modzelewskiego, pozostającego nadal w więzieniu. Polska Partia na zaproszenie nie odpowiedziała i na Kongresie nie było polskiej delegacji.

DATA	POLITYKA
7-5-67	Przywódca rumuńskiej partii komunistycznej Ceausescu oskarżył niedwuznacznie Związek Sowiecki o próby nawiązywania kontaktów z komunistami rumuńskimi ponad głowami kierownictwa partii.
8-5-67	Przedstawiciel PRL w Międzynarodowej Komisji Kontrolnej w Wietnamie, Lewandowski, oskarżył Stany Zjednoczone o „świadome sabotowanie” pokojowych inicjatyw Wietnamu.
9-5-67	Obradujący w Paryżu ministrowie obrony Paktu Atlantyckiego postanowili oprzeć planowanie obronne nie jak dotychczas, na założeniach teoretycznych, lecz na możliwościach płatniczych poszczególnych rządów. Tym samym zrezygnowano z planów utworzenia 30 dywizji NATO, zadawalając się 20-ma.
10-5-67	Brytyjska Izba Gmin poparła decyzję rządu podjęcia starań o przystąpienie do Wspólnego Rynku 488 głosami przeciw 62.
11-5-67	Ambasador amerykański w Saigonie, Bunker, oświadczył, że armia amerykańska przejmie od władz cywilnych zarząd nad programem pacyfikacji w Wietnamie.
12-5-67	Premier NRD, W. Stoph wystosował list do kanclerza NRF, Kiesingera, wyrażając gotowość przybycia na rozmowy do Niemiec Zachodnich. W Bonn ogłoszono, że rząd odpowie na ten list.
13-5-67	

KULTURA I NAUKA

Teatr Cameri z Tel-Awivu odnosi wielkie sukcesy w Londynie wystawiając w tegorocznym Sezonie Teatru Świata „Król Salomon i szewc” oraz musical „Noce Arabskie”.

Dwaj redaktorzy wpływowego czasopisma brytyjskiego *Encounter*, S. Spender i F. Kermode podali się do dymisji w związku z ujawnieniem, że pismo to przyjmowało swego czasu nieświadomie dotacje z CIA — Centralnej Agencji wywiadu amerykańskiego.

Wystawa malarstwa węgierskiego w londyńskiej Galerii Instytutu Królewskiego na której wystawiono obrazy malarzy krajowych i emigracyjnych, spotkała się z uznaniem większości krytyków angielskich.

Krytycy zachodni przyjęli z uznaniem film czechosłowacki wystawiany na Festiwalu w Cannes pt. „Z bliska obserwowane pociągi”. Tematyką tego filmu jest czechosłowacki ruch oporu.

Poeta sowiecki Jewtuszenko asystował uroczystościom w Fatimie. Oświadczył potem dziennikarzom, że uroczystości zrobiły na nim wielkie wrażenie i, możliwe, że będzie pisał o Fatimie.

RÓŻNE

Prezydent Johnson skierował protest do Szwecji w związku z obradującym tam samozwańczym „Trybunałem”, który rozpatruje „amerykańskie zbrodnie wojenne w Wietnamie”.

Londyński dziennik *The Guardian* zamieszcza dwa obszernie artykuły poświęcone okolicznościom śmierci gen. Sikorskiego.

Londyński *Financial Times* zwraca uwagę na ożywioną działalność polskiego handlu zagranicznego na terenie Afryki.

Listy do Redakcji

Melbourne, 20 kwietnia 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o umożliwienie mi sprostowania pewnych, według mego zdania, nieścisłości, zawartych w liście p. J.J. Korabiowskiego („Kultura” nr 3/233).

„Żydzi byli nawet na wysokich stanowiskach” — P. Korabiowski jest obiektywny, nawet żadnej opinii o tych Żydach nie wydaje. Ja już przy wielu okazjach powiedziałem, iż my, Żydzi, winniśmy być dumni nawet z tych, którzy od żydostwa odbiegli, a którzy na powierzonych im stanowiskach, egzamin lojalności, a nawet patriotyzmu bardzo dobrze zdali.

Jestem byłym legionistą I-szej Brygady, od sierpnia 1914 roku. Posiadam Odnaczenia — *Virtuti Militari*, Krzyż Walecznych i inne — i z tego powodu uważam się za upoważnionego do zabierania głosu w sprawach mnie dobrze znanych i uczuciowo mnie dotyczących. P. Korabiowski powiada, iż Żydzi witali wojska sowieckie. Temu nie przeczę, lecz czy wiadome jest p. K., że nawet oficerowie polscy bratali się z żołnierzami sowieckimi, widząc w nich — jakże się omylili — pomoc przeciw Niemcom.

„Polska przyjęła w 1938 r. 50 tysięcy Żydów z Niemiec”. — To już jest rażąca nieścisłość, gdyż Polska nikogo nie przyjęła, lecz władze urządziły obóz dla 10 tysięcy Żydów, których Niemcy przez granicę przeczucili. Wyżywieniem ich zajęły się organizacje żydowskie.

„Żydzi nie walczyli zagranicą o niepodległość”. — Tutaj znowu ujawnia się nieświadomość tych spraw u p. K. Czy jest Panu wiadome, iż konsulatory: włoski, oraz jugosłowiański udzielali udziałania Żydom wizy przejazdowej. Podpisany, tylko dzięki energicznej interwencji Prof. Langroda, uzyskał w konsulacie polskim w Bukareszcie fałszywe zaświadczenie, że jest chrześcijaninem i tylko dzięki temu zdołałem przybyć do Francji, by odbyć niefortunną kampanię z I-szym p.p. W Coëtquidan Żydów niechętnie do oddziałów przyjmowano, a oficerom Żydom w najlepszym razie funkcje prowiantowych przydzielono. Kiedym protestował, twierdząc, iż jestem oficerem liniowym, serdeczny przyjaciel żołnierzy, Dow. Pułku Płk. Łowczowski wyjaśnił, iż ze względu na mój wiek, nadaje się tylko do prowiantury. Podchorążych Żydów z podchorążówki wykluczono.

Jestem już za stary, by żywić urazę do kogokolwiek. Powyższe piszę w duchu przyjacielskim ku rozmowadze pana Korabiowskiego.

Leon HOLZER

Saint-Paul-de-Vence, 7 maja 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ciekawym „Liście z Ameryki” miłego mi Marka Hłaski znalazłem streszczenie sadystycznej książki dla dzieci, która napełniła autora „Listu” niepokojem o zdrowie duchowe młodocianych Amerykanów. W związku z tym nasunęły mi się pewne podejrzenia co do mojej osoby. Gdyż wiele lat temu, i hynajmniej nie w Ameryce, ja, podobnie jak wielu moich polskich rówieśników w niezbyt poważnym wieku, bardzo lubiłem tę opowieść o królowej podmorskich smoków, na której dolegliwości nadworni lekarze widzieli tylko jedno lekarstwo: małpią wątrobę. Wysłano po nią meduzę — a ta wtedy wyglądała zupełnie inaczej niż dziś, bo miała solidne ciało i wielką muszlę. Używając wymowy, zdołała skłonić jedną z małp igrających na brzegu uroczej wyspy do podróży odkrywczej, popełniła jednak błąd odstawiając podczas żeglugi właściwy cel wyprawy. Przewożona na muszli-tratwie małpa oświadczyła, że służyć królowej swoją wątrobą byłoby dla niej szczęściem, niestety zapomniała wątrobę na drzewie, należy więc co prędzej zawrócić, żeby ją zabrać. Nie spełniwszy misji, meduza była na rozkaz króla smoków bita tak długo, aż zmieniła się w galaretę jaką znamy.

Jest to bajka pochodząca z Dalekiego Wschodu, zapewne japońska. Spisał ją wierszem dla dzieci bodaj Remigiusz Kwiatkowski, choć nie zaręczę, bo wtedy nie troszczyłem się o autorstwo. To, że niektóre linie zachowałem dotychczas w pamięci świadczy o sile przeżyć czytelnika:

*A meduza, głupiogłowa,
Uwierzyła w małpie słowa.*

Czy też finał:

*Wnet schwycili ją żołnierze,
Co ma każdy, do rąk bierze, (?)
I tak zbili ją niestety
Aż na kupkę galarety.
A królowa bez wątroby
Wyleczyła się z choroby.*

Napawanie się okrucieństwem pachołków znęcających się nad bezbronną meduzą mogło, jak teraz widzę, położyć się ponurym piętnem na skłonnościach i gustach mego pokolenia.

Łączę wyrazy szacunku,

Czesław MIŁOSZ

Berkeley, 20 marca 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Norbert Żaba w komunikacie o prof. Józefie Trypućko wspominał Stanisława Rożnieckiego mówiąc m.in. że jego kontakty z Polską były bardzo luźne („Kultura”, styczeń-luty 1967).

Stanisław Rożniecki nie tylko ożenił się z Polką, lecz przeniósł się do jej dworku Osmołówce na dalekich „kresach”, bo nad Berezyną, przeszło dwadzieścia lat prawie z miejsca się nie ruszając. Opuścił Osmołówkę po ostatecznym zagarnięciu jej przez Sowiety w r. 1920, po czym przeniósł się do Kopenhagi, gdzie w rok czy dwa lata później umarł. Trudno więc mówić,

że jego kontakty z Polską były „bardzo luźne”. Poza tym, choć poprawnie i biegle władał zarówno polskim jak rosyjskim, nie był sławistą, lecz lingwistą. Wreszcie nie był synem powstańca 1863, ale potomkiem powstańca 1831.

Jego polskie dzieje opisuję w rozdziale „Osmołówka” w mojej powieści autobiograficznej „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego”.

Łączę wyrazy szacunku,

Michał K. PAWLIKOWSKI



P. mjr E. J. Czerniawski nadesłał do Redakcji obszernie wyjaśnienie twierdząc, że zacytowana w marcowej „Kulturze”, w artykule J. Czapskiego anegdota o rozmowie Marsz. Piłsudskiego z podchorążym jest niewiarygodna i krzywdząca dla pamięci Marszałka. P. Czerniawski uzasadnia swoje twierdzenie faktem, że od października 1919 r. przez przeszło dwa lata pełnił służbę w Głównej Kwaterze Wojskowej Naczelnika Państwa.

REDAKCJA

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1967.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmordland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584. Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont. K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa, telephone : 233-7212.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; Stefan Kozlowski, 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book C° 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing C°, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.....	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 143

BONIFACY MIAŁZEK

ZIEMIA OTWARTA

P o e z j e

Str. 40

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9/-)



TOM 144

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

Jak należy ustosunkować się do Rosji? Jakie błędy popełnili powstańcy węgierscy? Gdzie leżą źródła naszej anty-rosyjskiej neurozy? Na powyższe pytania, i na wiele innych, stara się dać odpowiedź autor w swoim nowym tomie esejów.

Str. 192

Cena egz. 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM 44

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Nowe wydanie głośnej powieści, wraz ze
STENOGRAMEM OGÓLNEGO ZEBRANIA
PISARZY MOSKIEWSKICH

z dnia 31 października 1958 r.
na którym potępiono Borysa Pasternaka za wydanie zagranicą
„DOKTORA ŻIWAGO”

Przekład *Pawła Hostowca*.

Wiersze oraz Stenogram w przekładzie *Józefa Łobodowskiego*.

Str. 544

Cena egz. 26 F (dol. 5,50; 38/6)

Cena 5,00 F